

676

88 96 118

*[Handwritten scribble]*

MG ALSKI

# RAMOTY I RAMOTKI

AUGUSTA WILKONSKIEGO.

524



WYDANIE NOWE I ZUPEŁNE

Z ŻYCIORYSEM AUTORA

PRZEZ

W. SZYMANOWSKIEGO.



Z POPIERSIEM AUTORA



WARSZAWA.

NAKLĄDEM I DRUKIEM JÓZEFA JUNGRA,  
ulica Nowolipki Nr. 2406 (nowy 3).

1873.



821. 162. k - 21.5

Дозволено Цензурою.

Варшава, 27 Апрель 1872 г.

W uśmiechu każdym zapałem siebie,  
Zapałem gorycz, com ją wciąż pił;  
— Raz tylko jeden na mojem niebie  
Promyk radości jasno się lśnił.

524



# TULIPCIA

WYCHOWANKA PANNY CHOURGOTTE.



*Anonimowo*



## TULIPCIA

WYCHOWANKA PANNY CHOURGOTTE.

### I.

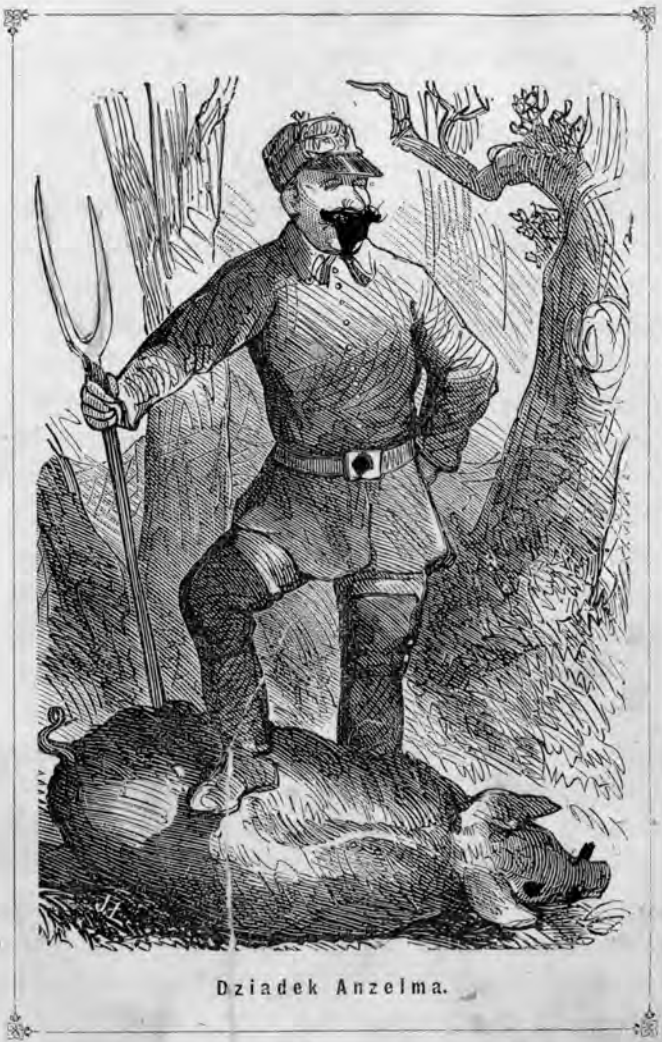
Kiedy szkarłatną purpurą jaśniejący rydwan złotego Feba po raz pierwszy dziewiętnaste stulecie chrześcijańskiej ery na lackiej powitał ziemi, Eugenia z hrabiów Bzdurskich Anzelmowa Widłowska w ceglanym dworcu nad rzeką Wicprzem, w majątności Chrapy, powiła małżonkowi swojemu pierworodną córę.

Anzelm Widłowski — herbu widły, — uroczyście przyjaciół swoich zwykł był zapewniać, że początek jego rodziny ginie w zamierzchu przedchrześcijańskich wieków. Wszakże byli i tacy złośliwi monografiści, którzy twierdzili i dowodzili, że dziadek Anzelma był w połowie 18-go stulecia (po Nar. Chr.) gajowym i na wielkiem

*H. Krenowski III opł. Krenowski*

polowaniu w puszczy kozienieckiej rozjuszonego odyńca, zagrażającego kłębem swoim życiu jednego z ulubieńców królewskich, widelkami, przy obstawianiu sieci używanymi, odważnie a zręcznie pod komorę uderzył i leśnego śmiałka trupem położył, # za co nazwisko i herb szlachecki pozyskał wraz z hojnym datkiem kilkunastu włók ziemi.

Dokąd więc początek rodziny Widłowskich odnosić, czy do zamierzchu przedchrześcijańskich wieków, lub do jodłowej ciemności puszczy kozienieckiej w ośmnastym stuleciu, pozostawiam to mężom, lubiącym się bawić w zagadki heraldyczne. Ja zaś jako pisarz drobnych powiastek wiem tylko, że pan Anzelm Widłowski rzeczywiście *widlami* się pieczętował, a więc był szlachcicem; że żona jego istotnie pochodziła z austriackich hrabiów pięknego imienia Bzdurskich, mających znów w swojej tarczy *lisi ogon w pokrzywach* z rosochatemi rogami jeleniami na helmie, i że majątność Chrapy nad Wieprzem, własność państwa Widłowskich, należała do złotych jabłek powiatu, przynosiła około 3000 dukatów rocznego dochodu, a więc powód dostateczny, aby była kuchnia dobra, wina smaczne i gości na zawołanie, # ztąd szacunek, wziętość i znaczenie w granicach jednodzienną podróży.



Dziadek Anzelma.

2 - (gda) II Chłomudobski

3 - (mpu) IV Chłomudobski

Po tym nawiasie rodowych i majątkowych objaśnień do głównego wracam przedmiotowi.

Skrzywił się nieco pan Anzelm, gdy się dowiedział, że obdarowanym został córką a nie synem; ale na moralną uwagę ciotki swojej, pani szambelanowej Filomeli Gagacińskiej, że wyroki Opatrzności szanować należy, że może w roku przyszłym i synem się poszczyci, powolnego serca pan Anzelm zachmurzone rozjaśnił czoło i do rychłych a sutych chrzcin pierworodnego dziecięcia projekta układać począł. Jakoż na dzień 26 stycznia 1801 roku zjechało się do Chrapów kilkanaście kolas obywatelskich, a w samo południe przybył ksiądz infułat z Zamościa, dwóch księży dziekanów, proboszcz miejscowy i wikary z Krasnostawu. Sądziłbyś, że to jaka rozległego znaczenia uroczystość kościelna? Nie, mój mości dobrodzieju, to tylko chrzciny niemowlątka, maciuciej córeczki dziedzica czterech intratnych folwarków.

Zapewne nikt z ludzi rozsądnych nie przypuści na myśl tego zapomnienia się Eugenii z hr. Bzdurskich Anzelmowej Widłowskiej, aby jój córeczka wzorem chamskich dzieci w kościele chrzczoną być miała i aby téj córeczce nadano jakie pospolite imię. O nie! nie! po trzykroć nie! Chrzest odbył się w bawialnym pokoju, pod bal-

Megawicya II ciotka

H = prompel III ciotka

dachinem z jedwabnej różowej materyi, złotemi frendlami ozdobionym. Imion dano dziecięciu tylko trzy: Narcysa, Hiacynta i Tulipania. Co do ostatniego imienia, czynił ksiądz infułat jakieś *objekcye i skrupuły*, ale pan Widłowski uściśnął czcigodnego prałata i prosił, aby się jego żonie nie sprzeciwił, gdyż, pasyami lubiąc florę, pragnie w kwiecistych imionach swój córeczki niejako uprzytomnić sobie najmilsze dla niej kwiaty. Ksiądz infułat dał swoje przyzwolenie;—do rzymskiego więc kościoła przybyła po raz pierwszy od zaprowadzenia chrześcijaństwa panna Tulipania! Czy ją zaś umieszczono w rubryceli lub nie, do tej chwili nie miałem czasu zapytać.

Jak Tulipcia w machoniowej kołysce przelulała swoje niemowlęctwo a następnie zaranek młodziuchnej wiosny przegłużyła i szczebiotac poczęła, na ten sielankowy ustęp zbyt szorstkiem jest pióro moje; + raczej lat ośm przeskoczę i stanę przed najpierwszym okresem naukowego kształcenia jedynę państwa Widłowskich pociechy + jedynę, gdyż przepowiednia cioci szambelanowej nie ziszcila się niestety! Albowiem zapisaniem było w konstelacyi rodzinnego lazuru Widłowskich, aby zamierzeh tak pięknego imienia z przedchrześcijańskich wieków, mieczowe widły przedzierzgniac na kadziel, w odwiecznych

3+ Chelen. III

prawach zniszczenia utonął. Lecz się tutaj nie ciesz, smoczego apetytu nielitościwy czasie! + Podówczas żył jeszcze Widłowski i oto właśnie bujał po Warszawie, szukając rodowitej Francuzki na guwernantkę dla Tulipci, a zanim ją wynajdzie, świeżą nałożę fajeczkę, przez co i wam, ukochani czytelnicy, dozwolę odkrząknąć i z miłego wrażenia nieco odetchnąć.

## H.

Było to w roku 1809, w owej chwili, gdy liczne zastępy wojsk austriackich marszem odwrotnym do swoich rodzinnych spieszyły krajów; w chwili, gdy szczyk oręza i odgłos zwycięstwa kraj cały przebiegał, + w owej to uroczystej chwili Anzelm Widłowski zdybał, ugodził i ku Chrapom piękną uwoził zdobycz, pannę Chourgotte (szurgot), o której sąsiadowi swojemu na popasie w mieście Karczewiu te z głębi serca odsłonił wyrazy:

+ Jak honor kocham, tak ani słowa po polsku nie umie a przytém szelma ładna, co się nazywa.

+ I jakżeż się z nią, kochany sąsiedzie, rozmawiasz?

+ Na migi, kochany sąsiedzie; ale ze wszy-

2- (1/2) Chelen III





ny Paryż, aby w waszym ponurym i posepnym kraju ukształcić jedną z waszych dzikich odrośli. Spodziewam się więc, że pani godnie moje poświęcenie się oceni, i że mnie pani uważać będzie jako opiekuńczego anioła przyszłości córki waszej, i że mi pani nie dozwoli żałować mojego wygnania, i straty moich najpiękniejszych lat młodości i swobody.

Na tak szczytną odezwę panny Chourgotte pani Anzelmowa odpowiedziała potokiem najtkliwszych a najuroczystszych zapewnień, że z całej duszy, z całego serca starać się będzie udowodnić pannie Chourgotte, jak wysoko, jak głęboko umie cenić poświęcenie się panny Chourgotte; poczem nastąpiło zaprezentowanie Tulipci, której już nietylko mama ale i papa najuroczystszym opowiedzieli głosem, że jako wielkie powinna poczytywać szczęście i dobrodziejstwo, że ją panna Chourgotte uczyć i jej młodociane wyobrażenia rozwijać i uprawiać będzie.

Przy wieczerzy dowiedziała się pani Anzelmowa, jakie panna Chourgotte lubi potrawy, o której godzinie udaje się na spoczynek, o której godzinie z rana czekoladę pijać zwykła. A gdy po wieczerzy obficie nakarmiona Francuzka w osobnym a zdobnym pokoiku, ugodzoną pensją swoją na franki obliczywszy, swoje nadspodziewane

*Janina*



Pani Widłowska do drugiej z północy dyktowała mężowi swojemu listy.

4+ C. B. L. IV

3+ (supra) C. B. L. IV



szczęście rozważała, + pani Widłowska do drugiej z północy dyktowała mężowi swojemu listy jego imieniem, do wszystkich znakomitszych sąsiadek i sąsiadów, na sąsiedzki zapraszające obiadek. + O! bo i trudném-by było oddalić chwilę popisania się na oczy z osiągnioném szczęściem, z guwernantką, ani słowa nie umiejącą po polsku!

+ Gdybyś to ty mógł zrozumieć; mój Anzelmku, jakie ona szczytne objawiła mi myśli, kiedy się przywitała ze mną.

+ I cóż ona ci powiedziała?

+ Powiedziała, że, poświęcając się dla naszej Tulipci, opuściła ojczyznę, Francją! Sekwanę, Paryż, — ale to trudno w polskim języku powtórzyć....

+ Wiesz co, potrzebaby jój dać jutro jaki prezent.

+ Ja już o tém myślałam.

+ Daj jój te brylantowe koleczyki, które ci w przeszłym roku kupiłem.

+ A ja będę bez brylantowych koleczyków?..

+ Ja ci, kochanie, kupię ładniejsze.

+ Ej nie + jutro będzie pani kasztelanowa, będą Jarzymowscy, + nie, nie. Ale wiesz co, dam jój ten złoty emaliowany zegarek, który ojciec mój dostał od króla Stanisława.

|| (= Federusa) C. B. M. ||

→ Kiedy to, mój aniele, jest pamiątką historyczną.

+ I cóż z tego; zapominasz, że ona się poświęca dla naszej Tulipci, jedynego dziecka naszego; zresztą zegarek dla guwernantki będzie prezentem bardzo à propos.

→ Masz rację, kochanie, ja jęj go jutro rano zaniosę.

+ Nie, ja jęj oddam sama, ty później możesz jęj dać co innego od siebie.

Nazajutrz panna Chourgotte otrzymała przeslicznie emaliowany repetyer z łańcuszkiem weneckim i z dewizką, złożoną z bardzo pięknych drobnostek, pomiędzy któremi odznaczał się w koralu rznięty Kupidon z sajdaczką i ze strzałkami; — sajdaczek był z perłowej macicy, a strzałki kaszką djamentową obsypane.

Na *obiadek sąsiedzki* zjechało się osób kilkadziesiąt. Prezentacja panny Chourgotte była głównym przedmiotem aż do obiadu. Wystawny obiad był ozdobiony wielką piramidą z ciast migdałowych, mających drzewiczki czekoladowe, kolorowemi cukierkami ustrojone, na tych drzewczkach był trójkolorowy napis „*La France*.” W połowie biesiady szambelan Gagaciński i gospodarz domu łącznemi siłami posunęli tę piramidę przed pannę Chourgotte, prosząc, aby ra-

czyła drzewiczki otworzyć. Panna Chourgotte powolna życzeniom grzecznych panów, wyłamała drzewiczki, i wszyscy z najsprawiedliwszém uniesieniem + ujrzeli popiersie Napoleona także z cukru, z misternym bluszczem na głowie wielkiego cesarza. Pod oknami huczna ozwała się muzyka na waltorni, klarynetach i tołumbasach, a pan szambelan winem szampańskiem wniósł toast panny Chourgotte.

Że oczy panny Chourgotte łzami zroszone zostały a wszyscy obecni od płaczu wstrzymać się nie mogli, o tém zapewnić czytelnika byłoby zbyt cieżki. Dodać tu tylko czuję się w obowiązku, że na cześć panny Chourgotte wyprawionych zostało w sąsiedztwie Chrapów w przeciągu pierwszych czterech tygodni szesnaście okazałych zabaw z obiadami i tańcami.

### —III—

Gdy już wszyscy bliżsi i odleglejsi sąsiedzi Chrapów, uraczonymi zostali bytnością panny Chourgotte, a pani Widłowska sposobiąc się ku temu dni kilka, przy zdarzonej sposobności w wyrazach najgrzeczniejszych zapytała pannę Chourgotte, które książki raczyła oznaczyć do rozpoczęcia edukacji? + panna Chourgotte, niespodzie-

*J = (supra) CPD. III*

*J + (supra) CPD. III*

wanie zagadniona w tój mierze, lekko się zarmienniejszy, po krótkim namysle taką dała odpowiedź:

— Obecnie, w najnowszej nauk reformie, wszyscy profesorowie Paryża zgodzili się na to, że książki przytłumiają wrodzone młodych uczenie zdolności i że najkorzystniejszą metodą rozwijania umysłów jest pozostawienie ich własnemu badaniu tajników wszechświata, tak pod względem roślinnym jak i duchowych pojęć moralnych, w uczuciu obowiązków ludzkości; — a przez umiejętną konwersacyą należy tylko myśl badania skierować ku tym przedmiotom, które są szczytnemi i w wyższych sferach dobrogo towarzystwa dystyngowanemi. Tę to metodę, przez p. Jana Jakóba Rousseau, generała wojsk cesarskich zaprowadzoną, i ja za najwłaściwszą uznałam i tój metody w wychowaniu Tulipci trzymać się będę.

— Ależ panno Chourgotte, — przepraszam, że się ośmielałam zrobić uwagę, — lecz mnie się zdaje, że Jan Jakób Rousseau nie był generałem...

— Był generałem, — ale wziął dymisyą.

Po tój krótkiej nawiasowej tylko rozmowie pani Widłowska pobiegła do męża, aby mu donieść, że Tulipcia będzie edukowaną podług za-

sad generała Jana Jakóba Rousseau; a panna Chourgotte, udawszy się do swojego pokoiku, taki napisała list do swego brata, kucharza w usługach księżnej Sanguszkowej w Warszawie:

*Kochany Bracie!*

Już od ośmiu dni zabieram się do napisania listu do ciebie, kochany bracie, ale Ty wiesz, jak mi trudno jest pisać. Ale dzisiaj to nie mogę się lenić, bo mi burza zagroziła, a to ty temu, kochany bracie, wszystkiemu winny jesteś, boś ty mnie zrobił guwernantką. A najprzód donoszę ci, że jestem zdrowa i że mi się powodzi lepiej aniżeli twojej przyjaciółce Karolinie, którą oddałeś na guwernantkę do tego krzywego podprefekta. Wystaw sobie, dostałam już tutaj wiele bardzo pięknych prezentów; dają dla mnie bale, i kilku bogatych panów stara się o moje serce, a monsieur Widłowski codziennie mi robi różne grzeczności.

Ona sama mówi po francuzku dosyć zrozumiale, jest dla mnie bardzo delikatną, ale, jak mi się zdaje, nie wiele więcej umie odemnie. Wczoraj jednakże przy śniadaniu zapytała mnie, na jakich książkach będę uczyć jej córkę, a Ty wiesz, żeśmy w magazynie bardzo mało książek

czytywały; szczęściem dla mnie, że m słyszała o tym jenerale, który kazał żołnierskie dzieci chować podług praw natury; jeżeli się nie pomyliła, to się nazywał Rousseau. Otóż odpowiedziałam jój, że będę moją uczennicę chowała podług zasad jenerała Rousseau, i ona na to przystała. Ale trzebażby tę młodą panienkę nauczyć przytém i czytać po francuzku, więc mi kup taki sam elementarz paryzki, na jakim się uczyłam czytać u ciotki naszój, to mi jakoś łatwiej pójdzie wykład tój nauki. Zresztą to ja sobie dam radę. Możeby było dobrze, abys mi kupił książkę z wokabułami i jakie ładne bajeczki, których ja będę uczyła na pamięć. I kup mi jeszcze co takiego, co potrzebne dla guwernantki, — a możesz się wypytać u p. Emila; przecież on już ośm lat guwernerem, to się musiał czegoś nauczyć. Klaniaj mu się bardzo ładnie odemnie. Duża to pensya i ładne prezenta, które odbieram, i jeść bardzo wiele dają, i mam piękny pokój i usługę, ale mi tu bardzo nudno; dwór tylko jest murowany, a reszta domów ze słomy, — a nigdzie nie wybrukowane, i w całej wsi oprócz pani Widłowskiej nikt ani słowa po francuzku nie umie. Nauczyłam się tu gotować jednę bardzo smaczną polską potrawę, receptę później ci przysię, bom się dzisiaj tak bardzo pisaniem tego listu

zmordowała, że mnie aż palce bołą; a i pan Widłowski przeszkadza mi, gdyż ciągle z ogrodu do okna zagląda, i rzuca na mnie kwiatkami. Ale jak tu szkaradny ogród; w całym Paryżu nie ma tak brzydkiego ogrodu, a oni tu powiadają, że to bardzo piękny. Ta rzeka, która płynie zaraz za ogrodem, nazywa się *Świnia*, (Wieprz); możesz sobie wyobrazić, jak są ludzie tutaj jeszcze nieucywilizowanymi, kiedy ładną rzeczkę mogli nazwać tak nieprzyzwoicie. Adieu, mój bracie; przysyłaj książki. Tysiąc franków jak ci obiecałam, tak dotrzymam słowa, tylko pensyą dostanę.

Adieu — Adieu!

Twoja siostra, *Susette Chourgotte*.

#### IV.

Już od dni kilkunastu Tulipcia pobierała edukacyą podług zasad Rousseau, kiedy czcigodna nauczycielka odebrała list następujący:

*Panno Susette!* (Zuzanno).

Brat twój zaszczycił mnie swoim zaufaniem, powierzając mi list twój do niego pisany i upo-



ważnił mnie do odpowiedzi w jego imieniu, spiesznie bowiem wyjeżdżał z całym dworem księżną do Galicyi. Przedewszystkiém składał ci zapewnienie, żeśmy się serdecznie ucieszyli z dobrego powodzenia twojego. Następnie dziękuję ci za łaskawą o mnie pamięć jak niemniej i za honor polecenia mi wyboru potrzebnych dla ciebie książek. Metoda Jana Jakóba Rousseau, którą się w niebezpiecznej chwili najszcześliwiej zastawić potrafiłaś, jest pomysłem genialnym,—ale nie wystarczyłaby na długo i w całości przeprowadzić się nie da. Przeciwnie jak największa obfitość książek nietylko ci ułatwi i poda środki nauczania, ale także przyczyni się do powagi nauczycielskiej, bo, widząc cię wśród stosu francuzkich książek, nazwą cię kobietą uczoną i już tego epitetu żaden polski profesor nie potrafi ci wydrżać, gdyby i najzawzięciój udowodniać zapragnął, że nic nie umiesz. Więc ci posyłam: trzy gramatyki, dwa słowniki, sześć książek z bajeczkami, ośm tomów botaniki, dwa tomy fizyki, trzy tomy chemii; dzieł dramatycznych Picarda tomów 10, najtkliwszój treści romansów ksiąg 40, z pomiędzy których przeczytaj panna Zuzanna najpierw Anę Radcliffe, Malwinę pani Cotin, listy Heloizy i Abeillarda i Korynnę pani Staël,—a pani zaczerpniesz wie-

le pięknych sentymentów do błyszczenia w towarzystwach wyższej sfery, jak niemniej do napawania temi pięknymi sentymentami nietylko swoją uczennicę, ale i jej najszanowniejszą mamę. Nadto posyłam ci sześć kart jeograficznych i wielki globus;—wzory do kaligrafii, wzory do rysunków, pudełko z farbami i cały przybór pendzli, cerkli i jeometrycznych drobiazgów. Są to wprawdzie nieco zużyte przedmioty, ale rozumiam, że wcale nie przedrozę, gdy ci je za 800 franków odstąpię. Możesz bez zarumienienia zażądać od pani Widłowskiej najmniej 1000 franków. Mnie za te same książki, globus, wzory i karty jeograficzne zapłacił hrabia \*\*\* 1500 franków, a gdym edukacją kawalera ukończył, odkupiłem je za piękne przymówienie się. Karty jeograficzne poprzybjasz na ścianach uczelni, wielki glob ustawisz na środkowym stole, który to stół potrzeba okryć suknem zielonym albo kobiercem, czego wprost zażądaj od rodziców uczennicy. Spodziewam się w przyszłym tygodniu jechać z moimi terazniejszymi elewami na wakacye do babki, mieszkającej za Lublinem, to pannę Zuzannę odwiedzę i ustnie objaśnię, jaki program nauk ułożyć i jak go przeprowadzić. Ponieważ w mej podróży będę po-

trzebował pieniędzy, przeto racz ośmset franków łaskawie przysposobić. Do widzenia się, szacunku godna rodaczko.

*Emil Dourens.*

15 sierpnia 1809.

P. S: Pan Rousseau nie był nigdy jenerałem; potrzeba więc pannie Zuzannie zgrabnie się wycofać z tój wielkiój pomyłki.

Po odebraniu tego listu i tój masy książek długo się panna Zuzanna namyślała, jak się z metody jenerała Rousseau wycofać i w jaki sposób metodę Emila Dourens zaprowadzić. Rzecz z pozoru tak trudna w rzeczywistości okazała się bardzo łatwą; zaledwo bowiem panna Chourgotte ukończyła symetryczne przybicie na ścianach kart jeograficznych, i ułożenie książek i wzorów na komodzie, a pompatyczne ustawienie globusa na wielkim stole, przysłała przez Tulipcię zwabiona mama.

— Ach! cóż za piękna biblioteka!

— To są książki, podług których edukowałam margrabiankę S...

— Więc pani margrabiankę edukowałaś nie podług jenerała Rousseau?...



Moi ludzie nie pomarli z głodu i na kark im nie ciecze.

*J. C. M.*





— Była zbyt wrażliwą, abym tę metodę do niej zastosować była mogła.

— A czyliż pani sądzisz, że Tulipcia nie będzie wrażliwą?...

— Właśnie że córeczka pani posiada ten sam popęd umysłowy i te wszystkie skłonności serca, któremi margrabianka hojnie od natury uposażoną była, dlatego też pragnęłabym połączyć dwie metody: metodę pana Jana Jakóba Rousseau, brata jenerała, który tak chlubną poległ śmiercią pod Piramidami, z metodą pana Emila Dourens, jednego z najpierwszych pedagogów europejskich;—nie wiem tylko, ażaliby dla państwa nie było zbyt uciążliwem zakupić te wszystkie potrzebne książki ku takiej edukacji, w dwóch metodach zespolonej.

— Ach jakżeż nas, pani, możesz posądzać o tak poziomą oszczędność, gdy córka nasza mogłaby mieć sposobność pobierania edukacji zespolonej w dwóch metodach; prawdziwie że nie tylko wszelki wydatek w tej mierze jak najchętniej przyjmiemy, ale nadto dozwonną dla pani zachowamy wdzięczność za tyle nieograniczonej dobroci w usiłowaniu pani, łożonem dla najwyższego szczęścia jedyne go dziecka naszego.

— A dobrze, jeżeli państwo spuszcza ją się

w tej mierze bezwarunkowo i zupełnie na mój wybór i kierunek....

— Bezwarunkowo i najzupełniej, droga pan-no Chourgotte. Ileż te książki panią kosztują?

— Te książki, globus, karty jeograficzne i te wszystkie wzory kosztowały 1500 franków, ponieważ margrabina żądała, abym zakupiła dzieła wyborowe;—a gdy margrabianka wyszła za mąż, odkupiłam je za 1200 franków na użytek przyszłych moich uczennic.

— Ach najchętniej pani zwrócimy 1500 franków, tylko racz pani edukować naszą córkę podług dwóch metod.

— Chętnie przychylę się do prośby pani i chociaż to przyjdzie z największym poświęceniem się mojemu....

— Oh pani! naszym obowiązkiem będzie zawdzięczyć pani to poświęcenie się.... Więc to będą dwie metody?....

— Tak jest; będzie to zespolona edukacja z dwóch metod pana Rousseau i pana Dourens.

Nazajutrz pan Widłowski z nietajoną dumą opowiadał sąsiadom swoim, że w pannie Chourgotte znaleźli klejnot nieoceniony, albowiem będzie edukowała ich córkę podług dwóch metod pana Rousseau i pana Dourens.

Nudna to sprawa wglądać w jedną metodę

nauczenia początkowej a tak tępej w pojmowaniu uczeniicy, jaką była 4-letnia Tulipcia, nie dopieroż śledzić edukacją, zespoloną w dwóch połączonych metodach. Oddalam się więc z domu państwa Widłowskich na lat sześć i dopiero powrócę do moich szanownych znajomych, gdy Tulipcia 15 wiosen ukończy; może wówczas czytelnicy znajdą więcej interesu w skutkach już dokonanej edukacji.

## V.

Było to 5 czerwca 1816 roku, gdy panna Chourgotte w czworokonnym powozie opuściła Chrapy, uwożąc spore pudełka kosztownych upominków z lat siedmiu, 15,000-złoty gotówką i dwa kufry wyładowane piękną garderobą;—jechała do państwa Gapińskich w Sandomierskie na objęcie nowych obowiązków guwernantki.

Prócz trzech tylko niedogodnych wypadków 8) cały pobyt w Chrapach liczyła do najprzyjemniejszych wspomnień życia swojego. Pan Widłowski, od kilku miesięcy niewyleczoną chorobą złożony, już był obojętnym na odjazd pan-

8) Botanika jest nauką bardzo pożyteczną, bo osłabia domysły i niszczy potwarze.

ny Chourgotte; — pani Widłowska czuła się swobodniejszą po oddaleniu się Francuzki; — natomiast panna Tulipania obfitemi strumieniami łez oplakiwała utratę swęj duchowęj przyjaciółki i powiernicy, a w czarny ubiór strojna dzień cały błąkała się nad brzegami Wieprza, płacząc, wzdychając, załamując ręce, wznosząc oczy ku błękitowi niebios i deklamując najtkliwsze ustępy z romantycznych dzieł francuzkich....

O godzinie dopiero 9 z wieczora, po trzy kroć przez mamę wezwana, powróciła do pałacu <sup>1)</sup> i, nie zajrzawszy do chorego ojca, udała się do swojęj sypialni, gdzie, przez noc całą do kilkunastu francuzkich książek zazierając, pisała list do swojęj przyjaciółki, — list, który w dosłownym polskim przekładzie tutaj umieszczam, już kwoli przyczynku do skarbnicy tkliwego piśmiennictwa, mianowicie zaś dla objaśnienia co do stopnia naukowego, umysłowego i uczuciowego panny Tulipanii, nie wspominając o chmarze błędów gramatycznych, w pisowni francuzkięj popelnionych, bo w szczytnym wylewie najwznieślszego uczucia byłoby niegodnym zniżać się do gramatycznych prawideł.

<sup>1)</sup> Przybudowanie jednopiętrowego narożnika z balkonem na Wieprz, a ztąd nazwa *pałacem*, na karbie wdzięczności dla panny Chourgotte zapisanemi być winny.



Dzień cały błąkała się nad brzegami Wieprza, płacząc.

Zuzanno!

Odjechałaś—nie widzę Cię obok mojego serca, — a ja jeszcze żyję?... i mówią, że jest Bóg dobroci, Bóg litości?... Zuzanno! w błękiecie marzeń moich Twój obraz przodkuje wszystkiemu uczuciu, bo cóż jest na całym świecie, coby było droższem nad przyjaźń?...

Zuzanno! wir żalu i smutku, co serce moje otoczył, podobny jest do uraganu, który piaszczystym całunem młodą palmę z rzędu żyjących roślin wyrywa.

Zuzanno! jam Tobie winna stokroć więcej nad życie! Z ust Twoich wypiął kielich rozkoszy samoistnego wzniesienia się nad przesady i nad głupiego świata opinią, bo wiem, że dusza moja wyłącznie moją jest własnością, — a serce rzetelnym piętnem mojego jestestwa, i po tychże to szlakach najszczytniejszego uczucia karmię się dumą wyższości nad tłum kobiet powszednich.

Zuzanno! ja drzę na tę myśl okropną, że od Ciebie przez długich dni ośm żadnej nie odbiorę wiadomości, a nigdy nie potrzebowałam i nie pragnęłam tyle Twojego zdania i Twojej rady;—o! bo to było widzenie z przybytku Sybili mojego losu — posłuchaj mojej tajemnicy!

4- CBZ.



Słońce zanurzało złote warkocze w zwierciadlanej toni rodzinnej rzeki mojej; — aniołowie na skrzydłach pomroku roznosili balsam nadziei do lepionych chatkach pracowitego rolnika; — umilkły śpiewy ptasząt, a chłodna rosa spragnioną zwilżyła przyrodę, gdy m tęskne myśli orlim szybem puściła na wiosenne błonia mojej przyszłości....

Widziałam dwóch młodzieńców.... jeden w zbroi rycerza średnich wieków łamał u nóg moich chorągiew muzułmańską, — drugi w stroju pasterskim zbliżył się do mnie, niosąc w dani kwiat pomarańczy i oliwną gałązkę, — a pomiędzy nimi Twoja, droga Zuzanno, postać unosiła się w powietrzu z wieńcem mirtowym. W rycerzu wieków średnich poznałam Kazimierza, w niosącym kwiat pomarańczowy i oliwną gałązkę widziałam Alfreda, — a wieniec mirtowy w rękę mojej Zuzanny — to był objaw mojej przyszłości — Tyś była moją Sybilą.

Ach Zuzanno! komuż mam oddać mój wieńiec mirtowy, ach! powiedz, najdroższa przyjaciółko; wiesz dobrze jak stanowcza jest wola méj mamy, abym przed śmiercią ojca wybór uczyniła.

Zuzanno! głowa mnie pali rozżarzonym węglem, — serce gromem uderza, — dusza zanurzo-

2 (sta) PKL. (za upomieniem)

na w boleści... bo niepewność i oczekiwanie są najsroźszymi męczarniami życia dziewczycy.

Mama dla rozweselenia mnie oświadczyła mi na *dobra noc*, że jutro pojedziemy do hrabiny... gdzie dają wielki bal z powodu zaręczyn jéj córki z generałem Z\*\*\*. Jestem pewną, że tam obydwoch zastanę, ach! któremuż z nich sprzyjać?!... powiedz Zuzanno! Kazimierz jest piękny i waleczny, — Alfred bogaty i zachwycający manierami wielkiego świata; Kazimierz tylko szlachcicem na jednej wiosce, Alfred spodziewa się sukcesy obszernych włości i należy do rodzin arystokracji kraju naszego.

Zuzanno! jestemżeż ja tak piękną, jak mi to po milion razy mówiłaś!... Któraż ja jutro wezmę sukienkę? O wiem, Zuzanno, tę a nie inną; tak jest tę, w której mnie nazwałaś królowną polskiej Flory — tak, tak — tę a nie inną; — a głowę ubiorę w około lokami, tyle przez Ciebie lubionemi, — i z pereł zrobię plecionkę i będę królowną w sercu mojej Zuzanny... i z dumą stanę w szranku z córką hrabiny, — i ujrzę u nóg moich cały rój młodzieży... i będę szczęściem szczęśliwą, — a duch mojej Sybili w stanowczej chwili poszepnie, które serce okolic płomieniem zwyciężkiej miłości... Już różnane światło ze snu budzącą się przyrodę oblewa

2 = (sta za upomieniem) PKL

i nocny śpiewak milknie, a jeszcze piszę do Ciebie, najdroższa przyjaciółko duszy mojej, gwiazdo mojego uczucia, aniele mojej przyszłości....

Przed chwilą doktor przyjechał; papa coraz słabszy; słyszałam, że posłano także po księdza. Papa żąda mnie widzieć jeszcze, zapewne mi błogosławić będzie przed śmiercią. Może nam już nie wypadnie jechać do pani hrabiny; ach Boże! że też papa tak wczesnie umiera. Elżbietka już trzeci raz przybiegła; papie coraz gorzej, muszę iść po błogosławieństwo; ciekawą jestem tego wrażenia; jakie na mnie zrobi śmierć papy; będzie to nowe studyum mojego serca. Adieu — adieu! je vous presse contre mon coeur, mon ame vous embrasse!

*Tulipine.*

## VI.

— Anzelm Widłowski, dziedzic dóbr Chrapy, już od dni ośmiu ciężki Bogu zdawał rachunek z biernej pielgrzymki ziemskiego żywota, gdy w głębokim nieutulona żalu, owdowiała pani Widłowska i w melancholiczno-sentymentalnie estetycznym smutku pogrążona córka Tulipania piękną basztaudą, w pięć koni zaprzęzoną,

*4x premiero ypro ena...?*

z dziedzińca osieroconych Chrapów wyjeżdżały na gościniec warszawski.

— Czy *maman* kazała zabrać moje wszystkie książki?

— Wszystkie, moja Tulipciu.

— C'est bien, bo ja chcę dzisiaj na noclegu skończyć ten romans od pana Alfreda. Jak on jest względny na nasze nieszczęście; zaraz nazajutrz po śmierci papy przysłał mi książki i podczas pogrzebu ciągle mi asystował z flakonikiem wody pachnącej i tak mnie zaklinał, abym nie rozpaczała, przekładając mi w najszczytniejszych wyrazach, o ile to jest *devoir* dusz wzniosłych hamować łzy w chwilach epoki śmierci ulubionych osób; a w końcu dodał: „istoty dystygowane jak radością tak i smutkiem winny się różnić od tłumu.” I znalazłam, że ma zupełną racją, bo rażącym było to szlochanie córki ekonomy i tych tam wiejskich kobiet. Rozumiem zblednąć, zlodowacieć — zemdleć, — to jest *ekspresya d'une tristesse noble, — d'une éducation distinguée.*

— Córka naszego ekonomy szlochała, bo to był romans z nieboszczykiem. Powiedziałam też jej ojcu, aby się o inne starał miejsce.

— *Savez vous Maman*, pan Kazimierz ani jednego do mnie nie wymówił słowa; dopiero

*4x premiero ypro ena...?*



gdym tak głośno jęknęła przy spuszczeniu trumny, uściskał tylko moją rękę.

— Bo nie umiał nic powiedzieć à propos.

— Jednakże ja go bardzo szanuję; wszyscy mu wielkie oddają pochwały.

— To tamci tylko go chwala, co z nim odbywali kampanię; w salonie jest sztywny i mało mówiący.

— On podobno jest dobrym dla ludzi i wzorowo gospodaruje.

— Każdy szlachcic dobrze gospodaruje, ale chce, żeby żona także maślanke na kwarty mierzyła.

— Ale znów jak pan Alfred, który w domu nigdy nie posiedzi.

— Kto ma takie sukcesy na widoku, może w domu nie siedzieć.

— Ciekawam, który z nich pierwój do Warszawy przyjedzie?

— J'e certifie que ce sera Alfrede.

— Ja-bym była rada, żeby i Kazimierz przyjechał.

## VII.

— W garkuchni pod *Zartokiem* przy ulicy Podwal w Warszawie młodzi oficerowie, żołnierskim

*2 (oba za upomnienie) P.M.*

apetytem uprzętnawszy obiad, na długich cybuchach rozniecili stambułki i po krótkiej zamianie najnowszych wiadomości służbowych zwykłą koleją przeszli do codzienniej rozmowy o dawnych i o nowych pięknościach Warszawy.

— Widziałeś dziś Aplecińską?

— A któżby jej nie widział! Od rana do zmierzchu włóczy się ze zwiędłemi wdziękami swych córek po wszystkich ulicach Warszawy, jak żydówka z koszem przegniłych pomarańcz.

— Gadaj zdrow; Malwina jeszcze ani myśli z placu ustąpić.

— Felix Jemiola porucznik z I pułku ułanów, ex kawaler panny Malwiny, był w sobotę u Wielkiego *Kięcia*, prosząc o urlop na 3 miesiące, żeni się z jakąś prześliczną Litwinką i wyjeżdża do dóbr swoich w Augustowskie.

— Dawna historia; ale ja wam powiem coś nowszego. Przeszłego roku pod jesień przyjechała tutaj do Warszawy pani Widłowska z córką jedynaczką bardzo bogatą, bardzo piękną. W grubój żałobie po mężu i ojcu nigdzie nie bywały, dopiero od kilku tygodni zaczęły wizytować i przyjmować.

— Niechaj umieram, jeżeli kiedykolwiek z ust twoich istotną posłyszałem nowinę; — to, co już na czterech rogach miasta otrąbiono i ogło-

*3 (za upomnienie)*

szono, w najlepszej wierze za nowinę powtarzasz. Słuchaj więc, ja ci o panie Widłowskiej coś więcej opowiem. Od niepamiętnych czasów bywają u pani Widłowskiej:

1. Nasz Pułkownik.

2. Podporucznik hrabia\*

3. Jakiś wyظیمowany Alfred, fanfaron salonowy.

4. Jakiś pan Kazimierz, szlachcic, ekswojskowy.

5. Jakiś uczeń z fakultetu filozoficznego.

6. Stary kasztelan Z\*\*\*, a prócz tego pół tuzina stałych gości kręci się obok panny Widłowskiej; — na przeprażkę jeszcze kilkunastu młodzików, a ona z całą rutyną najprzebieglejszej kokietki każdego darzy uśmiechem nadziei i słówkami miodowemi, nierzadko i uściśnieniem ręki.

Na te słowa powstał na uboczu siedzący mężczyzna w cywilnym ubiorze, zbliżył się do mówiącego i rzekł doń głosem oburzenia:

— Za te wyrazy, ubliżające panie Widłowskiej, odpowiesz mi, panie, na drodze honorowej; obecnie proszę pana, abyś się wstrzymał od dalszego kłamstwa w tym przedmiocie.

— Jak mi pan udowodnisz, że jesteś godnym honorowego zadośćuczynienia, znajdziesz mnie gotowym do honorowej rozprawy; tymczasem

(-egomusz) Oklen.

zaś przy prawdzie mojego opowiadania obstać i nie przyjmuję żadnych rozkazów milczenia od osoby, zupełnie mi nieznanój, a podsłuchiwaniam poufnych rozmów zeszpeconój.

— Niegdyś dowodziłem pierwszym szwadronem trzeciego pułku ułanów, obecnie jestem obywatelem ziemskim, — to jest moja tymczasowa dla pana legitymacya. Poufnój gadaniny nie podsłuchiwałem, tylko ją słyszałem przymusowo, bo masz, panie, głos donośny, przeto uczyniony mi zarzut o ile niecny o tyle jest niesprawiedliwy.

— Ale to wszystko nie dowodzi żadnego prawa, abyś mi pan nakazywał milczenie.

— Powstrzymanie potwarzy, rzuconój na pleć słabą, jest obowiązkiem ściśle honorowego człowieka, a dla mnie jest obowiązkiem podwójnym, — bo się zaszczytam najszanowniejszemi względami niktzemnie przez pana spotwarzonój osoby, — i mój rozkaz milczenia powtarzam z tą najuroczystszą przysięgą, że raczej posunę się do niegodnój nas ostateczności, aniżeli ścierpię jedno słowo dalszój potwarzy.

Szanowny obrońca poparł te wyrazy uchwyceniem widelca czy noża; — obecni koledzy zawstydzonogo oficera poskoczyli na rozejm; — jaż po wymianie nazwisk i miejsca zamieszkania

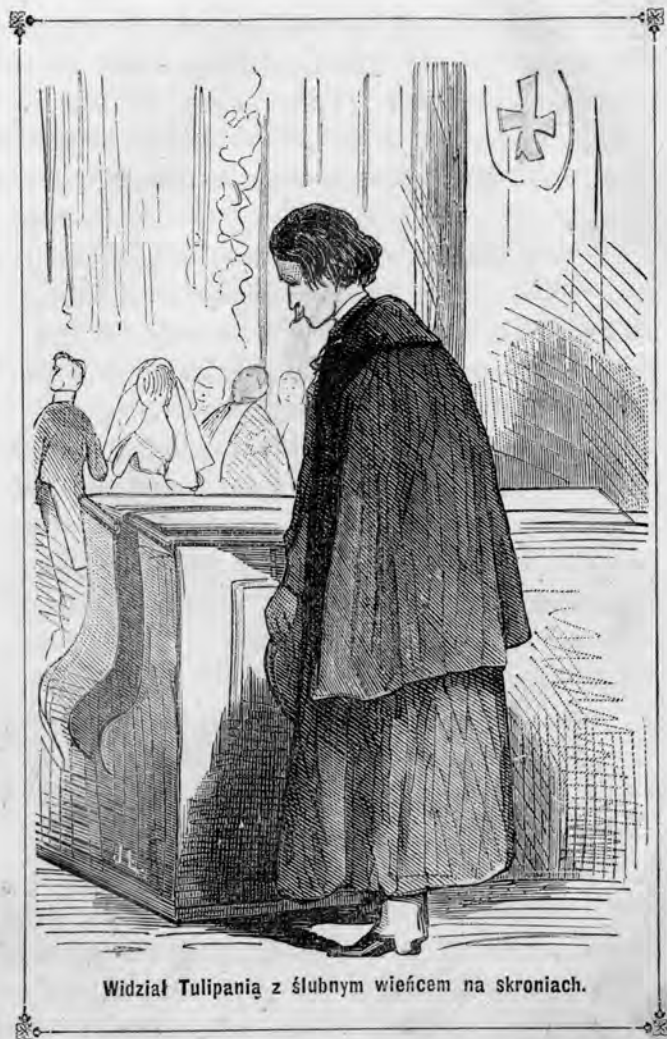
stron obydwóch sprawę odroczone do jutra, i w kilka minut w sali jadalnej pod Żarłokiem było pusto i głucho.

VIII.

Bohaterem powyższego ustępu był Kazimierz\*\*\*, o którym panna Tulipania wspominała w liście, pisanym do swojej wielkiej przyjaciółki, do panny Churgotte, o którym rozmawiała z *mamą*; kiedy z Chrapów wyjeżdżały do Warszawy.

Pojedynek odbył się na Bielanach bezzwłocznie, bo nazajutrz. Potwarca wyszedł bez szwanku, szlachetny obrońca kulą w piersi ranny, przeszło trzy miesiące leczył się w jednym z hotelów warszawskich, i kiedy powrócił do zdrowia i pierwszy raz wyszedł na ulicę, spotkał weselny orszak swojego rywala Alfreda\*\*\*, zajeżdżający przed kościół Kapucynów. Siłą najgwałtowniejszego uczucia wiedziony wtłoczył się z mnóstwem ciekawych aż przed wielki ołtarz. Widział Tulipanią z ślubnym wieńcem na skroniach, z uśmiechem radości na ustach, słyszał jej przysięgę na wierność, miłość i posłuszeństwo dla Alfreda.

Kazimierz nie kochał się w pannie Tulipanii, ale prawdziwie kochał pannę Tulipanią, więc oszczędził jej aktorskiego ukazania się przy oł-



Widział Tulipanią z ślubnym wieńcem na skroniach.

4. C. P. A.

2. C. P. A.

tarzu; — dopiero po skończonym obrzędzie zbliżył się nieznacznie do panny Chourgotte, która była druchną panny młodej, i dając jej pierścionek węzowy z włosami, prosił głosem drżącym, aby ten upominek raczyła zwrócić niewiernej kochance.

— Tulipcia panna zawsze kochał...

— I ślubowała innemu?

— A cóż to ma do tego, ślub i kochał, dwie bardzo różne rzeczy.

Tulipcia, szukając oczyma swojej najukochańszej przyjaciółki, spostrzegła Kazimierza; — lekki rumieniec przebiegł jej licą, pokryjomu ułamała gałązkę ze ślubnego wieńca i podała ją pannie Chourgotte, szepcząc na ucho: c'est pour lui. Panna Chourgotte wykonała tajemne polecenie panny młodej z najszczerzą skwapliwością. Kazimierz na miazgę pogniótł gałązkę, całym sercem zadrzał ze zgrozy i szybko się oddalił.

## IX.

Bólem, boleścią i smutkiem trapiiony Kazimierz do swojej wiejskiej powrócił zagrody. — Tulipcia z mężem Alfredem w towarzystwie lubej przyjaciółki pocztowymi końmi spieszyła do celu wszystkich życzeń, do Paryża.

— za upominek C.B.K.

(remanes)



Kazimierz w czynnym a szlachetnym życiu obywatelskim znalazł ulgę zranionemu sercu; Alfred, na bruku paryskim marnotrawiąc majątek Widłowskich, pobłażał zalotności Tulipci, a w Paryżu nie zabrakło pani Alfredowej na wielbielcach jej powłóczyście mdlejących, nęcących spojrzeń.

Kilku podróżujących rodaków, jeden Hiszpan, dwóch Anglików i trzech Włochów stanowiło mozaikową kolejkę w sercu pani Alfredowej przy towarzystwie nieodstępnej panny Chourgotte.

Kazimierz\*\*\* poznał i pokochał córkę swojego niegdyś towarzysza broni, — i czysta, spokojna miłość połączyła go z bogobożnym dziewczeniem, z ośmnastoletnią Heleną, co żadnego nie czytała romansu, co zasad ś. religii i dziejów naszej przeszłości uczyła się mową rodzinną, mową przodków swoich, mową dla Kazimierza wdzięczną, w najłżejszych odcieniach zrozumiała, z duszy i z serca płynącą. Kiedy Kazimierz i Helena coraz nową spójnią i strojnością myśli i uczuć ogniwo najszcześniejszego pożycia stwarzali, a swoim rodzicom niewysłowioną niesli pociechę i radość, — Alfred i Tulipcia z wzajemnej obojętności przeszli przy końcu drugiego roku małżeństwa do obustronnych wyrzutów, do jawnej kłótni, wstrętu i nienawiści, manifestującej się sło-

5 - poprosił Sł.

wami najsprośniejszymi, najżelźwyszemi. W tak cierpkim do męża stosunku Tulipcia szukała rady i pomocy u swojej przyjaciółki, u panny Chourgotte. Powszechnie to znana jest rzeczą, że przyjaciółki, a zwłaszcza z gatunku Chourgotte, przebornie radzić umieją. Dnia 18 marca 1821 roku pani Alfredowa\*\*\* zniknęła z Paryża. Z kim pojechała, dokąd pojechała, pan Alfred\*\*\* w głowę zachodził, — posądzal Włochów, Anglików, a nawet i swoich rodaków, — ale rzeczywistego śladu powziąć nie mógł.

W końcu zamierzył do kryminalnej pociągnąć odpowiedzialności pannę Chourgotte, jako domniemywaną sprawczynię jego hańby i nieszczęścia, gdy nadspodziewanie został aresztowany i odprowadzony do więzienia ś. Pelagii za marne 60,000 franków, pożyczonych w czasie ubiegłego karnawału.

W rok po tém zdarzeniu pan Dourens w Warszawie odebrał następujący list w języku francuzkim, który tutaj w wiernym przekładzie umieszczam.

Neapol 28 marca 1822 r.

*Szanowny Ziomku!*

Przed dwoma miesiącami Alfred\*\*\* umarł w Paryżu. Pozostała po nim wdowa, idąc za praw-

4 M M

dziwą skłonnością serca swojego, zaręczoną wczoraj została młodemu, bo dopiero 18 lat liczącemu, kawalerowi Don Navez, jednemu z najznakomitszych poetów Hiszpanii. Tulipcia jest bardzo szczęśliwą. Ślub odbędzie się w dniu 10 maja pod lazurówem Italii niebios sklepieniem u stóp Wezuwiusza, na co już poetyczny oblubieniec potrzebny indult wyrobił. Nikt tutaj o czém inném nie mówi, tylko o tym wielkiego natchnienia pomysle.

Ja mam być ubraną w stroju Sarmatek, jako reprezentująca matkę oblubienicy. Na ten wielki obrzęd zaprosiliśmy wszystkie znakomitości stolicy. Z obok załączonego urzędowego pełnomocnictwa, którym Cię nasza poczciwa Tulipcia szczyca, taki zrobisz użytek. Ponieważ dobra Chrapy są z ojczystego spadku dziedzictwem Tulipci, więc panią Widłowską przypozwiesz do zdania rachunku pobieranych dochodów od śmierci śp. Anzelma Widłowskiego.

Przez ten obrachunek powinienes posagową sumnę pani Widłowskiej zupełnie umorzyć. Po ukończeniu tego procesu dobra Chrapy masz sprzedać bezzwłocznie komukolwiek i za jaką bądź sumnę, bo głównym jest warunkiem, abys pieniądze przysłał najdalej przy końcu czerwca do Frejburga w Szwajcaryi, gdzie my tam 15

24 Chm.

czerwca z pewnością przyjedziemy na słabość Tulipci; a już w początkach września oczekiwać nas będą w Madrycie. Wspaniałomyślna Tulipcia za wypełnienie jęj poleceń przeznacza Ci 20,000 franków, którą to sumnę upoważnia Cię odebrać z wypłaty szacunkowej dóbr Chrapy. Czekamy Twęj odpowiedzi jak najrychlejszję. Za tak korzystny dla Ciebie interes, proszę Cię, abys mi przysłał prawdziwy szal turecki i abys mi doniósł, czy to jest prawdą, że mój brat założył restauracyą w Warszawie i że już do 100,000 zarobił. Panu Gapińskiemu przy zdarzonęj sposobności odeslij mój bilecik, a panu Kazimierzowi\*\*\* powiedz, że go Tulipcia zawsze kocha.

Do widzenia się! do widzenia.

Suzette Chourgotte.

X.

Wczoraj z południa już od godziny miłą dla serca mojego prowadziłem rozmowę z jednym z moich przyjaciół, gdy służący oznajmił przybycie jakięjs ubogięj pani. Proszę, — odpowiedziałem służącemu. Goszczący u mnie przyjaciel, czy przez delikatność czy przypadkiem oddalił się do przyległego pokoju, gdy do mojęj komnatki wsunęła się chuda, wysoka kobieta z obliczem nad-

J. P. S.



zwyczajnych cierpień, lat, jak mi się zdawało, sześćdziesiąt, w ubiorze niegdys bardzo strojnym, obecnie bardzo wyszarzanym i bardzo zniszczonym.

— Jakież interes panią do mnie sprowadza?

— Powiadano mi, że pan potrzebujesz artykułu do nowej gazety, pod *tytułem* Dziennik warszawski na feileton, a ja posiadam bardzo duży artykuł.

— O czém i przez kogo pisany?

— To jest tłumaczenie moje własne jednego z excelujący romansu sławnego Dumas.

— Redakcyja Dziennika warszawskiego przyjęła zasadę tłumaczonych romansów nie umieszczać; ale księgarze tutajsi bardzo chętnie drukują przekłady francuzkich romansów.

— Ja byłem u kilku, ale natenczas nie mogą drukować...

— To pani się wstrzymaj, aż będą mogli drukować.

— J'ai besoin d'argent.

— Pani jesteś zapewne Francuzką?

— Ja urodzona Polka, née Widłowska.

Przez uchylone drzwi przyległego pokoju zajął mój przyjaciel Kazimierz\*\*\*, obaczył mówiącą i z przerażeniem zawołał: Ach Boże! to ona, Tulipania!



Wsunęła się chuda wysoka kobieta.

J. C. K.

J. C. K.

— Ah mon Dieu! c'est vous Casimire! i ubrudzoną husteczką zasłoniła pomarszczoną twarzączkę.

Kazimierz\*\*\* uchwycił za kapelusz i wybiegł do sieni, prosząc mnie o jedną chwilę rozmowy.

— Ja nie mogę patrzeć na jej nędzę; oto 300 złp., więcej nie mam przy sobie; spytaj się, gdzie mieszka—nie powiadaj, że odemnie, ale ją zapewnij o dalszej pomocy.

Tulipcia ze łzami wdzięczności przyjęła złp. 300, wymieniła numer domu i ulicę, przy której mieszka, i do szarej godziny opowiadała mi rozmaite przygody swojego życia.

— Więc po śmierci pana Navez pani trzeci raz poszłaś za męża?

— Tak, za tego Anglika, co był taki brutal.

— I Anglik także umarł?

— Nie, on żyje, ale pojechał do Kalifornia.

— I czemuż pani z nim nie pojechała do Kalifornii?

— Nie chciał mnie *wziąć* ze sobą.

— A panna Chourgotte?

— Ona w Paryżu za męża, bardzo bogati...

— A któż mieszka w Chrapach?

— Ten pan, co się ożenił z córką pana Dourens.

— I pani się będzie procesować z panem Dourens?...

3x Chł.

— Ja będę; wczoraj dostałam świadectwo, że ja uboga, proces nie będzie kosztował.

— A matka pani czy żyje jeszcze?

— Żyje,—mieszka w dobroczynność.

— A gdzie pozostały dzieci z pierwszego małżeństwa?...

— Jeden tylko córka jest u moi dawny guwernantki w Paryżu.

— A z drugiego małżeństwa?...

— Dwóch syna w Madryt.

— A z trzeciego małżeństwa?

— Jednego syn w London.

— Czy pani wiesz, komuś winna przypisać nieszczęście swojej matki, swoich trzech mężów i czworga dzieci?...

— Je ne sais pas...

— Pannie Chourgotte!...

— Je ne sais pas.

— Ale lucyfer wie oddawna i we właściwym czasie obliczy zawsze zasługi. Teraz wędruj asani do swojej kwatery, bo się już na ulicy ściemniło.

Asani powędrowała,—jam za świeżej pamięci zeszkicował pokrzywkę,—daj Boże, aby na pożytek starających się o zagraniczne guwernantki.

*Yrkoda, re nie gasta*

## NADZWYCZAJ RZADKA

W KRAJU NASZYM OSOBLIWOŚĆ.

*It Cz. 1.*

## NADZWYCZAJ RZADKA

W KRAJU NASZYM OSOBLIWOŚĆ.

W miesiącu maju bieżącego r. 1847 odwiedziłem zacnego obywatela w powiecie stanisławskim nad rzeczką Liwcem. Uprzejmość i szczerą gościnność, widok porządku i ładu w gumnach, we wsi i na polu, miłe zbudziły uczucie. Cały rano spędziliśmy na oglądaniu inwentarzy, zasiewów, nowych budowli i na przyjemnej pogadance. Około południa poczęli się zjeżdżać sąsiedzi i sąsiadki, — było dzień rocznicy urodzin, w prawdziwym znaczeniu tych wyrazów, *czcigodnej matki obywatelki*, gospodyni tego domu. Z każdą chwilą zwiększało się nasze towarzystwo i przy drugim śniadaniu naliczyłem osób trzydzieści.

— Któż jest ta pani w atlasowej sukni?...

— Pani S... wdowa, dziedziczka Jagnięcej Woli.

— A ten jegomość łysy?

— Dzierżawca z Pestkowa.



— A ten wysoki, tłusty pan z nosem czerwonym, który konfitury łyżką stołową uprzęta?

— To jest dziedzic *Lisiego Krza*, obywatel bardzo majątny...

— A ta panna mocno usznurowana czyjaż to córeczka?...

— To jest córka téj pani, która się w zwierciadle przegląda.

— A ta druga panienska?...

— To jest córka pułkownika K..., który tak starannie przepolszył *Wyzwoloną Jerozolimę* Torkwata Tassa.

— Pogodném i szlachetném jest jój ócz spojrzenie.

— Inném być nie może, bo pogodną i najszlachetniejszą jest jój dusza, a oczy są wierném duszy zwierciadłem. W majątku swoich rodziców otworzyła szkołkę wiejską i w téj szkółce jest od lat kilku pilną i najgorliwszą nauczycielką. Z jój ust nie posłyszysz terminologii filozoficznej, pomimo że jój naukowe ukształcenie wysokiego doszło stopnia; ale to naukowe ukształcenie skierowała nie do słów uczenie, górno brzmiących, lecz do najszlachetniejszego na ziemi czynu, do umiłowania ludu wiejskiego, do chodowania młodych latorośli w chrześcijańskim ogródku, jój wolą stworzonym.

— *To jest nadzwyczaj rzadka, a bez zaprzeczenia najznakomitsza i najszlachetniejsza w kraju naszym osobliwość.*

Wy wszystkie pseudo-postępowe, do urojonój, do niezrozumianój emancypacyi wdychające pseudo-filozofki, okryjcie się rumieńcem wstydu przed tym przezczystym wzorem chrześcijańskój dziewicy.

Tém krótkim spomnieniem składając publiczną cześć Ludwice, nauczycielce szkółki wiejskiej, pytam nawiasem (bardzo lubię nawiasy) tego wysokiego, tłustego pana z czerwonym nosem, który stołową łyżką konfitury zajada, po zł. 60 sukno angielskie kupuje, batystem nos uciera, wyłącznie paryzkie czyta romanse, przez złote okulary świat ogląda a na niewdzięczność ludu wiejskiego utyskuje, *jakżeż po dziś dzień wywiązałeś się, uprzywilejowany panie, z duchowego obowiązku względem ludu wiejskiego?* He? gadajże przecież!

— Moi ludzie nie pomarli z głodu i na kark im nie ciecze.

— Dla zwierząt pasza i obora wystarczają; człowiekowi, bliźniemu nie uchylajmy praw najwyższych, praw bozkich.

To jest pierwszy tom, w którym  
nie ma żadnych zmian, i nie  
został poprawiony.

Wszystkie prawa zastrzeżone  
do dnia 1840 roku, w którym  
przez tym, przez ten, w którym  
dla niego.

Ten krótki spis treści  
nie może być uważany za  
pełny, ponieważ nie  
można było przewidzieć  
wszystkich zmian, które  
mogłyby nastąpić.  
Wszystkie prawa zastrzeżone  
do dnia 1840 roku, w którym  
przez tym, przez ten, w którym  
dla niego.

Wszystkie prawa zastrzeżone  
do dnia 1840 roku, w którym  
przez tym, przez ten, w którym  
dla niego.

# JOZEF IGNACY KRASZEWSKI

W WARSZAWIE.

105

*Handwritten signature at top of page*

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

W WARSZAWIE.

Zaledwo usłużny Kuryerek doniósł, że Kraszewski jest w Warszawie, a już każdy czytać umiejący wiadomość tę ze spółczuciem powtarzał i z ust do ust podawał. Warszawa z dawien dawna jest miastem poczciwém. Spółczucie dla krajowego pisarza czyni zaszczyt społeczności, prawdziwie szlachetny zaszczyt, — bo są i nieszlachetne zaszczyty; np. czytałem ogłoszenie, że jakiś pajazzo miał mieć zaszczyt chodzenia po linie; kupiec przy siódmém rozmyślném bankructwie miał zaszczyt ofiarować swoim wierzycielom po 20 za 100; lichwiarze mają zaszczyt upraszać o lichwę od lichwy, a obrzydliwszych jeszcze zaszczytów coraz to więcej. Lecz mniejsza o to, bywa czas mokradeł na chwasty, są i rosy niebieskie na wzrost i dojrzanie ziarn pszenicznych. Koniec końców ku zaczęj stronie wracając, Kra-

*Handwritten signature at bottom of page*

szewski miał zaszczyt być powitany w Warszawie najprzód ogólnym społecznym, następnie mnóstwem pojedynczych oznak czci, uwielbienia, przyjaźni i życzliwości, a tylko w ciasnych zaułkach brudniejszego serca zazdrość milczkiem się żółciła, — lecz o takich jaszczurkach i wspominać nie warto.

Kraszewski czy to geniusz?... Nie, — to znamenity talent tylko, a z tym talentem chęć zaw sze prawa, szlachetna i poczciwa; wytrwałość niez morderwana i namiętna, obfitość olbrzymia, łatwość, jak gdyby na kotle parowym warzona, ztąd czasem znów szmermele, a tuż przy szmer melach dzielne kongrewskie rakiety. Kraszewski w przeciągu lat 15 napisał 130 tomów.

Gdybyś literki policzył, byłoby milionów kilkanaście; — gdybyś atrament odwilżył, byłoby garnicy kilkadziesiąt; gdybyś pióra pozbierał, mógłbyś tysiącem skrzydeł z Warszawy do Ameryki powietrzną odbyć żeglugę; gdybyś papier zgromadził, mógłbyś w którymkolwiek z miast powiatowych wszystkie budowle z wierzchu i wewnątrz wykleić, a gdybyś wszystkie myśli na jeden zegnał rynek, byłby zieglk, wrzask, hałas i kłótnie na mil kilkadziesiąt wystarczające.

Prócz Ulany ludowych poswarków nadzwyczaj skąpo; — szkoda, bo Ulana jest najpiękniejsza,

przedmiot najwięcej żywotny, najwięcej chrześcijański.

Było to z południa o godzinie 4-jej d. 5 grudnia roku od stworzenia świata 5751<sup>1)</sup>, gdym w poobiedniej godzinie, *Witoldowe* czytając *boje*, zdrzymnął się troszeczkę. Już od roku jak po obiedzie drzymać zaczynam. Mój Boże! minęła ta jarka młodość, w której za dnia ani na chwilę zasnąć podobnym nie było, a cóż dopiero przy czytaniu *Bojów*.

Drzymię, marzę o przeszłości, o czasie obecnym i przyszłym, i już mi się na piękny sen zbierało, gdy wtém z łoskotem wbiega do mojego pokoju siwo-oki Erazmek i z zarumienioną twarzą ku mnie zawołał:

- A wie wujaszek, kto przyjechał?...
- Wiem.
- No któż?...

— Manas Szlama z Opatowa, który ma twój rewers z roku 1843. Był tutaj już dwa razy i życzy sobie widzieć się z tobą koniecznie.

- Jam mu złamanego grosza nie winien.
- On też o złamany grosz nie upomina się

<sup>1)</sup> Jeżeli się w rachunku nie pomylili.

2-30 numeru w raporcie C. K.



— wcale, tylko o 1730 złp. z procentem prawnym po sześć od sta.

— A czy nie wziął czterdziestu korcy pszenicy i dwudziestu trzech sążni drzewa?...  
— Nie wiem, czy wziął, czy nie wziął, ale widziałem, że jest w posiadaniu rewersu z two-  
— jém imieniem i nazwiskiem; — jeszcze w pośrodku  
— umieściłeś „*Habdank*.“ Nie wiedziałem, że tak  
— pięknego herbu używasz. Ale bo też pożyczając  
— od żyda 1730 złp., można się *Habdank* podpisać.

— Wujaszek zawsze żartuje. Mniejsza o ży-  
— da; wie wujaszek, że Kraszewski przyjechał?

— Był tu u mnie dziś rano.

— Kraszewski?...

— Kraszewski, który się z Urszulką, moja  
— siostrą stryjeczną, ożenił, podobno Bonifacy mu  
— imię.

— Ale to nie ten Kraszewski: Józef Ignacy  
— Kraszewski, sławny literat przyjechał i stanął  
— w hotelu angielskim.

— Czytałem w Kuryerze i jutro odwiedzić  
— go zamierzam.

— Jakto?... a przecież on do wujaszka przyjść  
— powinien.

— Widzisz, Erazju, w Anglii jest zwyczaj, że  
— przyjeżdżający nie błądzi, szukając znajomych po  
— nieznaném sobie mieście, ale znajomi odwiedzają

przyjeżdżającego. Zwyczaj ten za słuszny uznaję  
i użyję go do odwiedzin Kraszewskiego tém wię-  
cój, że przez to pragnę złożyć należny hołd jego  
wielkiej zasłudze w życiu naszego piśmiennictwa,  
i z całego serca żądam go poznać naocznie, bo li-  
stownie znamy się od lat kilku.

Nazajutrz gdym o godzinie 10-<sup>ej</sup> z rana przy-  
szedł do hotelu angielskiego, nie zastałem pana  
Józefa, ale zacny rodzic autora, pan Jan Kra-  
szewski, chorąży, raczył mnie prosić uprzejmie,  
abym się zatrzymał, zapewniając, że syn za chwilę  
z miasta powróci <sup>1)</sup>. I w istocie nie ubiegło 5 mi-  
nut miłej rozmowy, gdy drzwi się nagle rozwarły  
i wbiegł Józef Ignacy Kraszewski.

— Otóż i jest mój syn — zawołał pan chorąży.

Serce moje głęboko zadrżało: widok człowie-  
ka, który pocziwéj literackiéj służy sprawie,  
a służy z poświęceniem swojego zdrowia i wszyst-  
kich sił swoich, widok Józefa Kraszewskiego na-  
pełnił mnie rzewném i słodkiém uczuciem.

<sup>1)</sup> Do nader przyjemnych chwil życia mojego liczę bliższe nastę-  
pnie zapoznanie się z czcigodnym Janem Kraszewskim, chorążym,  
którego szlachetna słodycz, prawa szczeróść i domowa gościnność ży-  
wo mi przypominały starodawny obyczaj odleglejszych przodków na-  
szych. Więcorna zaś gawędka z panem chorążym, — to nektar dla  
znużonego serca sztynwemi formami wielko-miejskiemi.

1. (Erazju) Cpl.

2. (Jan)

Chorąży Kraszewski

— Jestem Au. Wi, przybyłem, aby się z tobą osobiście poznać.

— Serdecznie ci dziękuję i wdzięczny ci jestem za krok, uprzedzający moje życzenia osobiściego poznania się z tobą. I uścisnęliśmy się szczerze jak dwaj dawni dobrzy znajomi.

W tęż chwilę przyszedł drugi, trzeci i czwarty literat. Po miłych przywitaniach nastąpiły pytania, odpowiedzi,—a ja tymczasem patrzyłem się pilnie, jak też ten olbrzym literacki wygląda.

Wam, coście go nie widzieli, opiszę.

Wzrost niski, budowa szczupła, włosy jasne, oczy modre, spojrzenie żywe i wesołe, na czole myśl widoczna, nos wielki, uszy cudownie małe, usta obdarzone przyjemnym uśmiechem,—w ogóle cały wyraz wdzięcznie uprzedzający;—trzymają się nieco pochyło; świadectwo ciągłej pracy piśmiennej, pracy nadzwyczajnej; urodził się w roku 1812, liczy więc obecnie lat 34,—wydaje się młodszym. Ubiór miał bardzo przyzwoity: czarny, skromny, bez najmniejszej oryginalności.

Dnia następnego pan Józef odwiedzić mnie raczył. Cośmy nagwarzyli, trudno powtórzyć, bo było za wiele pisania; a nie wszystko o literaturze, bo i o rolnictwie, i o handlu, i o przemyśle, i o ludziach w ogólności i w szczególności mówiliśmy, rozprawialiśmy, jako w mowę nieleniwi.

A ciekawym jest pan Józef, więc pytanie szło za pytaniem;—jam w odpowiedziach nie rad być dłużnym,—więc nagadaliśmy się obficie. Od tej pory widywaliśmy się codziennie; byliśmy na kilku biesiadach, bo obiady i uczy, u literatów i w tak nazwanych domach znakomitszych<sup>1)</sup>—dla Kraszewskiego wyprawiane, szły nieprzerwaną kolejką z dnia na dzień.

Pan Kraszewski bez zarozumiałości, sercem wdzięcznym przyjmował każde zaproszenie, i ztąd był jak na młynie, chwili spoczynku nie doznał.

Kiedy się tak bieg rzeczy już po trzeci tydzień toczy, 20 grudnia przychodzi do mnie mało mi znany, niejakiś pan Kwasikowski, a po troskliwem dopełnieniu najgrzeczniejszej formy przywitania następującą zanoszą prośbę.

<sup>1)</sup> Aby zyskać nazwę domu znakomitszego, należy mieć koniecznie:

1. kilku służących w liberyi;
2. pomieszkane na 1 piętrze, obszerne i ozdobne;
3. bieliznę stołową holenderską i porcelanę i srebra;
4. kucharza;
5. wino w piwnicy;
6. powóz i konie;
7. ubiór podług dziennika mód paryskich;
8. bywać na teatrze w łoży pierwszego piętra, a na koncertach siedzieć koniecznie w pierwszym rzędzie krzesel, gdyby się i pchać przyszło.

Ponieważ zaś z ukształcenia umysłowego nikt ludzi dorosłych nie egzaminuje, można przytem być głupiuteńkim.

L. (gł.) P. K. K.

— [Signature]

— Łaskawe względy, które pan dobrodziej okazać raczyłeś dla siostry mojej, oświadczając o jej rękę dzisiajszego jej męża, z którym jest bardzo szczęśliwą, ośmielają i mnie upraszać pana najpokorniej<sup>1)</sup>, abyś raczył być łaskawym wpływając i na los mój przez przyczynienie się do szczęścia mojego na całe życie,—a nietylko dożgonną i nieograniczoną będę najszanowniejszemu panu winien wdzięczność, ale nadto pan będziesz moim prawdziwym dobroczyńcą.

— O cóż panu idzie, mów że pan wprost, bez ustępów rozrzewniających.

— Pani! mnie idzie o los mojego życia.

— I do jakiejże to kategorii ten los zmierzony?...

— Ja, panie, kocham się w jednej tutaj panience.

— A cóż, czy ja jestem panu na przeszkodzie?...

— O nie! ale pan dobrodziej mógłbyś ziszczyć moje wszystkie nadzieje.

— Słyszę słowa, rzeczy nie rozumiem.

— Otóż ja panu ten cały interes opowiem. Rok temu poznałem w ogrodzie Ohma bardzo ładną panienkę i zaraz dowiedziałem się, że to jest

<sup>1)</sup> Wyraz co raz więcej używany.

córka bardzo bogatego obywatela warszawskiego, mająca bardzo dobrą edukacją, i że mówi po francuzku, że gra na fortepianie, że tańczy kaczuczę i—że nawet jest autorką kilku powieści, które w rękopisach posiada; i że jej cioteczny, brat bywa u państwa Butlewiczów, u których to państwa bawi się znów przyrodnia siostra pani Butlewiczowej, bardzo piękna panna, o którą ten cioteczny brat mojej panny stara się już od roku.

— Aż mi tchu brakuje, tak jestem ciekawy, gdzie mnie pan tutaj przylepisz!...

— To zaraz, panie, będzie. Otóż ja poznałem się z ciotecznym bratem...

— Przepraszam, że przerywam; dzisiaj pan jesteś w chęci żenienia się z bogatą i edukowaną córką obywatela warszawskiego?...

— Tak jest, panie; staram się o rękę panny Justyny.

— Więc zbiierz pan przytomność i krótko a zwięźłowato objaśnij mnie, jak ja ci pomocnym być mam, abyś rękę panny Justyny pozyskał?...

— Ja panu wszystko opowiem.

I z nielitościwie długiego opowiadania dowiedziałem się w końcu, że panna Justyna oświadczyła wczoraj panu Kwasikowskiemu, iż jeżeli potrafi ułatwić jej sposobność poznania sławnego autora, Kraszewskiego, w takim tylko razie ze-

2 + (1/2) + (1/2)

3 = 1/2 + 1/2

zwoli, aby o jej rękę rodziców poprosił. A więc pan Kwasiowski słysząc, że ja bardzo dobrego serca, że się znam z panem sławnym autorem Kraszewskim, — przyszedł prosić i błagać o radę, o pomoc, o wpływ na jego los i t. d.

Gdym pojął o co rzecz idzie, z ufnością w uczuciowość autora *Pod włoskim niebem*, zapewniłem pana Kwasiowskiego, że jutro wieczorem z panem Kraszewskim wprost do rodziców panny Justyny przyjadę. Kwasiowski w uniesieniu rzucił mi się na szyję i tak mnie łzami wdzięczności umazał, że aż było potrzeba ręcznikiem wdzięczność jego przed zwierciadłem obetrzyć.

— Niech pan dobrodziej będzie pewnym, że ja, póki będę żył...

— Ale mój panie Kwasiowski, jeden kładę warunek, abyś o żadnej wdzięczności nie gadał.

— Jakto! — ja panu nie mam być wdzięcznym?... bo pan dobrodziej nie wie, *jak panna Justyna jest literatką i jak ona mi będzie wdzięczną*, gdy pan Kraszewski ten wielki uczyń dla nich zaszczyt...

— Mniejsza o zaszczyty; powiedz mi raczej, panie Kwasiowski, ażali też rodzice panny Justyny bytność pana Kraszewskiego mile przyjąć zechcą?...

— Co pan dobrodziej mówisz!... a toć że tu w Warszawie nie ma takiego człowieka, któryby pana Kraszewskiego otwartemi nie przyjął rękoma.

— Więc zgoda; zapewnij pannę Justynę, że się jutro stawimy z panem Kraszewskim. Ale, ale — gdzież mieszkają rodzice panny Justyny?

— Przy ulicy Solnej Nr.\*\* — Ach! jak oni będą szczęśliwi! A ja panu dobrodziejowi zawdzięczać będę los całego życia mojego... bo ja zaraz poproszę wuja mojego, pana naczelnika niema by nazajutrz oświadczył.

— Bardzo się cieszę, że chociaż pośrednio panu Kwasiowskiemu pomocnym być mogę.

Z tysiącem wyrazów dzieczności na ustach; a bez wątpienia i w sercu wybiegł pan Kwasiowski do panny Justyny, aby donieść o szczęściu swoim.

Nazajutrz o godzinie jedenastej z rana udałem się do angielskiego hotelu, aby Kraszewskiego uwiadomić, że jego osobą na jedną godzinę rozrządził. Przychodzę do angielskiego hotelu; służący Jaś oświadcza, że jego pan ubrał się w czarny frak i w białą kamizelkę i przed godziną wyjechał na miasto.

— A nie wiesz, do kogo?...

*44 (pamięć) Kraszewski*



— Podobno do tego pana, co to mojego pana maluje.

— Już wiem.

Idę na ulicę Miodową.

— Jest pan w domu?...

— Jest.

— Zapytaj, czy wolno pana odwiedzić.

— Proszę — proszę — zawołał z drugiego pokoju przezacny artysta pan Z...

Wchodzę do pracowni, patrzę jest Kraszewski na płótnie, ale żywego nie widzę.

— Był tu dzisiaj Kraszewski?...

— Był ale tylko 5 minut, nie mogłem go nawet podmalować...

— I gdzież pojechał?...

— Zdaje mi się, że do księcia J...

— Przepraszam cię, panie Antoni, że wpadłem jak po ogień, ale muszę ścigać pana Józefa.

Jadę do księcia J... i dowiaduje się, że pan Kraszewski był, ale pojechał z księciem do księcia stryja.

Jadę do księcia stryja; — książe stryj zapewnia mnie, że musiał z Kraszewskim i z księciem synowcem chyba na schodach ominąć, — i że obydwoj pojechali do księżnej R\*\*.

Jadę do księżnej R\*\*; powiadają mi, że co dopiero było dwóch panów, ale odjechali natychmiast, bo nie zastali księżnej pani.

Patrząc na zegarek — godzina 2; trochę mnie chłód po plecach przebieżył na spomnienie, że o godzinie 6-jej los Kwasikowskiego na Solnej ulicy rozstrzygniętym być ma. Zadumany jadę do hotelu angielskiego; alisci na skrócie ulicy Czystej idzie w futrzanej szubce pocziwy Wójcicki, brat literat. „Stój! stój!“ krzyknąłem na powożącego mnie dorożkarza.

— Kaziu dobrodzieju, dzień dobry!...

— Dzień dobry, chirurgu!

— Nie wiesz przypadkiem, gdziebym mógł Kraszewskiego pochwycić?...

— Mówił mi, że o godzinie 2-jej obiecał się do naszego S\*\*\*, bo zaczął go wczoraj malować.

— Dziękuję. Ruszaj.

I pojechałem i przyjechałem na Nowolipki. Czci najgodniejszy artysta Smokowski siedział jeszcze przed trójnogiem z mokrym pędzlem w rękę.

— Byłże tutaj Kraszewski?...

— W tę chwilę porwał mi go szambelan, tylko dziesięć minut przysiedział. A co, podobien?...

2. (gb) / C. Kraszewski

— Jak dwie krople wody. Nie wiesz, gdzie go uwiózł szambelan?...

— Zdaje mi się, że do pana referendarza stanu M\*\*...

— Do widzenia, kochany panie Wincenty!

I wybiegłem jak postrzelony i wsiałem do dorożki i pędzę na Nowy Świat. Referendarz zapewnia mnie, że dzisiaj Kraszewskiego nie widział, ale słyszał, że ma być na obiedzie u hrabiny P.

Hrabina P... przyjmuje, prosi siedzieć łaskawie; Kwasikowski kręci się przed oczyma mój wyobraźni, pytam o Kraszewskiego. Był przed chwilą, będzie na obiedzie, ale dopiero pojutrze. Przepraszam, kłaniam się najgrzeczniej, odjeżdżam — dokąd?... nie wiem; aliści w porę zjawia się nieoceniony szambelan G...

— Zbawco przezacny! gdzie jest Kraszewski?...

— Byłem z nim u pana Tomasza Zielińskiego, oglądaliśmy jego galeryą obrazów, pod względem doboru książęca! Oryginałów pierwszych w świecie mistrzów, jak mnie Kraszewski zapewnił, jest 19-cie.

— Znam, wiem, zgadzam się; ale gdzież, panie, zostawiłeś Kraszewskiego?...

— Zawiozłem go do mecenasa M...; zamtąd miał być w redakcyi Przeglądu naukowego; o szóstej łącznie z panem K... zaproszeni są na obiad



Jespan Rolewicz kancelista.

21 lipca / Chwał.

do...; o 9-jej zajrzą na posiedzenie Biblioteki warszawskiej; o 10-jej będą u wojewodziny, o trzy kwadransy na jedenastą zejdziemy się w salonie pani B...<sup>1)</sup>

Śród kłopotu jaki mnie dręczył, byłem zniewolony podziwiać obszar wiadomości dziennych zacnego szambelana, ale zarazem wszelką straciłem nadzieję, abym dzisiaj potrafił pana Kraszewskiego na Solną zawieźć ulicę.

Powróciłem z kwitkiem do domu i zdobywając się na rezygnacją, właśnie rozpoczynam pisać list do pana Kwasikowskiego, gdy wchodzi nizka: pękata facyatka z małym noskiem, jeżpan Rolewicz, kancelista, i oddaje mi 70 arkuszy przepisane go raptularza moich Litewskich Ramotek.

— Spodziewam się, że pan dobrodziej będziesz tą razą *kontent* z pracy mojej: starałem się ani jednego błędu nie zrobić, żydka też nie masz żadnego. Tylko oto ten jeden wyraz nie wiem, czym dobrze wyczytał?...

— Który?...

— *A znana hrabiego drobnoczynność...*

<sup>1)</sup> Rzecz dla mnie nie zrozumiała: pan B. żyje, cieszy się dobrą zdrowiem, na przyzwolone utrzymanie domu pracuje, w kraju poezciwie się zaśluzyl, dla czegoż dom jego kobiecą nosi firmę?...

1  
Chyl.

— Nie drobnoczynność ale dobroczynność.  
Pan Rolewicz wyjął z kieszonki scyzoryk i pomyłkę przeszkrobywać począł. W tej chwili Mephistopheles usiadł na mojej peruce i szepnął mi do ucha: Załaduj do dorożki pana Rolewicza i zawieź go do rodziców panny Justyny.“

Aż mi się zimno zrobiło na tę myśl straszliwą; ale zanim Rolewicz skrobania dokończył, powróciła gorącość mojego kłopotu względem losu pana Kwasikowskiego. Mephistophel szepnął raz drugi: „*Idzie o los zakochanego młodzieńca*“ i—bies zwyciężył.

— Panie Rolewiczu! oto masz 35 złp. za dokonaną pracę wzorowego przepisywania. Dam ci świeżęj roboty trzy razy tyle. Wystaram się, abyś w komissyi przeszedł na etat, a może potrafię ci wyrobić urząd dziennikarza, ale za to wszystko zrób mi jedyną jednę usługę.

— Jam zawsze szczęśliwy, kiedy mogę rozkazy pańskie wypełniać.

— Pojedziesz ze mną na ulicę Solną pod nr... ~~(ten a ten)~~ do państwa... ~~(tych a tych)~~ tam cię przedstawię za Józefa Ignacego dwóch imion Kraszewskiego, autora 130 tomów różnorodnych prac literackich; ty zaś ze skromnością, ze spuszczo-nemi na dół oczami, będziesz przyjmował wszystkie pochwały; najmniej mówić, ogólnikami od-

powiadać będziesz i na moje skinienie oświadczysz, żeś zaproszony, a więc zmuszony jesteś miłe towarzystwo opuścić i t. d. i t. d. grzecznie się uklonisz i za 1/2 godziny powrócimy tutaj.

— Pan dobrodziej zawsze laskawie żartujesz.

— Bynajmniej nie żartuję. Proszę cię o to najszczerzej i oto masz moją rękę, że wszelkich usiłowań dołożę, ażebyś posadę dziennikarza otrzymał.

— To moje przyrzeczenie silny wywarło wpływ na kancelistę, zarumienił się, westchnął i po krótkim namyśle zapytał:

— Więc ja mam powiedzieć, że jestem panem Kraszewskim?...

Kwadrans cały trwało objaśnienie celu i nauka, jak się ma znajdować, co mówić i jak odpowiadać winien. O godzinie 7-ój przystrojenie pana Rolewicza było ukończzone a więc niebawem siedliśmy do dorożki.

— Ruszaj na ulicę Słoną.

— Nie wiem, panie, gdzie Słona?...

— To kwaśna czy solna.

— A Solna to wiem.

I ruszył żwawo warszawski dorożkarz. O 7-ój stanęliśmy przed oświetlonym domem przy Solnej ulicy.

Dym trociczek w sieni i aż dwie świece w la-

3 - (pupu) C.K.



tarni upewniały, żeśmy we właściwe przyjechali miejsce. Na wschodach pan Kwasikowski trzy razy pocałował mnie w ramię; w progu pokojów pierwszego piętra mężczyzna chudy, wysoki, około 56 lat liczący (ojciec panny Justyny) przyjął nas z zapewnieniem, że za wielkie poczytuje szczęście i t. d. i t. d. W pierwszym pokoju leżało na stole i na krzesłach kilkanaście salop i płaszczów.

— Panie! a jak mnie tutaj kto pozna?... szepnął mi Rolewicz.

— Wykrzyw głowę, oczy spuść na dół! — ci chutecznie odrzekłem.

#### Scena w drugim pokoju.

*Ojciec panny Justyny do pana Rolewicza.*

— Mam honor prezentować moją żonę; a to moja córka Justyna;—to mój szwagier B..., to mój zięć R..., moja bratowa L..., pani G..., pani Z..., pani B..., pani H..., pan O..., pan sekretarz C..., pan inspektor F..., pan rewizor D..., pani sędzina W..., pani G..., pan sędzia W..., pan H..., panna K..., a to jest siostrzenica mojej żony, a to są dzieci po nieboszce siostrze mojej, Ignas, Staś, Felcia i Stefcia. Dzieci wysunęły się naprzód i wszystkie koleją lat swoich ucałowały ręce pana Rolewicza. Pan Rolewicz pogłaskał każde z całujących go dzieci i spuściwszy oczy na dół, usiadł

na podanem sobie krześle poręczowem. Po chwili ogólnego milczenia panna Justyna, która najbliższe przy panu mniemanym Kraszewskim zajęła miejsce i do prowadzenia rozmowy była przysposobioną, zapytała pana Rolewicza. Pan już od kilku tygodni zaszczytasz nas swoją obecnością w Warszawie.

*Rolewicz.* O tak, już kilka tygodni.

*Panna Just.* I czyliż Warszawa jest tyle szczęśliwą, że się panu pośród nas nie dłuży?...

*Rolewicz.* Bynajmniej.

*Panna Just.* Pan już dawno znasz Warszawę?...

*Rolewicz.* Bardzo dawno. Ja tutaj się urodziłem.

*Panna Just.* O wiem to z życiorysu pańskiego w Naukowym Przeglądzie. Jakżeż pan znajdujesz Przegląd Naukowy?...

*Rolewicz.* O tyle o ile.

*Panna Just.* Zgadzam się z panem, bo ile swoją wybitnością wywyższa się a filozofią zbliża się do stanowiska uogólnionj wiedzy, o tyle znów chwilowem zaniedbaniem się lub krytyką namiętnj indywidualności na stronę ujemną przeważa się. Ale przepraszam, że przy panu ośmielam się mój sąd objawiać, kiedy tutaj sąd pański winienby zdanie moje do prawdziwego ocenienia skierować.

*1 za kompanie*

*4 = (remise) u*

*Rolewicz.* Nic więcej jak słusznie, ale jest to względnie.

*Ja.* Pan Kraszewski, wysoko ceniąc skromność pani, wyrazem *względnie* składa pani oznaczenie strony dodatniej.

*Rolewicz.* To jest w urozmaiceniu uczucia naszego.

Oczy panny Justyny jaskrawém zabłysły światłem.

*Pani G.* (półgłosem). Ach! jakie to piękne wyrażenie!

*Panna Just.* Stwórca wszech rzeczy geniusze tylko obdarza tą bożką słów potęgą, która w każdym brzmieniu wielką myśl ukrywa.

*Rolewicz.* Są chwile w życiu człowieka!..

Panna Justyna, posyłając oczy swoje w sam środek sufitu, głęboko westchnęła i afektowanym głosem tęsknoty wyrzekła: „*To są momenta wielkości wieszczów!*“

Po tych wyrazach panny Justyny wszystko ucichło; Rolewicz w dół oczy spuścił i było cicho jak w grobie.

*Rewizor.* Pan dobrodziej zapewne bardzo wiele podróżował?...

*Rolewicz.* Nadzwyczaj wiele; ja ciągle podróżuję.



— Czy pan Kraszewski pisze w dzień czy w wieczór?...  
— Ja... ja pisuję nad ranem.

*Pani B.* I pan w tych podróżach książki drukujesz?...

*Rolewicz.* Po większej części.

*Panna Just.* Czy pan Kraszewski pisze w dzień czy w wieczór?

*Rolewicz.* Ja... ja pisuję nad ranem...

W całym towarzystwie szeptali: „nad ranem pisuje“ — „nad ranem pisuje“ i z kolei szepnęli mi pan sekretarz „nad ranem pisuje!“

*Panna Just.* Pisząc *Pod włoskiem niebem*, w której pan byłeś okolicy?...

*Rolewicz.* O ja we wszystkich byłem okolicach.

*Ja.* Ale najwięcej pisałeś, panie, we Florencyi i w Rzymie.

*Rolewicz.* Tak, tak, w Rzymie najwięcej.

*Pani D...* Czy pan Kraszewski widział Papieża?

*Rolewicz.* Widywaliśmy się codziennie.

*Pani D...* Czy z nieboszczykiem czy z terażniejszym?...

*Rolewicz.* Pani Dobrodziejko, bo nieboszczyk podczas mojej bytności wyjechał był do morskich kąpiel.

*Pani G.* Jak też terażniejszy Papież wygląda?

*Rolewicz.* Różni różnie sądzą.

*Pan Sędzia.* (do mnie po cichu). Wiesz też

pan dobrodziej, że jest tutaj w Warszawie jeden kancelista, który podobien do Kraszewskiego — nadzwyczajnie.

Śmiertelny pot na moje czoło wystąpił.

*Pan Sędzia.* Tylko że tamten jest lepszej tuszy i słusniejszego wzrostu, i nie ma tego wyrazu, tych rysów, które w twarzy pana Kraszewskiego znamionują jego talent cudowny.

*Ja* (do sędziego). Zapewne, niewątpliwie! (do Rolewicza). Ale mówiłeś mi, panie Kraszewski, że terazniejszy Papież przypomina Napoleona.

*Rolewicz.* Bardzo, bardzo przypomina.

*Pani D.* Czy pan po włosku z nim rozmawiałeś?

*Rolewicz.* Po łacinie, po włosku... ale najwięcej po francuzku.

Panna Justyna, którą niecierpliwiło, że ją od literackiej rozmowy z panem Kraszewskim usuniono, skorzystała z chwili, zapytując...

— Cóż pan sądzisz o *George Sand*, tym kolosie w literaturze francuzkiej?...

Zanim zdążyłem przyjść w pomoc, już Rolewicz przypomniał sobie ze szkół o 7 cudach świata i wybąkał.

— Tak... to kolos rodyjski!

*Panna Just.* O! c'est vrai! cudowne porównanie!... Ależ dopiero jej dzieła po szczególe!?...

*Rolewicz.* Bardzo to względnie; lecz zgadzam się z panią co do ducha wrażeń.

*Panna Just.* Rozumiem pana!..... bo jej dążność nie zawsze jednego, nie zawsze tego samego sięga celu; — nie jest ona jednolitą, dziś np. *Le meunier d'Angibault*, dawniej już *Le compagnon du tour de France*, *Simon*...

*Rolewicz.* Tak... i t. d. i t. d.

*Panna Just.* Pan mówisz i t. d., o jak dowcipnie ale zarazem i złośliwie... Ale np. Lelia, u nas jej jeszcze nie pojmują, nie przejęli się wielkością tej idei usamowolnienia nas... wyzwolenia... O bo Lelia!... (zawołała z zapalem, głośniej, rumieniąc się). Cóż pan sądzisz o mojej ulubionej Lelii?...

*Rolewicz.* Wiele możnaby powiedzieć...

*Panna Just.* Może pan podzielasz zdanie Jules Janin'a, który wyrzekł, że była kobietą bez serca, że...

*Rolewicz.* Zapewne, bo zwyciężyć takim podstępem Samsona, który Filistynów osłał szczeką zwyciężył...

(Zapomniałem Czytelników tej Ramotki uwiadomić, że w początku rozmowy obnoszono bardzo stare wino węgierskie, którego Rolewicz wypił już 4 kieliszki, a zatem rozmarzyło mu się w głowie i przypomniał sobie ze Starego Testamentu o Delili, żonie Samsona, i blisko brzmiące



imię Lelia wziął za Delia;—o Lelii nigdy nie nie słyszał.

— O dowcip nad dowcipy!—wrzasnęła panna Justyna, klaszcząc w dłonie—*mais c'est d'izîn! que esprit! o mon Dieu! quel esprit!* Pan przeciwników naszej emancypacji obrazujesz w Samsonie, a ośła szczęka to ów dawny, niecny przesąd, owo poniżające ród męzki twierdzenie, odmawiające duchowości kobietom; o ben trovato! boskie porównanie! genialne, powtarzam: genialne! — nikt jeszcze w kilku wyrazach tak dobitnie ważności George Sand'a nie skreślił. Lecz jakżeż się panu Indiana podobała?... ten utwór niezrównany!...

*Rolewicz.* O niezaprzeczenie.

*Panna Just.* Pan jesteś dla mnie wyrocznią; powiedz pan bez grzeczności, szczerze, cóż pan powiesz o *Indianie*?

*Rolewicz.* O!... Indianie... żyją pod bardzo gorącą strefą.

*Pan Just.* Bravissimo! pan wybornie excelujesz w dowcipie... Biedaczka! urodziła się Kreolką na Isle de Bourbon; jeżeli dobrze pomnę...

*Rolewicz.* Ile Burbonów?... wymówił niewyraźnie i zamilkł, bom groźnie na niego spojrział. Szczęściem, że w uniesieniu będąca panna Justyna przesłyszała jego „ile Burbonów?“ i dalej prawiała.

— Nie prawdą, że George Sand jest jasną gwiazdą na naszym horyzoncie niewieścim, a ja z zapalem, z dumą stoję przed ołtarzem takiego *sabeizmu* <sup>1)</sup> (panna Justyna popisywała się ze wszystką swoją erudycją); pan jako geniusz nie możesz tylko być gorliwym sabejczykiem.

*Rolewicz* (sądząc, że sabejczyk od sabatu pochodzi, stanowczo, bez ogródki powiedział).

— Pani! nie! ja nie jestem sabejczykiem.

*Panna Just.* (z grzecznością). Bo słońce przed gwiazdą nie zwykło czoła unizyć.

*Ja.* Ale dajcież już państwo spokój francuzkiej literaturze!—zawolałem z obawy, ażeby panna Justyna nie wspomniała z kolei Dumas'a i Sue'go; bo Rolewicz czytał *Żyda tułacza*, pochłoniął wszystkie *Tajemnice*, i byłby się zapewne popisywał z najoryginalniejszym sądem szczegółowym, czego się nie bez zasady lękałem.

*Panna Just.* C'est vrai. Do Rolewicza. Jakżeż pan znajdujesz *Spekulanta*?

*Rolewicz.* Którego *spekulanta*?

*Panna Just.* Wybornie! bo wszakże dzisiaj bardzo wielu mamy spekulantów a zwłaszcza takich, jak ów Molicki pana Korzeniowskiego...

<sup>1)</sup> Religijna sekta czcicieli słońca i planet niebieskich.

*f. (epizy) C. B. K.*

*Rolewicz.* O! dzisiaj cały świat stoi na spekulacji.

*Panna Just.* Każde serce szlachetne oburza się przeciw spekulacji i przeciw spekulantom — i znacząco spojrzała na młodego pana D\*\*\*.

*Ja do panny Justyny* (w poszepcie). Pan Kraszewski jest osobistym przyjacielem pana Korzeniowskiego, a obawiając się zarzutu stronności nigdy nie chwali utworów swoich przyjaciół.

*Panna Just.* O jakże to delikatne uczucie!

*Do pana Rolewicza.* Jakżeż pan znajdujesz *Li-stopad*?

*Rolewicz.* Zimny, błotny i mroźny.

*Panna Just.* (w białe uderzając dłonie). Czyż można trzema wyrazami właściwiej osądzić! — A Jordan?...

*Rolewicz.* Jordan!?... mniemaćby należało, że w Jordanie to był chrzest...

*Panna Just.* O! prawda! chrzest najszlachetniejszych i najczystszych pojęć na drogę Parnasu! Ale dla czegoż przybrał nazwę sowy, kiedy on jest orłem naszemu uczuciul... Wierz mi pan, że ja w Jordanie znalazła odrodzenie mojej godności niewieściej...

*Rolewicz do mnie.* (po cichu). Czy ona żydówka?

*Ja do Rolewicza.* (jak najciszej). Wstawaj, bałwanie, i ruszaj do domu.

*Rolewicz do panny Justyny.* O niezawodnie jest to absolutną prawdą, że nasza chrześcijańska religia jest odrodzeniem...

*Panna Just.* Z rozkoszą słyszę z ust pana „nasza chrześcijańska religia,“ bo z pism twoich posądzałam cię, panie o fanatyzm...

*Ja.* Panie Ro... Kraszewski dobrodzieju godzina 8!...

*Matka panny Justyny.* Ale pan dobrodziej przerywasz nam najmiłsze chwile; może jeszcze panu Kraszewskiemu nie pilno; będzie zaraz kolacya, a dla mojej Justysi to prawdziwy jubileusz, że może z mądrymi ludźmi rozmawiać, bo u nas bardzo rzadko, że się mądry człowiek trafi.—Ci tu panowie bywają łaskawie jak dawni przyjaciele, czasem za interesem; ale tak mądrych ludzi, jak panowie, to w naszym domu tylko trafunkiem.

*Panna Just.* Ale co też mama mówi?... (do dzieci) *Vaites votre devoir!*

Dzieci poskoczyły do drugiego pokoju i niebawem wróciły z girlandą kwiatów i ona girlandę włożyły na głowę pana Rolewicza.

*Matka panny Justyny.* To miało być dopiero przy kolacyi...

*Panna Justyna.* Cześć tobie, geniuszu!... i (zdejmując błękitną przepaskę, zawiesiła ją na szyi kancelisty).

Ojciec panny Justyny (z kieliszkiem w rękę).  
Wiwat!...

Ja do Rolewicza (po cichu). Udawaj, rozczu-  
lenie.

Rolewicz. Istotnie, że mnie państwo rozczu-  
lają... jam nie zasłużył na tyle dowodów niezas-  
łużonej łaski..

Panna Just. Cześć tobie, geniuszu!...

Ja do Rolewicza (po cichu). Powiedz wzajem-  
ną, górno-lotną grzeczność...

Rolewicz. I tobie cześć, genialna muzo!...

Ja. Cześć wam obojgu!... Tymczasem, panie  
Kraszewski, czas do domu, — czekają na ciebie...  
nie girlandy ale serca pocziwych literatów, —  
a przyrzekliśmy być o godzinie 8 z powrotem.

Pan rewizor (z kieliszkiem w rękę). „Wiwat“

Pan D. „Wiwat!“ — i owo „wiwat!“ szło w kole-  
lei — a Kwasikowski płakał jak bóbr, widząc, że  
genialna muza od płaczu się zanosi.

W końcu oryginalnie *naiwna* Felcia wybiega  
z angielską wyżliczką na rękę i woła za nami na  
wschodach, — „A i ja proszę, aby pan Kraszewski  
na moją pamiątkę napisał powieść o mojej *Mimi*.“

— Dobrze, koteczko, ja o tobie napiszę w Ra-  
motkach, bo pana Kraszewskiego znamienity ta-  
lent wyższe ma obowiązki nad bawienie się z *Mimi*  
i z Felcią, — odrzekłem, siadając do dorożki.

O godzinie wpoł do dziewiątej już się z Ro-  
lewiczem w moim znajdowałem pomieszkaniu.

Rolewicz. Szkoda, że się łaskawy pan dobro-  
dziej pośpieszył; — uważałem, że w drugim pokoju  
talerzami brząkali; pocziwe ludziska, zapewnoby  
wystąpili z sutą wieczerzą.

— Mój ty miły Rolewiczu, chętnie ci każę  
najlepszą podać w domu moim wieczerzę, ale dłu-  
żej nie mogłem tam pozostać, boś mi zaczął kre-  
wić szkaradnie.

Proszę pana dobrodzieja — jam wszystko po-  
wiedział, jak pan dobrodziej rozkazał; przecież  
„o tyle o ile“ i „mniemaćby należało“ powtórzyłem  
najmniej dziesięć razy; a i „różni różnie sądzą“  
i „jestto bezwzględna prawda“ i *zydam się z panią*  
*co do ducha wrażeń* i „o rękojmi uczuć“ nie zapo-  
mniałem, i wszystkom szczęśliwie spamiętał, jak  
i kiedy wyrazić.

— Niekoniecznie; i nie jednego wypaliłeś bą-  
ka a zupełnie niepotrzebnej gadaniny było za  
wiele. Lecz trudno przeszłość zmienić; — zaw-  
szem ci obowiązany za twoją powolność.

O godzinie 9 odprawivszy o tyle o ile nakar-  
mionego Rolewicza, zasiadłem do stolika, aby za  
świeżej pamięci chociaż częśćkę erudyty panny  
Justyny do Ramotek zapisać; — i długo w noc  
czynilem sobie uwagi nad niedorzecznością panny

Justyny, która tak jawny a dla młodej dziewczyny nieprzyzwoity okazywała wpływ nad rodzicami, która tak absolutnie ciskała zdania przed oczyma ludzi dojrzałych, która, zdaje się, dobijać o to, aby dom jej rodziców nazywano salonem panny Justyny.

Jak to szybko świat się przemienia! Przed dwudziestu laty nie słyszałem w kraju naszym, aby dziewczętnasto letnia dziewczyna, księżniczka czy córka rzemieślnika, odważyła się réj mowy i myśli w domu rodziców prowadzić... Cóż ona dopiero poczuje, gdy będzie mężatką?... Aj! aj! — Panie Kwasikowski, biednyś ty papadadzio! — albo téż rozwód w 4 tygodnie po ślubie...

Nazajutrz po wypadkach w salonie panny Justyny pośpieszyłem do Kraszewskiego i w chwili, gdy mu zaczynał opowiadać, com wczoraj wyplatał, spostrzegłem przez okno, że się toczy ojciec panny Justyny.

Zdrętwiałem z przestachu — i tyłkoń zdołał zawołać: „uciekaj do drugiego pokoju, bo zginę.“ Nie domyślił się pan Kraszewski, o co rzecz idzie; ojciec panny Justyny ukazał się w progu.

— Kraszewskiego nie zastałeś, panie, w domu, — z wysileniem drżącego głosu zawołałem, najkomicznieszém miotany uczuciem.

— Bardzo żałuję.

— Wyjechał za sprawunkami, a skoro z miasta powróci, bezzwłocznie Warszawę opuszcza, będzie bardzo żałował.

— Ach to ja, panie, żałuję i proszę pana dobrodzieja, abys łaskaw był oświadczyć, że za najmiłszą poczytałem powinność i obowiązek osobiscie podziękować za zaszczyt, jaki pan Kraszewski domowi naszemu wyświadczył. A tu jest poczyjka naszej Justysi, którą pod wczorajszém wrażeniem ośmieliła się dla pana Kraszewskiego napisać...

— Dobrze, dobrze, oświadczę, doręcę panu Kraszewskiemu, będzie bardzo żałował.

Zapewne ojciec panny Justyny na Senatorskiej już był ulicy, a jam dopiero z przestachu ochłonął i potrafił opowiedzieć szczegóły grzechu mojego.

— A bodaj cię téż, chirurgu, — zawołał poczciwy pan Józef i uśmieł się serdecznie. — Ale co tam sobie o mnie rozsądniejsi ludzie myśleli, gdy ten twój kancelista w mojem imieniu takie plótl opalki.

— Właśnie że przed uwielbaniem, przed szczęśliwiącém ich uczuciem oglądania Kraszewskiego nie mieli czasu do myślenia.

— Gadaj zdrów; ale niepodobna, aby niedorzeczności jego odpowiedzi ocenić nie byli umieli.



— Panie Józefiel!... na karb wielkich talentów, na karb geniuszów można swobodnie największe pleść brednie, zwykli zwykle uważać je za myśli olbrzymie.

— Ależ dziwna to jest ta cała scena z temi girlandami, wstążkami, — rozniesie się po mieście...

— W tej mierze na ciebie wina nie spada. *Innego uczenia godnym jesteś*, lecz czas, okoliczności, miejsce, panna Justyna, dzieci, dobroć serca, — zmięszaj to i treść wyciągnij. W ogóle, mówiąc nawiasem, i to jest bardzo wiele, że się na takie drobiazgi zdobyli, bo któryż to autor nasz doznał publicznej czci za życia, któremuż wystawiono pomnik po śmierci?... Prześladowań, lekceważenia nie-szczędzą, o zasługach autora chociażby najznakomitszych, mówią przez kilka miesięcy i co rychlej zapomną, goniąc za pierwszą lepszą nowością, chociażby i za nędznym przekładem lichego ale osławionego romansu francuzkiego. Połóż w salonie dzieła Woronicza i nowy romansik np. Bernarda, przyjdź za miesiąc, Woronicz z nierozzerzniętymi kartkami spoczywa na uboczu, z Bernarda karty powydzierane. Uczucie, że się wywięzujesz z obowiązku, — to twoja nagroda, o inną nie pytaj; — chyba o girlandy dziecinne, o wstążki muz emancypowanych i t. d.

Ale, ale i na obiad zaproszą cię jeszcze, aby się przed znajomymi i przed miastem popisać.

— Wszystko to święta prawda, ale ja jednakże nie mogę się uspokoić, żeś mnie w tak cudackim świetle u rodziców panny Justyny wystawił.

Po długich w tym względzie rozprawaach i nadradach stanęło na tém, że mnie pan Kraszewski przekonał, iż powinnością moją jest wyznać prawdę i przeprosić. Jam nawzajem przekonał pana Kraszewskiego, że tylko jego obecność może zmniejszyć ciężar sprawiedliwych zarzutów. A więc o 4tej z południa ruszyliśmy wspólnie na ulicę Solną.

Otwarte wyznanie méj winy, objaśnienie, że jedynie silne spółczucie dla pana Kwasikowskiego spowodowało mnie do usłuchania poszeptów biesa, szczerze prośby moje, obecnością *prawdziwego* Kraszewskiego poparte, zyskały rychłe i wesołe przebaczenie.

Panna Justyna była skromniejszą w zapytaniach i sądach swoich i nie chwaliła ani Lelii ani Indiany. Na najszcześniejszy zaś domiar dobrego zjawił się pan Kwasikowski z naczelnikiem wujaszkiem.

Komiczny dramat zakończył się prośbą sławnego literata, aby mógł być świadkiem szczę-

ścia młodzieńca, uwielbiającego wdzięki panny Justyny.

— Matko! przecież prosbie pana *prawdziwego* Kraszewskiego, — zawołał zacny obywatel warszawski, — odmówić w domu naszym nie wypada?... Justysiu! jakież twoje zdanie w tej mierze?

Panna Justyna, zapominając o Lelii i o Indianie, zarumieniła się niewinnie, serce zapukało głęboko, z różanych usteczek wielbicielki Kraszewskiego ciche spłynęły wyrazy: „We wszystkim zgadzam się z wolą najdroższych rodziców.“ Kwasikowski rozbeczał się z radości.

Czy pan Kraszewski w końcu miesiąca lutego jak przyrzekł, przyjedzie na ślub: czy autor 130 tomów nową z tego zdarzenia powieść napisze, — zapewnić nie mogę. Tymczasem macie maleńkie szkice powszechnego społeczenia Warszawian dla Józefa Kraszewskiego i macie jedną jeszcze z moich Ramotek, w których są  $\frac{3}{4}$  części prawdy, a  $\frac{1}{4}$  część lotniejszej wyobraźni, to jest o *tyle o ile* potrzebnych zaokrąglen do przyzwoitej całości.

Pisałem dnia 3 stycznia w Warszawie nad rzeką Wisłą. Roku po nar. Chr. 1847.

*Au. Wi. ch. fil.*

MG ALSKI

KAFAROK  
KAFAROK.

Z TYSIĄCA ZDARZEŃ JEDNO,

JAK UMIAŁ, TAK OPISAŁ

Au. Wi. chi. fil.

## KAFAREK.

**Z TYSIĄCA ZDARZEN JEDNO.**

JAK UMIAŁ, TAK OPISAŁ

Au. Wi., chi. fil.

Gdzie idziesz? Do panów. — Po co tobie pany?  
Albo serce utracisz, lub przejdziesz w łachmany.  
(Z bardzo starej komedyi.)

Mawiał ś. p. ojciec mój, że kto za młodu futrem się okrywa, na starość chyba w pierzygnę zaszyć się musi, a komu w życia wiosnie konna jazda uciążliwa, temu w wieku podeszłym jedwabiem usłane pudło na 4 sprężynach będzie niedogodne. Szanując zdanie ojcowskie, do téj chwili bez futra obywam się, a dzielnego wierzchowca nad wszystkie kocze, landary i karety chętném sercem przenoszę. Cóż dopiero przed dwudziestu laty: koń wierzchowy, chociażby w najodleglejszą podróż, to była moja najmilsza

kołyska, I wielce użytecznie przydał mi się później ten staropolski zwyczaj <sup>1)</sup> a niegdyś był przyczyną, żem poczciwego poznał kowala, który oto do mojej dzisiejszej powiastki za podstawę posłuży.

Wieczór był ciemny, deszcz ze śniegiem w oczy zaczął, gdym w r. 1824 z Poznania do rodziców moich, o mil 9, pod Keynię na gniazdosz czesał. Wjeżdżając do wsi M..., posłyszałem, że podkova pod kopytam brzęczy; spojrzę przed się, sypią się iskry z komina, słyszę młoty kowalskie, właśnie tego mi potrzeba.

Stanawszy na progu kuźni, zawołałem: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!..... A nie byłby też pan majster łaskaw konia mojego obejrzyć, bo mu się zluzowała podkova.

— Na wieki wieków amen, — odpowiedział barczysty a sążnisty pan majster, zbliżył się ku mnie, ujął konia za cugle, poprowadził do kuźni, zobaczył podkowę i mruknął pod nosem:

— Tandetna robotą.

— A cóż czy złamana?...

<sup>1)</sup> Nie jeden młody panicz ze spruchniałemi zębami, wymoczony, wyblichowany, czytając tę powiastkę, pomyśli sobie: „wolę ja w karcie,“ na co ja zgadzam się najzupełniej, aby *wole* siedziało w karcie; poczciwa zaś i dziarska młodzież niechaj służy konno lub piechotą.

czkę zaniecił i nuż w gawędę z majstrem kowalem.

— Wasza żona mówiła, żeście *żołnierska sztuka*; czy służyliście wojskowo?...

— E! gada, aby się pochwalić; — co mi tam za wojskowość, kiedym ani jednego nieprzyjaciela nie widział; zwyczajnie jestem u *Landsberów*, więc dwa, najwięcej trzy razy do roku idzie się na mustrę do Wągrówca, czasami i do Gniezna, na tém koniec. Chociaż po prawdzie moi dawni ojcowie, to jest niby od prapradziadka, każdy Kafarek był wojskowym kowalem.

— Kafarek?...

— Ja się tak zowię po ojcu, imię mi zaś Jan, a to chrzestne imię zawsze jednake z ojca na najstarszego syna przechodzi na pamiątkę naszego króla Jana III, boć-że on uczynił, że przodek nasz był dostatni a szczęśliwy.

— To coś na ładną zbiera się historiją, a kiedyżeście już podkowę przybili, nałóżcie sobie fajeczkę moim tytuniem i powiedzcie mi wszystko, co wiecie o królu Janie Sobieskim i o przodkach waszych; — miło śród ludu rodowe słyszeć wspomnienia.

— Antek... wprowadzisz pańskiego konia do naszej stajni, popręga zwolnisz, siodło zaraz nie zdejmiesz, założysz uździenicę i dasz mu



tymczasowie tego siana od cieląt, a za dobry kwadrans wsypiesz garniec owsa i napoisz.

— Miły macie rozsądek, panie majster, przystając na waszą gościnność i chętnie wam wszystko nagrodzę.

— Proszę pana albo zaraz wszystko nagradzać?... toć-że ja u tatuli pańskiego nie płacił w roku zeszłym ani za obrok dla konia, ani za poczęstne dla mnie; a jeszcze sędziwy rodzic koniecznie i usiąść rozkazał i łaskawym słowem rozweselił.

— Dziękuję wam za miłe o moim ojcu wspomnienie i z podwójną radością przyjmuję waszą gościnność.

Wchodząc do obszerniej izby, spostrzegłem wzorowy porządek; dwie zaś topolowe komody, na których stały kolorowo unalowane papugi i historyczne figurki gipsowe, kilka szaf olszowych, perkalowe firaneczki u okien, zwierciadło w pozłoczonej oprawie, jesionowy kredens, fajansem i cyną napełniony, na ścianach wizerunki Świętych i na płótnie malowany olejny obraz Jana III, o zamożności gospodarza wdzięczne dawały świadectwo. Pod kaflanym piecem siedział w granatowej kapotce chłopczyk mniej więcej cztero-letni, czarno łyszczącego się

kota na kolanach piastując; na biało polewaną patelnię żelazną, w kominku smażyła się już rumiana kiszka; gosposia nakryła stolik i obok pszenną bułeczki postawiła flaszeczkę z wódką i kieliszek w kosteczki rznąty.

— Szczęście i spokój waszemu domowi, + te wyrazy wygłosiłem z najszczerzszym uczuciem, siadając na podanym mi stołku.

— Bóg zapłać paniczowi, odrzekła gosposia, a pan majster napełnił kieliszek gorzalki i za moje wypił zdrowie.

*Galantes* była kiszka, bułeczka świeża, przyjęcie wprost od serca, żem się w bardzo błogiem czuł położeniu, gdy też powtórnie przezemie proszony gospodarz tak prawie poczał!

„Kiedy Niemcy potrzebowali szabli naszej na obronę przeciwko Turkom, dziadek mojego dziadka, Stanisław Kafarek, był podówczas kowalem na przedmieściu Krakowa i nikt pono nad niego koni lepiej kuć nie umiał! W wigilią wymarszu naszego wojska przyszedł do pradziadka mojego dworzanin królewski i zapytał go, czyliby nie przystał na majstra do polowej kuźni królewskiej? Pradziadek, chociaż miał ślubną niewiastę, chorą teściową i kilkoro drobnych dzieci w domu, nie namyślał się i chwili,

4 (puzape?) C.K.X.

2 = (oba) C.K.X.

lecz poleciejszy Bogu i sąsiadom rodzinę i chatę, z sześcioma najlepszą z miasta czeladzi stawil się tegoż dnia na wawelskim zamku, + i już nazajutrz z wojskiem na potrzebę wiedeńską wyruszył. Nie potrzebuję panu opowiadać, jak się tam król Sobieski z wojskiem naszym przy Bozkiej pomocy mężnie popisał, boć to panu z książek i od swoich ojców wiadome, jak i całemu światu, że gdyby nie nasze chorągwie, byłby Turek Niemców niepochybnie zawojował i w srogich pętach niewolniki trzymał. Tylko że to szło o wiarę katolicką, więc nasi szabel nie żal wali i kilkadziesiąt tysięcy Turków zabwszy, sąsiadów swoich od hańby a pogańskiego jarzma oswobodzili. Nie mieliśmy po prawdzie innej ztąd korzyści, jeno chwałę solenną, ależ bośmy pono nigdy o więcej nie stali. Otóż pradziadek mój w tej wszystkiej wojnie był nietylko kowalską służbą przy królewskim obozie, ale i pod *Parakanani* wśród największego niebezpieczeństwa, na przodzie swojej czeladzi kowalskiej bił i siekał nacierającego nieprzyjaciela; a król widząc to, nie zapomniał o nim i po skończonej wojnie rozkazał mu chatę sprzedać i do Wilanowa pod Warszawę żonę i dzieci sprowadzić. I w tymże to pięknym Wilanowie wystawili pradziadkowi mojemu bardzo okazała

kuźnię, na której król kazał wielkimi literami napisać:

KOWALOWI I ŻOŁNIERZOWI

ZA WIEDEŃSKĄ WYPRAWĘ

KRÓL JAN,

i nadał mu kawał ogrodu, gruntów i łąki morgów 6, i nadto rocznie płać za wszelką robotę kowalską, a szczególnież téż kucie koni królewskiej stajni powierzył. A bywało, że król sam do kuźni zachodził, kiedy była potrzeba klacze bułanej, co to na niej pod Wiedniem zwyciężkie rozkazy wydawał, kopyto wybrać i ostrugać; + bo od powrotu z pod Wiednia ta klacz bułana mi razu już kulbaczoną ani kutą nie była; + zimną w pięknej stajni stała tureckim dywanem okryta, a letnią porą miała obszerny ogrodzony nad Wisłą pastewnik, przy którym dwóch zawsze wartowało ludzi i od napaści leśnych zwierząt najpilniejsz strzeżło.

Jak było mojemu pradziadkowi pod królewskim bokiem, tak chyba-by już w niebie lepiej było. Siłaby to opowiadać wszystko dobre, którego pradziadek w Wilanowie używał. A zawsze od dwóch synów swoich upominał, żeby po jego śmierci, uchowaj Boże, innego na świecie nie

34 (copy) Ch. K.

2 (copy) Ch. K.

szukali chleba jak żołnierskie konie mocnemi kuć podkowy, iżby się wśród bojów nie ślizgali wojownicy nasi.

Z ojca na syna powtarzamy to ustne podanie o naszym pradziadku; — kowalstwa się trzymamy, i ja oto już mojemu Jasiowi maleńki ukulem młoteczek, iżby się do uczciwej pracy ojcowskiej i w zabawce sposobił. Jak nieboszczyk mój ojciec policzył, 37 już Kafarków przy kowadle uczciwe życie spędziło. Wnuk pradziadka naszego Stanisława kuźnią i grunta dziedzicom Wilanowa odprzedał, — nie na rękę im było nasze sąsiedztwo, nie mamy dzisiaj kuźni w Wilanowie; — ja jednakże 39 Kafarek pocziwym kowalem, a syn mój będzie 40. Mam w domu 200 dukatów po ojcu, mam 500 talarów z mojej pracy już 10-letniej, żona też z młynarskich worków 2000 złp. na wiano od swoich rodziców dostała; — przyjmuje się coraz większy obstalunek do miast i dworów szlacheckich, — czterech czeladzi robotą nadażyć nie może, i Bogu przenaświętszemu dzięki! nie zubożyłoby nas, gdybyś wielmożny pan i rok cały u nas pościł.”

W lubém zajęciu upłynęła jeszcze krócioczna godzina na serdecznej z pocziwymi ludźmi rozmowie, a gdy następnie na wypoczętym, napaścionym i świeżo ukutym gniadoszu dalszą pod-

róż odbywał, ciągle marzyłem o szczęściu rodziny Kafarków, — o szczęściu pracowitego rzemieślnika.

## II.

Było to w Dolnym Szląsku, w Głogowie, w miesiącu kwietniu roku 1836. Trzy lata już minęły mojej tęsknoty; — oczy od niemieckiego czytania bolały, wyszedłem na wały: popatrzyłem się raz tysiacyzny na szeroko płynącą Odrę; zatrzymałem wzrok mój na wieżycach kościołów, na szczytach historycznego zamku Piastów; zegar ratuszowy z mało-miejską powagą wolnućtenko, godzinę 3-cią z południa wybrzęczał; — zwróciłem się lewo wtył i znów ku pruskiej bramie po darniowym grzbiecie uprzykrzoną odbywano przechadzkę, gdy wtém spostrzegam podchorążego z artylerji w towarzystwie kilku ludzi, naprzeciw mnie idących; a szczerze się uradowałem, gdy usłyszałem, że mówią po polsku. Przystanąłem i pilno się wpatruję: podchorąży — mina gęsta, wąsik mleczny, figurka czupurna, opowiada historją miejscową długiego pobytu Francuzów i historją szturmów i obrony.

Drugi cywilny, nizki, otyły, burakowy, zmienił się w ucho i gębę rozdziawił, — nie znam go wcale.

Trzeci wysoki, chudy, żółty na twarzy, — pierwszy raz go widzę w życiu mojem.

Czwarty sążnisty, barczysty, wąsaty w pięknym odzieniu, z trzcina w rękę; — patrzę... jak dwie krople wody do siebie, tak on do Jana Kafarka podobny. Bogaty łańcuch złoty, który na aksamitnej kamizelce rozwiesił, wstrzymał mnie w zapędzie serdecznego przywitania i, przypuszczając pomyłkę w moich domysłach, ograniczyłem się na grzecznym zapytaniu:

— Przepraszam za zaczepkę. Czy pan nie mieszkałeś w okolicach Wągrówca?

— Mieszkalem, ale obecnie mieszkam w Rawiczu...

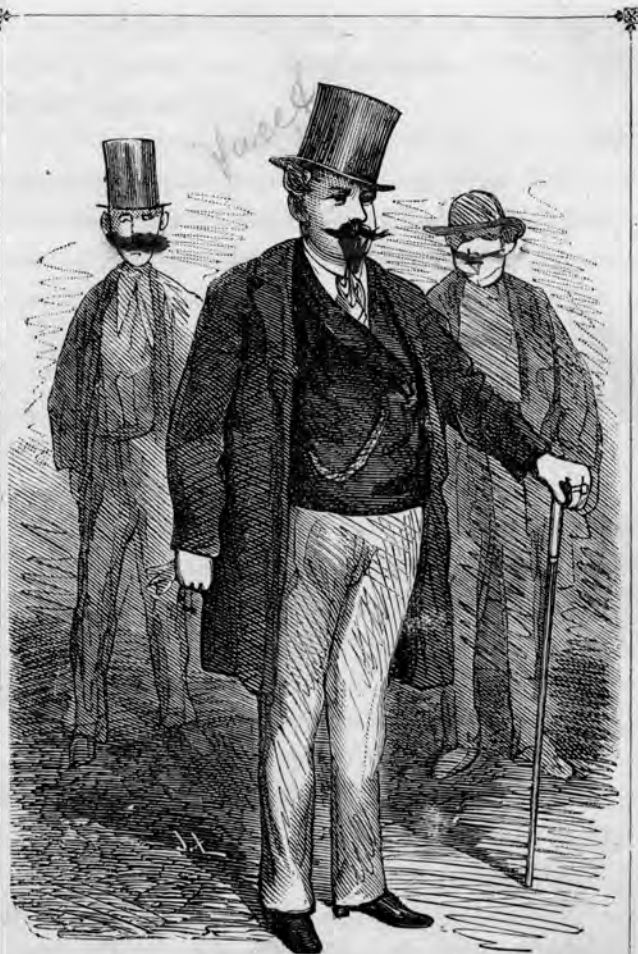
— Nazwisko pana?...

— Ja jestem Kafarkiewicz... handlujący zbożem i wełną.

— Zdawało mi się, że znalazłem pana, omyliłem się...

Pan Kafarkiewicz zarumienił się mocno, uchwycił mnie za rękę, uścisnął i wyrzekł z uśmiechem: Masz pan dobrą pamięć, nie omyliłeś się; — schylając się do mego ucha dodał w poszepcie: ja byłem kowalem, nazywałem się Kafarek i dobrze pamiętam, jak panu gniadego konia na prawą nogę ukułem...

— A żona pana i Jaś maleńki czy zdrowi?



Jak dwie krople wody do siebie, tak on do Jana Kafarka podobny.



— Bogu dzięki! i żona i syn i jeszcze córka, wszyscy są zdrowi. Przyjechałem tutaj na jutrzejszy jarmark.

— Mieszkam przy ulicy pruskiej, trzeci dom po prawej ręce od bramy; — jeżeli panu czas pozwoli, racz mnie odwiedzić; — pragnę, abys mnie, panie, w pewnym przedmiocie objaśnił.

— Będę panu służył.

Ukloniliśmy się sobie nawzajem; pan Kafarkiewicz z swoimi towarzyszami ku Wrocławskiej udał się bramie, jam się oparł o żelazne działo i — długo smutne mnie myśli trapiły nad upadkiem poczciwej rodziny Kafarków.

Cały wieczór spędziłem w cierpkiem usposobieniu; — do późna w noc przymusowo czytałem jakąś oschłą polemikę filologów niemieckich; — fajka mi gasła co chwila, — a dopiero o trzeciej nad ranem zasnąłem.

Przykre mi były moje senne marzenia.

Widziałem gorejącą siedzibę Kafarków; — widziałem jak ogień kuźnię ogarnął — jak z narzędzi kowalskich jedno po drugim ze ściany spadało — jak czerwona luna przez szczeliny drzwi do obszernej zajrzała izby; wizerunki Świętych i obraz Jana III otoczyło światło promienne, dziwne, krwawe; — potem z piekielnym poddmuchem syczący płomień drzwi spaczył, rozłupał,

przepalił — wysłał ku środkowi ogniste węże, w końcu gwałtownie gestym tłoczył się kłębem, zawichrzył się na środku i naraz wszystkie oblał ściany — i wszystko nagłą siłą zniszczenia pochłonał. Dom runął, — jedna tylko sterczała ściana a na niej obraz Jana III-go i wizerunki Świętych nietkniętymi pozostały...

Później widziałem konającego starca, przy nim był kiadz z gromnicą w ręku; — szkielet kobieta klęczała przy jego nogach, — dwudziesto-kilkoletni młodzieniec siedział przed zwierciadłem i z widocznym zadowoleniem wpatrywał się w swoje gładkie oblicze i — potem pobladł, wstrząsł się na całym ciele, zesiniał, — a krew trysnęła przez usta i oczy...

Gdym się rano obudził, była już godzina dziewiąta; służący doręczył mi lakierowaną karteczkę z zagiętym uszkiem, świeciły się na niej złocone litery gotyckie:

*Jan Józef Kafarkiewicz.*

i, jak moje dzieci kocham, nie żartuję — u góry była korona!...

Pusty mnie śmiech ogarnął; zapaliłem fajkę. Jana, wybierzmowanego Józefa Kafarkiewicza oczy moje już nie widziały. Szczęść mu Boże! po drodze nowego żywota.

Żal mi było Kafarka.

2. 3. III

2. 3. Some

### III.

W Warszawie roku 1844, podczas karnawału; w przeciągu jednego tygodnia kilkanaście razy obilo się o uszy moje nazwisko: *pan Kafarkowski, pani Kafarkowska, panna Kafarkowska*, ale nie przypuszczałem na chwilę, aby ten pan jakiś *Kafarkowski* był drugą przemianą dobrze mi znanego nazwiska *Kafarek*.

Gdym zaproszony przybył na wieczór w *Thusty czwartek* do państwa R..., śród licznego grona gości spostrzegłem na kanapie siedzącą panią z widocznymi jeszcze śladami bardzo ponętnej piękności, obok niej na krześle mniej więcej 18-letnią panienkę, czarnooką, świeżą, kibitną, bardzo ładnie ubraną. Jakaś mgła przypomnień przesunęła się w mój myśli.

*Szpakowaty jegomość.* Panie Kafarkowski! te kare angiłki czy pan od Jenerała kupiłeś?...

Oglądam się — zapytany był to dwudziesto-kilko-letni urodny młodzieniec z modnym zarostem na twarzy, włos na głowie strzyżony *à la mal content*, rękawiczki koloru śmietankowego, najgwałtowniej zapięte na guziczki koralowe; użyłem wyrazu *najgwałtowniej*, bo zsiniało ciało

2-2 IV

wysadziło się nakształt ciasta pomiędzy krojem rękawiczek a krótkimi rękawami obcisłego fraka; kamizelka lionńska, wiązanie na szyi przepyszne!...

— Pomieniałem się z Jenerałem, — odrzekł pan Kafarkowski — gdyż na *honor* nie widzę piękniejszych koni w Warszawie.

*Szpakowaty jegomość.* Ileż pan dopłaciłeś?...

*Kafarkowski.* Dałem mu moje siwe konie, 160 dukatów i mój wiedeński karykiel.

*Szpakowaty jegomość.* Ale masz teraz konie, *co się nazywa*, mój panie!

*Kafarkowski.* Ani porównania z kasztanowatemi, które za 600 czerwonych złotych księciu Sułkowskiemu odstąpiłem. Naparł się — kolega szkolny — trudno było odmówić.

*Au: Wi:* Czy pan kolegowałeś z tym księciem Sułkowskim, który mieszka w Rydzynie?...

*Kafarkowski.* (*zarumieniwszy się po uszy*). Tak jest... z księciem Sułkowskim z Rydzyny,

*Au: Wi:* Więc pan znasz Poznańskie?...

*Kafarkowski.* To są moje strony rodzinne.

*Au. Wi.* Miło mi poznać ziomka mojego, bom i ja urodził się w Poznańskim właśnie niedaleko Rydzyny, w pobliżu Leszna; wychowałem się zaś w okolicy Wągrówca. Zapewne panu znany Wągrowiec?.... nad rzeczką Wełną....

*Kafarkowski.* Przez Wągrowiec kilka razy przejeżdżałem.

*Pan R....* Andziu! Andziu! pani Kafarkowska zasłabła!

Obracam się — kilka pań otoczyło kanapę: pani Kafarkowska była blizką zemdlenia; usta zsiniały, twarz całą przerażająca pokryła bladeść... Podano octu i wody kolońskiej; — za chwilę pani Kafarkowska, przyszedłszy do przytomności, przeprosiła panią domu, że się stała przyczyną zamieszania — i pokrótce z córką i z synem opuściła nasze towarzystwo.

— *Qui est donc cette dame* Kafarkowska?... zapytała swojej sąsiadki chuda, jasno-włosa pani.

— *Je ne sais pas* — zapytana brunetka odpowiedziała z pogardliwem ust wykrzywieniem.

— *On dit qu' elle est riche.*

— *Cela peut-être.*

*Pani N.* Oni podobno w Szląsku znaczne posiadają dobra?...

*Pani Z.* Córka przystojna i *jest bardzo do brze*, ale matka ma często wyrażenia zupełnie podejrzane.

*Pan O.* Bynajmniej nie podejrzane, bo wczoraj u państwa C\*\*\* zamiast *traits* twarzy, powiedziała *trottoir* twarzy; zamiast *sztafeta* — *szta-*

cheta; zamiast plenipotent — pilipotent; zamiast kaligrafura — kalikatura.

Pan S. Ona dziś mnie powiedziała, że zrobiła kinkietę (zamiast conquête) z hrabiego G\*, — a później zapewniała, że jeszcze z ulicami Warszawy nie umie się zorientować, chcąc zapewne użyć wyrazu zorientować. Głośny i powszechny śmiech towarzyszył dowcipkom pana S.

Pani Z. To i ja uważałam dzisiaj, że zamiast konwersacya mówi konsyrwacya.

Pani D. Przypomniał jej się sér — biedna!...

Pani G. A jednakże jej syn *parle français avec l'accent de la bonne compagnie.*

Pani B. Zapewniali mnie, że się stara o względy Hrabiny W\*\*\*

Pani F. Starał się, ale się już nie stara, bo właśnie brat pani hrabiny prosił go wczoraj, aby ich nie kompromitował.

Pani R. *A cause de quoi?*

Pani F. *C'est un parvenu*; jego ojciec handlował wołami czy zbożem.

Pani R. Ja ich w przeszłym roku poznałam u wód w Ciechocinku, widziałam ją z hrabiną M..., więc jak nas tutaj wizytowała w Warszawie, oddałam jej rewizytę i, przypuszczając, że hrabina M.\*\*\* przyjaźniac się z nią, musi ją znać.

z blizka, — dla tego, chcąc panom pokazać jej ładną córeczkę, zaprosiłam ją na dzisiejszy wieczór. Zresztą wiem, że hrabia Artur stara się o rękę tej panny, a on z pewnością nie zrobiłby żadnej *mésalliance*. Właśnie że ona przyjechała do Warszawy za legitymacyą....

Pan D. A jeżeli się z łockia legitymować można, to się prędko wylegitymuje, bo, ile ja słyszałem, nieboszczyk Kafarkowski miał sklep z towarami łockiowemi w Rawiczu czy w Rydzynie.

Pani R. Toby było z ich strony zbyt wielką śmiałością, cisnąć się do najznakomitszych domów. Zresztą ja tylko wiem, że ona mnie wizytowała z hrabiną M.\*\*\*

Pan F. A wszakże pan Au. jest z Poznańskiego. Czy znałeś tam Kafarkowskich?...

Au. Wi. Znałem bardzo dobrze. Ich pradziad był na dworze króla Sobieskiego i wiem, że pochodzą z bardzo wielkiej rodziny <sup>1)</sup>.

Pani R. Bardzom panu wdzięczna za to objaśnienie. Byłam tego pewną, bo hrabina M.\*\*\* w ścisłej z nią żyje przyjaźni.

Pani Z. Jest coś w ich rysach interesującego.

1) Zdaje mi się żem się, z prawdą nie pominął.



*Pan F.* To czyni im zaszczyt, że będąc z pięknej familii, starali się przez handel, — o ile to jest jeszcze prawdą, i przez przemysł powiększyć swój majątek, bo dzisiaj duch czasu finansową niezależność postawił u steru wszystkich naszych widoków; *et moi, je vous assure Mesdames! je vous en donne ma parole d'honneur,* przyjąłbym natychmiast udział w każdej spekulacji, gdybym zysk pewny mógł widzieć.

*Pani B.* Gdyby nawet i łokciami mierzyć?..

*Pan F.* Nawet i łokciami; bo nie tylko że żadne zatrudnienie nie może zetrzyć *mojego urodzenia* <sup>1)</sup>, ale nadto przy sprzedaży towarów na łokcie miałbym sposobność poznania wszystkich piękności naszego kraju! (Ten ostatni okres wymówił z miódowem przymileniem).

*Trzy panie razem.* Bałamut! bałamut! bałamut!

*Pan F.* (uśmiechnął się i odpowiedział:) Przyjaję się do winy.

*Pani G.* I pan-byś nam sprzedawał tanio, nie prawdaż?...

*Pan F.* Bardzo drogo!...

<sup>1)</sup> Zwolna i dobitnie wygłaszając te dwa wyrazy, pan F\*\*\* wyprzeżył całą postać, głowę zaś zadarł ku prawej stronie i wielkim palcem dotknął piersi swojej!

Pani D. pogroziła zuchwalcowi małym pa-nokietkiem na małym nosku, a pani E... także groziła na swoim ogromnej wielkości nosie.

*Pani Z.* Hrabio! załóż sklep z paryżkami towarami!

*Pani G.* O! gdyby każdy tak myślał, jak pan hrabia, kraj nasz w krótkim czasie zakwitłby bogaactwem i miałybyśmy dobór najgustowniejszych towarów zagranicznych.

Dalszej rozmowy o narodowym przemyśle już nie słyszałem, bo mnie gospodarz domu zaprosił do preferansa. Godzina była dwunasta, gdy za opłatą 23 złp. przyjemne towarzystwo opuścił.

Nazajutrz o godzinie 8 rano przybył do mnie lokaj w liberyi z ustną prośbą od pani Kafarkowskiej, abym ją w hotelu Rzymskim odwiedzić raczył.

(Pod numerem drugim w hotelu Rzymskim; w scenie ostatniej, koniec rozmowy).

*Pani Kafarkowska.* O! ja zaraz w pierwszej chwili poznałam pana, — ale tchu w piersi mojej zabrakło, abym do pana przemówić mogła. A kiedyś pan spomniał o Wągrowcu, zdawało mi się, że wszystkie zmysły utracę... Ś. p. mąż mój nieraz gorzkie czynił mi wyrzuty, żem ja była

przyczyną zmiany naszego nazwiska i stanu; ależ chęć polepszenia losu dzieci moich..

*Au. Wi.* Czyliż pani nazywasz polepszeniem losu zaparcie się poczciwego nazwiska?... odgrywanie roli fałszywej, narażanie się na upokorzenie i tysiączne nieprzyjemności ze strony rodzin arystokratycznych, u których pani znajomości i zaprzyjaźnienia się żebrzesz. Czyliż ten wieczny egzamin: „*Kto panią rodzi,*“ przykry rumieniec najfałszywego wstydu na lica pani wywołujący, czyliż nazwycząjenie własnych dzieci do zaparcia wiadomój im *prawdy*, — polepszeniem losu tychże dzieci nazywać można?

*Edukacya*, jakąśmy dali synowi naszemu na akademiach zagranicznych, nasz znaczny majątek i inne kolejne wypadki przyprowadziły nas do tego, żeśmy zapragnęli przejść w *lepsze* towarzystwa.

— W *lepsze*?.. powiedz pani raczej w *blyszczącej*, z pogwałceniem wszystkich uczuć moralnych! Wierzaj mi, pani! szatan się z rodości uśmiechnie, słysząc takie znaczenie *lepszego towarzystwa*. To zaś, co pani nazwałaś *edukacyą* na uniwersytetach, — to jest: naukowe wykształcenie, *winno prowadzić do wyższej zdolności użytecznego służenia krajowi, do uznania wartości człowieka jedynie w je-*



Kafarkowski. Żywie mojej jaźni od hrabianki Matyldy zależy.  
Panna Kafarkowska. O! mamam! ja kocham hrabiego Artura.

go rzeczywistej zasłudze, a nie do chęci błyszczenia czy poniewierania się w salonach.

A co do majątku, — czyliż go na to zgromadzamy, aby rodzinnymi stosunkami pogardzać?...

Gdyby syn pani po powrocie z uniwersytetu osiadł był w rodzinném miejscu i czy to jako urzędnik, czy jako dyrektor fabryki lub właściciel dóbr ziemskich owoce swojej nauki i majątku rozlał w kole najbliższych współbraci, za prawdę godnie-by się wywiązał z obowiązku, godny dalby przykład i zachętę dla innych do wyższych nauk, a głos powszechnego szacunku byłby, szczęśliwa wówczas matko, pierś twoją najszlachetniejszą dumą nappełnił, byłby dla ciebie, pani, o ileż prawdziwszą nagrodą nad te wątpliwe względy z majątku ceniącej cię arystokracji, którą głównie podtrzymuje zgraja dorobkowiczów, cisnąca się do nich, — dorobkowiczów, nieznających swojej godności. A czyliż nakoniec nie zaszczytniej jest być pierwszym pomiędzy kowalami, aniżeli ostatnim w salonach?

— O Boże! dla czegoż ja tych wyrazów nie słyszałam przed dwudziestu laty!

— *Nigdy! nigdy!* za późno na drogę prawości wracać nie można. Przybierz, pani, na nowo nazwisko uczciwych przodków nieboszczyka męża swojego, synowi wskaż drogę pożytecznego za-

trudnienia, w skromnym dworcu zawieś pani na ścianach ten obraz i te wizerunki Świętych, które były świadkami waszego skromnego ale niezaprzeczonego szczęścia, poczciwości i pracy.

Łzy obfite spłynęły po licach nieszczęśliwej kobiety; spojrziała na syna i na córkę i z głębi serca wyrzekła:

— Od was zależy błąd waszych rodziców naprawić.

*Kafarkowski.* Żywie mojej jaźni od hrabianki Matyldy zależy.

*Panna Kafarkowska.* O! mamam! ja kocham hrabiego Artura.

*Au. Wi.* Otóż masz pani syna *żywie* i córeczkę *maman*.

Szkoda rodziny poczciwych Kafarków!

Przez kilka miesięcy słyszałem, że się *żywie* Kafarkowski do *lepszyc* cisnął towarzystw.

Przedwczoraj zapewniano mnie, że wdowa Kafarkowska wraz z córeczką mieszka w Kaliszu bez najmniejszych funduszów do życia, a jój syn przytrzymany jest w Wrocławiu za długi, które w przyzwoitej ilości zaciągnął pod nazwą *eines pölnischen Grafen von Kafarkowsky*.

## SZLACHETNY NIEZNAJOMY

ODŁAMKI ZE SZKICU POWIEŚCIOWEGO.



## SZLACHETNY NIEZNAJOMY.

ODŁAMKI ZE SZKICU POWIEŚCIOWEGO.

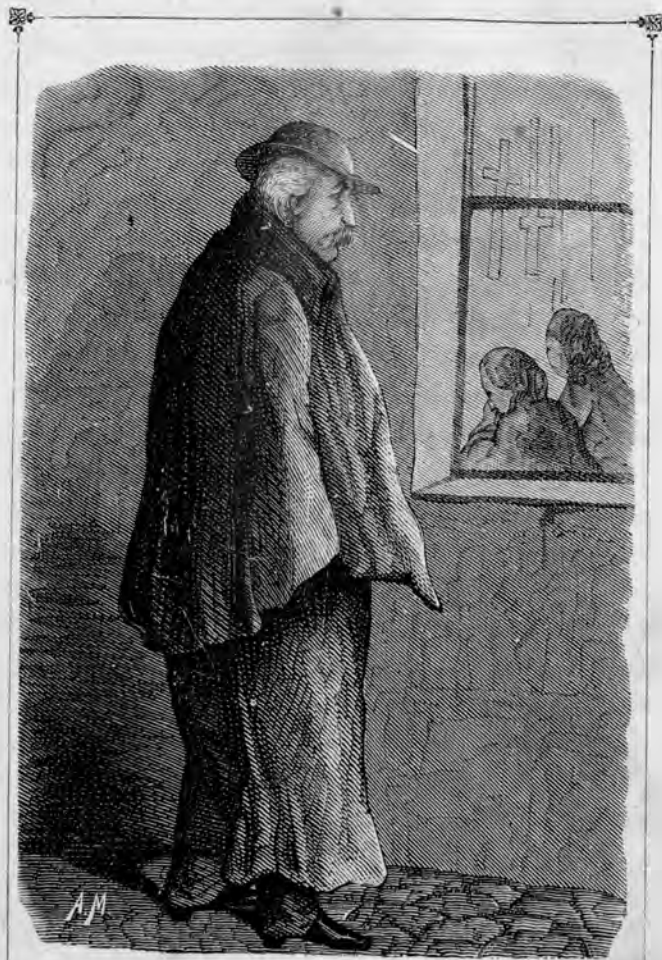
Dawny wyższego stopnia wojskowy, Stanisław hr. S\*\*\*, przez bankructwo handlowego domu, na którym znaczną część swojego majątku umieścił, i przez inne nieszczęśliwe a nieprzewidziane okoliczności z dostatków nagle ujrzał się w najdotkliwszym położeniu. Nie idąc zwykłym torem tych *dobrze urodzonych* ludzi, którzy po stracie majątku stają się ciężarem swoim krewnym, przyjaciółom i znajomym, starał się usilnie o cywilną posadę rządową i pokrótce urząd głównego poborcy w jednym z dawnych wojewódzkich miast przyrzeczonym mu został; a gdy przez sprzedaż rodzinnych pamiątek, wartość pieniężną mających, 6000 złp. na wymagane zebrał poręczenie, urzędowanie objął i nowy zawód życia rozpoczął. Przekonanie, że swojej pracy zawdzięcza nader skromne ale poczciwe utrzymanie rodziny i siebie, sówicie mu nagro-

dziło pamięć świetnej przeszłości i hrabia S\*\*\* w tém swoim nowém położeniu obok cnotliwej żony, wśród miłych dzieci, przy najmoźniejszej pracy, czuł się szczęśliwym.

Czwarty już rok minął, jak były pułkownik jedności, dziesiątki, setki i tysiące posłusznym piórem wojował, gdy pewnego razu przy obliczaniu gotówki z najstraszliwszym przerażeniem dostrzegł brak 40,000 złotych.

Sześdziesiąt godzin bezsennej pracy, nie mogło wykryć żadnej pomyłki rachunków, a popełnienie kradzieży stało się niewątpliwym; — lecz kiedy i przez kogo, najmniejszego śladu nie poznał. Rozpacz całej rodziny była okropną. Uwiadomiony o tém zdarzeniu prezes, oddawna znając pułkownika osobiście, wierzył, że on podłego nie popełnił czynu; ale prócz trzechdniowej zwłoki w doniesieniu wyższej władzy nic więcej dla hrabiego uczynić zdolnym nie był. Ten, który po upadku majątkowym ani najbliższemu skinieniem wsparcia bogatych krewnych nie żądał, dzisiaj w obronie imienia swych dzieci wysłał sztafety z błaganiami o pomoc w swoim najwyższym nieszczęściu.

Z dwóch miejsc żadnej nie odebrał odpowiedzi; brat zaś stryjeczny odpisał, że taki koniec był łatwo przewidzianym, bo kto zapomniał,



Ten widok wstrząsł jego duszą.

co winien imieniowi swojej rodziny, ten i jako poborca nowych obowiązków dopełnić nie zdolny. Radził ucieczkę i w końcu prosił, aby się do jego pokrewieństwa nie przyznawał.

Taki list był ostatnim ciosem dla człowieka honorowego uczucia. W samobójstwie widział jedyny koniec najokropniejszemu cierpieniu. Przez trzy dni 52 lat liczący mężczyzna ujmującej postaci zmienił się w 80 letniego starca, pogodne śmiały ócz spojrzenie w głąb czaszki ogniem dzikięj boleści zakłęśło; — wilgotny włos czarny jakby nadzwyczajnymi środkami chemii zbielił się i zmartwiał.

Na dworze jesienny wiatr suchym liściem szeleścił, na zegarze godzina druga z północy wybiła, pułkownik skończył pisanie długiego listu i z oknem suchém, z krwią zimną włożył pod płaszcz dwa pistolety nabite i cicho wyszedł na ulicę. Światło z sypialni jego żony, wstrzymało go na chwilę, — księżyc owidnił twarz martwą, spokojną, bo wszystka boleść wcisnęła się do serca. Już miał się stanowczo oddalić, gdy magnetyczna siła zbliżyła go do okna — i ujrzał swoje żonę i troje dzieci, klęczących przed wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa. Ten widok wstrząśł jego duszą, boleść wyrwała się z okowy, na lica spłynął strumień łez najgorętszych

na ziemi. W tę chwilę chód męzkich kroków oddalał się od niego, w ręku uczuł wielki zwój papieru. Gdy się obejrzał, nikogo już dostrzedz nie mógł. Pod szczeliną światła, z sypialni żony wychodzącego, rozpoznał bilety bankowe, z trzaskiem drzwi wbiegł do swojego pokoju i z uczuciem, przez żadne pióro nieokreślone, ujrzał się w posiadaniu 40,000 złotych.

Przy tych pieniądzech zbawienia znajdowała się mała karteczka z napisem:

„Gdy do zamożności powrócisz, dług ten oddasz na wiano córce swojej Maryi.”

W kilka tygodni potem zdarzeniu sprawca popełnionej w kasie kradzieży, odkrytym został, pieniądze w  $\frac{3}{4}$  częściach odzyskano, ale najgorliwsze zabiegi i usiłowania hrabiego, aby odsłonić nazwisko swojego zbawcy, okazały się bezskutecznymi. Na uczynione w pismach publicznych ogłoszenie, aby szlachetny wierzyciel 40-tu tysięcy złp., pożyczonych o godzinie 2-iej z północy w dniu 18 listopada, zgłosić się raczył po odbiór tej sumy, otrzymał hrabia przez pocztę list z Warszawy w następujących wyrazach:

„Panie Pułkowniku!

Dług 40,000 należy do pańskiej córki, do Maryi, o której szczęście w moich codziennych

modlitwach Boga prosić nie przestaję. Marya jest ideałem mojego zbawienia w życiu przyszlém, bo tutaj na ziemi udziałem moim jest tylko cierpienie bez granic. Poszukiwań wynalezienia mnie szlachetny hrabio, zaprzestań:— jestem od was zbyt daleko — przedziela nas świat cały. O jedyną proszę łaskę: niechaj Marya załączony pierścionek na moją pamiętkę zachowa.

„Nieznajomy.”

Pierścionek był żelazny z złotym wizerunkiem Chrystusa bez żadnego wewnątrz napisu.

Po odebraniu tego listu hrabia pojechał bezwzględnie do Warszawy i po długich poszukiwaniach dowiedział się tyle tylko, że ów pierścionek kupiła u złotnika P\*\*\*\* przed tygodniem dopiero młoda i piękna kobieta, która miała w ręku chustkę batystową z literą F; towarzyszył jej młody przystojny mężczyzna, którego jednakże rysów, sprzedający przypomnieć sobie nie mógł.

## II.

W ośm miesięcy później dom handlowy, na którym hrabia 700,000 złp. utracił, przysłał hrabiemu zawiadomienie, że przez szczęśliwy



obrót zagranicznych stosunków jest w możności pod dawniejszą firmą czynności swoje odnowić, jeżeli jego wierzyciele na lat sześć wypłaty zachećkać zechcą, lub gdy po upływie jednego roku przyjmą, lub gdy po upływie jednego roku przyjmą 75 za 100. Niemal równocześnie umarł bezdzietnie stryj hrabiego, czyniąc go głównym spadkobiercą, a mianowicie też zapisując mu rozległy i piękny majątek ziemski.

Na własne żądanie hrabia z obowiązków porborcy uwolnionym został i zamieszkał w dobrach Zalesie. Szczęście, zdawało się do niego z całym powabem uśmiechać; powrócił do dawniejszych swojego urodzenia stosunków; najzaenieszna żona z ciężkiej choroby zupełnie o zdrowiała; dwaj synowie znamienite w naukach czynili postępy a jedyna córka Marya, ta wierzycielka tajemniczych 40 tysięcy, duszą swoją była dla rodziców tchnieniem anioła, a bogactwem uroczych wdzięków swojego zewnętrznego jestestwa była gwiazdą, ku której zwrócili się oczy wszystkiej młodzieży.

Dzień był pogodny, wiosenne słońce zielone listki trawy złociło, lekki wietrzyk musnął po zwierciadlaną jeziora przestrzeni; skowronek już od godziny w modrém zawisł sklepieniu i piosnkę dźwięczył poranną, gdy Marya

z koszykiem na rękę w towarzystwie służącej wyszła z pałacu, i lekką stopą przebiegłszy ogród i łąkę, stanęła nad brzegiem jeziora.

— Fruziu! nasz przewodnik nie stawił się na słowo, nikogo na jeziorze nie widać.

— Ale bo też panienska niepotrzebnie naraża się na tak wielkie niebezpieczeństwo; czyliż nie dosyć, że pan hrabia posyła lekarza?— A jak panienska popadnie tej okropnej cholery i życiem przypłaci swoje poświęcenie się!

— Życie moje jest w rękę przedwiecznego Boga, a przynosić ulgę nieszczęśliwym to moja najwyższa rozkosz na ziemi, to moja najświętsza powinność... bo był czas, kiedy rodzice moi wielkiemu ulegli nieszczęściu i znalazł się nienajomy, który nas z najokropniejszej przepaści ocalił.... O! gdybym kiedykolwiek tego szlachetnego poznała człowieka, jego stopy skropiłabym łzami w dzięczności. O ty nie wiesz, jak dobrzy są ludzie na świecie!..

— Przecież pan hrabia może nagrodzić to dobre, które ten nieznajomy wyświadczył.

— On nie pozwolił, abyśmy go poznali; wszystkie poszukiwania mojego ojca pokazały się bezskutecznymi... a zresztą, gdybyśmy go i znaleźli, — nie masz na świecie nagrody, któraby jego pobrodziejstwu zrównała....

— Otóż i nasz Wojciech! — zobaczył nas; jak on szybko robi wiosłem.

Za chwilę przybił do brzegu wieśniak, z czołna wyskoczył i nisko się hrabiance uklonił.

A cóż, Wojciechu! czy lepiej się miewa wasza synowa?...

— Bogu przenajświętszemu dzięki, niby boleści ustały; jeno że jeszcze picia bez ustanku pragnie. Ale znów syn Gieruszki takóž jak Jagna zachorował i od północy cholera go tłucze, a chudziaczek woła i woła do jasnej ponienki i mówi, że jak jasna panienka Jagnie pomogła, tak i jemu pomoże.

— Siadajcie do czołna, Wojciechu! chwili do stracenia nie mamy.

Szybkiem pędem puściło się czołno na obszerną przestrzeń, niosąc w płytkim wydrążeniu anioła pociechy!... anioła ratunku!...

W 10 minut później Marya znajdowała się w chatce nieszczęśliwych wieśniaków. To wszystko, co podług znanych Maryi przepisów lekarskich w chorobie cholerycznej czynić było potrzebném, natychmiast użytém zostało, a młody wieśniak, widząc przy swoim łóżku jasną panienkę, zapewnił płaczącą matkę, że już z pewnością nie umrze. Całej wioski ludność błagała Boga przed progiem chatki, aby



Szybkiem pędem puściło się czołno na obszerną przestrzeń, niosąc w płytkim wydrążeniu anioła pociechy!... anioła ratunku!...

panience z pałacu, najdłuższego życia i wszelkiej szczęśliwości użyczył.

Pół godziny trwała bytność Maryi pomiędzy nieszczęśliwymi; chorzy otrzymywali lekarstwa i pomoc, kilkanaście kobiet odebrało zapas mięty, kropli i powtarzane objaśnienie, jak sobie postępować mają, gdy się nowy chory pojawi. Pocieszyła strapionych, uspokoiła trwożliwych i obsypana błogosławieństwem ludu, już miała siadać do łódki z powrotem, gdy na wozie słomą usłanym, przyjechał lekarz z miasteczka S..., mężczyzna w kwiecie wieku, przystojny, z szlachetnym wyrazem twarzy, a obok tego mający w głównych rysach widoczny ślad pochodzenia wschodniego. Zbliżywszy się do zgromadzonych wieśniaków, gdy pośród nich spostrzegł hrabiankę S..., zatrzymał się w miejscu, gwałtownie pobladł i dopiero po chwili milczenia wyrzekł z pełną uszanowania grzecznością:

— Tam, gdzie Bóg swoich zsyła aniołów, pomoc lekarza jest zbyteczną.

Zarumiemiała się Marya i wdzięcznie odrzekła:

— Nauka jest najwyższą łaską nieba; kapłanom nauki i aniołowie ustępują pierwszeństwa.

— Ja wypełniam mój obowiązek; — pani

swojém poświęceniem się narażasz życie, które jest najdroższym skarbem rodziców i tych osób, które mają szczęście znać panią. Gdy od dzisiaj codziennie chorych tego miejsca odwiedzać będę, dalsze narażanie się pani na niebezpieczeństwo byłoby grzechem. A jeżeli najszlachetniejszemu sercu pani, moje zapewnienie żadnej nie stawia tamy w poświęcaniu się osobistém, pozwól pani, że tę uczynię uwagę, iż, mniej świadoma środków ostrożności, możesz pani zarazę przenieść na tamtą stronę jeziora i tylko liczbę ofiar powiększyć!

— Naprózno bym walczyła z doświadczeniem i nauką pana, a kiedy mam przyrzeczenie, że pan o moich chorych nie zapomnisz, spokojną będę o ich życie. Obecnie racz pan przyjąć moje podziękowanie i z głębi mego serca wyrazi najwyższego szacunku.

Lekarz, widoczném miotany uczuciem, zbliżył się i na ręce hrabianki złożył drżącemi ustami namiętny pocałunek — zachwiał się — i upadł bez zmysłów na ziemię.

### III.

W kilka dni po tym cholerycznym wypadku hrabia S\*\*\* powrócił z miasteczku R\*\*\* i za-

pewnił swoje żonę i córkę, że młody lekarz niemal do zupełnego powrócił zdrowia, że już chorych u siebie przyjmuje i że, pozostawiając na swoim miejscu zastępcę, zamierza jutro do Warszawy na kilka miesięcy wyjechać.

— Rzecz szczególniejsza — mówiła następnie hrabina — ten młody lekarz w tak krótkim czasie swojego w naszych okolicach pobytu tyle zdziałał dobrego, tyle tajonych czynów najwyższej szlachetności wypełnił, że; gdyby, się był znajdował w pobliżu naszym, gdyś z rąk *nieznajomego* te 40 tysięcy zbawienia otrzymał, dając Fruzi wiarę, że przy całowaniu ręki Marini oczy jego zbyt długo zatrzymały się na jój żelaznym pierścionku, powzięłabym myśl, czyli to on nie jest tajonym zbawcą naszym; boć i *Marina* zapewnia, że na widok tego lekarza jój serce doznało wzruszenia, któremu dotąd granicy położyć nie może....

— Jam dawniej już na ten sam wpadał domysł — odpowiadał hrabia, ale żadnej a żadnej nie ulega wątpliwości, że on w tym samym dniu był jeszcze w Berlinie, a więc o 80 mil powietrzem przypląć nie mógł na mój ratunek. Zresztą rodzaj tłumaczenia się pana radcy X\*\*\*; pojawienie się jego syna w domu naszym; litera F., którą na batystowej



chustce pierścionek kupującej damy złotnik spa-  
miętał, zgadzająca się z początkową literą imie-  
nia córki pana radzcy; ówczesna jej bytność  
w Warszawie, nakoniec ta główna okoliczność,  
że radzca X\*\*\* wkrótce po naszym odrodzeniu  
majątkowém, będąc bardzo bogatym, prosił mnie  
o pożyczkę 40,000 złp. bez oznaczenia ter-  
minu uiszczenia się, to wszystko jest ja-  
snym dowodem, że jego słowa wczoraj przy po-  
żegnaniu w tém miejscu wyrzeczone: „z kolei  
polecam waszój przyjaźni syna mego,“ napo-  
mykały, iż on był moim zbawcą, a ja mam być  
z kolei przyjaznym widokom jego syna Zdzisława,  
który od kilku miesięcy stara się najwyraźniej  
pozyskać serce naszój Maryni. I przyznam się,  
że byłoby mi przyjemiej być dłużnym wdzię-  
czność panu radzcy — aniżeli... przechrzcie.

*Marya.* Ukochany tatko! dusza jest całą  
wartością człowieka; a dusza tego lekarza, jak  
nam nie z domysłów ale z pewnością wiadomo,  
ileż wylała zdroju dobrodziejstw dla cierpiącej  
ludzkości — dla dotkliwego nieszczęścia.... dla  
nędzy bliźnich! O najdrożsi rodzice! — ja nie  
wiem, ja nie pojmuję, dla czego w tak wielkie  
względem nas dobrodziejstwo pana radzcy pomi-  
mo wszystkich, niemal dotykalnych dowodów,  
uwierzyć nie mogę, i na jakiej drodze serce

moje najsilniejszym bije uczuciem dla tego prze-  
chrzty lekarza....

*Hrabina.* Mylisz się, Maryo! twoje serce nie  
może znać najsilniejszego uczucia dla prze-  
chrzty....

*Marya.* Ten, który dobrowolném przyjęciem  
chrztu składa uznanie zasad religii chrześcijańskiej,  
a czynami dobrodziejstw dla ludzkości, czynami  
poświęcenia się uznanie to potwierdza, nie za-  
sługujeż-li taki nowy chrześcjanin na nasze bezwa-  
runkowe, nasilniejsze, najszczersze uczucie brata lub  
siostry w Chrystusie?

Dalszą w tym przedmiocie rozmowę przer-  
wało przybycie młodego Zdzisława X\*\*\*, który  
z rannój wycieczki myśliwskiej powrócił.

*Hrabia.* A cóż, panie Zdzisławie, cyliż dzi-  
siał nie lepiej posłużyło ci szczęście?...

*Zdzisław.* Przez dwie godziny chodziłem  
nad brzegami jeziora, ale prócz jednego beka-  
sa nie widziałem nic więcej.

*Marya.* A o Regówce nie zapomniałeś pan  
dzisiaj?...

*Zdzisław.* Byłem na tamtym brzegu i ase-  
kurowali mnie ludzie, że nikt nie zachorował;  
nadto powiedział mi tamtejszy ekonom, którego  
do czołna przywołać kazałem, że dawniejszy  
lekarz był dzisiaj w Regówce z swoim zastęp-

ca, i podobno zwiedzili wszystkie chaty. Gorliwymi są żydzi, nie wątpliwe świadectwo, że pan Hrabia dobrze ich płaci.

*Marya.* *Honorarium* nie jest zapłatą poświęcenia się; lekarz pieniędzmi nagrodzonym być nie może.

*Hrabia.* W naszej córce znajdujesz pan silną na tej drodze opozycją.

*Zdzisław.* *Je serais très malheureux*, gdybym tym wyrazom rozciąglejsze dawał znaczenie, i dla przejednania najniebezpieczniejszej *opozycji*, cofam zdanie moje i zgadzam się z panią, że w sztuce lekarskiej naukę tylko cenić należy.

*Marya.* Jak widzę, ciągle muszę być na stronie panu przeciwniej, bo i w sztuce lekarskiej sumienia od nauki rozdzielać nie godzi się.

*Zdzisław.* Czyliż to mojem jest przeznaczeniem, aby pani była zawsze zwycięzcą a ja zwyciężonym?.. — i blade, wymiękły, *manierny* Zdzisławek uśmiechnął się, spojrział w zwierciadło a potem, całując śnieżną rączkę hrabianki, dodał z przymileniem: o tę jedną odpowiedź będę natrętnym.

*Hrabina.* Czyliż ojciec pański wstąpił wczoraj do Ziółkowie? bo wspominał, że pani Florentyna ciągle jeszcze jest słabą.

*Zdzisław.* Papa wstąpił; ale siostra moja zupełnie już dobrze... i nawet spodziewam się, że siostra moja dzisiaj złoży państwu hrabiostwu swoje uszanowanie.

*Hrabina.* Bardzo nam będzie przyjemnie, powitać u nas naszą dawną, dobrą znajomą.

Stało się, jak pan Zdzisław obiecał; pod wieczór przyjechała pani Florentyna ozdobną karetą z mężem olbrzymiej postaci *Piesiem*, (Piotrem), bogatym dziedzicem dóbr Ziółkowie, z pyziatym, siedmio-letnim synkiem Edziem, z ośmiomiesięczną córeczką Madzią, z mamką Jakubową, z boną panną Szprech, z galonowanym lokajem Melchiorem i z wąsiatym stangrettem Wawrzyńcem; na bryczce zaś siedziała stara garderobiana Nozdrzewska, przez ciocię marszałkową darowana piastunka, blada, chuda, biedna, Wołynianka Osipka i fornał Mateusz *Kapusta*; a oprócz tych ludzi było zwierząt: koni karcianych pięć, klaczy fernalskich 3 z dwoma źrebiętami, koń wierzchowy dla pana Zdzisława 1, charty dla pana Zdzisława 3, maleńki wyżełek angielski jaśnie pani i od roku nieumyty pudel Azor, bez którego obecności Edzio straszliwie zwykł krzyczyć. Przy tłumokach, tłumoczkach, pudlach i pudełeczkach liczba mi zginęła, bom

się zapatrzył na dwa wielkie konie drewniane, bryczkę po temu i bicz pięknie malowany, zabawki Edziowe, na wierzchu karety w paradzie stojące, czerwonym szpagatem do szprigli, do tylnych waliz i do kozła starannie przywiązane. Ze środka karety wyniesiono także dla Edzia i karabin, i pałasz, i bębenek przedziurawiony, i malowaną grzechotkę i kilka kogutków piszczących, ku którym każde dziecko uczułoby niepochamowaną żądzę, gdyby było tak starannie pielęgnowane jak Edzio.

Już ukończonemi zostały najserdeczniejsze przywitania, i pani Florentyna objawiła kochanej hrabinie, że na cały tydzień z Piesiem i z dziećmi przyjechała, gdy Edzio nielitościwie wrzeszczyć począł, dopominając się o pudelko z huzarami; a gdy mu w lot huzarów dostarczono i panna Marya dla uspokojenia rozdąsanego chłopczyka dwa plutony tychże huzarów na małym ustawiała stoliczku, grzeczniejszy już Edzio pobiegł do mamy, ubrudzonym paluszkami wskazał na hrabiankę Maryą i głośno zapytał:

— *Czy to ona się ożeni z wujakiem Dzisiem???*...

Jak piorunem rażone, całe towarzystwo zamilkło; a chłopiec sądząc, że mu należy wszystkie słyszana wiadomość wyłuszczyć; dodał bezzwłocznie:



Wyniósł na drugą stronę pałacu.

*A wujaszek Dzisiaj dostanie zaraz gotówką te pieniądze wszystkie z Ber-lina, bo dzisiaj sam incyżę pisać będzie, i Dzisiaj zapłaci dlugi i będzie takim panem, jak mój papka...*

Panna Marya już się do przyległego usunęła pokoju, gdy pani Florentyna, chwytając Edzia za rękę, targnęła nim tak nieostroźnie, że chłopiec upadł na ziemię i rozbeczał się przeraźliwym dyszkantem.

— *Ce petit drole ne fait que dire des sottises,* które mu się samemu w głowie wylegną; — mówiła pani Florentyna, córka pana radcy, zbawcy hrabiego.

— *Ale wy-lę-gną* — odezwał się na kobiercu tarzający się Edzio — *a przecies mama do wujaszka mówiła...*

— *Mon chère* — z sinionemi usty zawołała pani Florentyna na męża Piesia, (który się z zadowoleniem uśmiechał do Edzia — wynies tego chłopca do panny Szprech; to imaginacją przechodzi, jak on jest niegrzeczny i komponujący sobie rozmaite głupstwa.

Posłuszny rozkazowi żony, pan Pies schylił się po Edzia, ujął swojego infanta pod pachy i bez litości wrzeszczącego, papę po nosie drapiącego i nóżkami wierzgającego, przy głośném naszczekiwaniu pudła Azora, wyniósł na druga



stronę pałacu, gdzie mamka z dziecieniem, panna Szprech z panną Nozdrzewską i Osipką, w dwóch obszernych komnatach, mnogie rozwiąły tabory.

Ponieważ mi zarzuczają, że się tylko w karykatury bawić zwykłem, więc pobytu państwa z Ziółkowic w domu hrabiostwa S\*\*\* opisywać nie będę. To tylko ku związkowi mojej powiastki objawić obowiązany jestem, że państwo z Ziółkowic nie zamierzonych dni ośm, ale dzień jeden u hrabiostwa zabawili i że pani Florentyna nie oświadczyła brata swojego o rękę hrabianki Maryi — i ograniczyła się przy pożegnaniu na uściskach kochanej Maryni, na zapewnieniach najserdeczniejszej przyjaźni, na powtarzanych prośbach, aby pani hrabina z mężem i z Marynią Ziółkowie odwiedzić raczyli.

#### IV.

W tydzień po odjeździe państwa ze Ziółkowic i pana Zdzisława, przyjechało na imieniny mamy, na ś. Zofią, dwóch synów hrabstwa, Witold i Kazimierz, uczniowie uniwersytetu berlińskiego, i z nimi trzeci student filozofii z Monachium, Edward hrabia Miaznicki, syn magnata na Ukrainie, młodzieniec bardzo przystojny, bar-

dzo dobrze przyjmujący *edukacją*, i podług zapewnień Witolda człowiek wielkich idei religijnych. Uszczęśliwieni rodzice niespodziewanym przyjazdem Witolda i Kazimierza, byli zarazem całym sercem radzi i ich przyjacielowi, a Marya szczerzy uczuła pociąg dla pana Edwarda, którego jej bracia kochali i wysoko cenili. Od przyjazdu trzech chłopców w pałacu Zalesia weselsze zakwitło życie; dni stały się krótszemi, często nawet brakowało i czasu na spełnienie ułożonych rozrywek, wycieczek i przejażdżek; poranki i wieczory o wiele nie wystrczyły na lube pogadanki, żywe rozprawy, utarczki i umysłowe kłótnie przy najzupelniejszej serc zgodzie.

Uroczystość imienin hrabiny obchodzoną była niemal z książęcą wspaniałością; odbyło się w kościele nabożeństwo; ubogim rozdawano jałmużny; sąsiedzi z całej okolicy, wyższe duchowieństwo i znakomitsi urzędnicy składali powinshawania; był obiad wystawny na 120 osób; były tańce, koncerta, obrazy, fajerwerk na wysepkach jeziora spalony; -- zgoła, na co tylko miejsowa możność zdobyć się mogła, wszystko przywiązany mąż, kochające dzieci i bliżsi przyjaciele obmyślili i spełnili. Radzca N\*\*\* na okazanie czci dla hrabiny, bezwzględnie, że pułkownik był poborcą pod jego zwierzchnictwem, wystąpił

w wielkim mundurze; pani Florentyna ubraną była w suknię z chińskiej materyi, za którą pan Piotr złp. 5,000 w Berlinie zapłacił; pan Zdzisław zaś nie ograniczył się na paryzkim fraku, ufryzowanej głowie i wiedeńskiej kamizelce za 40 talarów, (która była obficie złotem zahaftowana), ale przywiózł w podarku dla samej hrabiny dwa nadzwyczaj oswojone łabędzie, a dla panny Maryi cztery kwitnące drzewa dwubarwnej kamelii, podziwianej wielkości i najpiękniejszego gatunku, a jak się przypadkiem przed Witoldem wymówił, 1,200 złp. kosztujące. Co więcj: pan Zdzisław podczas fajerwerku dyrygował plutonowym ogniem kilkunastu dworskiej służby i sześciu gajowych z dwururnych strzelb w chwili, gdy cyfra solenizantki światłem błękitnym oblaną została. Najzłośliwszy nieprzyjaciel nie mógł panu Zdzisławowi zaprzeczyć, że w grzeczności wszystkich przewyższył. Pomimo tego bystrzej przenikliwości, panie tę sprawiedliwą uczyniły uwagę, że hrabianka Marya bardzo często rozmawiała z młodym hrabią Edwardem, i że pan Stefan Żalicki, były porucznik ułanów, dziarski 32-letni mężczyzna z czarnym jak kruk wąsem, *bardzo do rzeczy* i wcale nie ubogi, także o nie mały ambaras serce hrabianki przypawił, zwłaszcza w mazurze, gdy każdym poruszeniem duszę żołnierską odsła-

niał; bo poczciwe serce Maryi, córki byłego pułkownika, dla wojskowych obojętném być nie mogło.

Nie obwijając w bawelnę, aby ciekawości pięknych czytelniczek nie drażnić, po tym wielkim balu Marya sercem dumań i marzeń polubiła Edwarda, który przed nią rozwinął się fantastycznych obrazów z nowej szkoły ascetycznego kuglarstwa, który jej ukazywał na niebie dwie kolumny duchów, słup ognisty zniszczenia itd. itd.; sercem swojskiém, rodzinném polubiła Stefana, do którego życia z przeszłości i w przyszłości wiązały się najdroższe spomnienia i nadzieje; dla Zdzisława nie pozostała żadna częśćka jej serca, a zdawkowa grzeczność za kamelie i za łabędzie była tak zimną, że ją i swojemi orderami olśniony papa przeniknął i poznał.

Nazajutrz w przedobiedniej godzinie pan radzca, pani Florentyna i pan Zdzisław walną czynili naradę, jak dalej postąpić mają. Pan Piotr, jako zbyt ograniczony, wraz z Edziem, jako zbyt niebezpiecznym świadkiem, oddaleni zostali; pozostała przypadkiem wołyńska sierotka Osipka, która przy kołysce małej pani, córeczki pani Florentyny, niepostrzeżona kłęczała.

— *Pan radzca X\*\*\*\**. Widocznie, że ta dumna córka poborcy *negliżuje cię*, Zdzisławie, i do hra-

biego Edwarda przymila się a Żalickiego na odwodzie trzyma; — mądra to szczygliczka!...

— *Pani Florentyna.* Młoda, niedoświadczona dziewczyna; wszystko można odrobić, tylko o tém dokładnie wiedzieć trzeba, ile oni rzeczywiście posiadają majątku.

*Zdzisław.* O tém papa wie najlepiej.

*Radzca.* Zalesie warto brat bratu milion sześć kroć, a długu żadnego nie mają. U berlińskiego bankiera summy na lat sześć zaczekać przyrzekł, poręczenie wypłaty zapewnił dom Magnusa, a więc gotowizny można liczyć na pewne 700,000, summa nieochybna 2,300,000. Na każde przeto z dzieci wypadnie... Zdzisław daj mi ołówka. Trzy w dwudziestu trzech, siedm, siedm razy trzy, dwadzieścia jeden, zostaje dwa; spuszczam zero, trzy w dwudziestu, sześć, trzy razy sześć, ośmnastcie, ośm od dziesięciu dwa; spuszczam zero, — sześć, sześć, sześć, sześć: Marya będzie miała posagu prócz tego, co rodzice jeszcze dorobią złp. 766,666 gr. 20.

*Zdzisław.* A ile oni mogą jeszcze dorobić?

*Radzca.* Hrabia był poborcą umie się dobrze rachować.

*Zdzisław.* Więc grymaśna ale piękna hrabianka pułkownikówna będzie miała z najniewątpliwszą pewnością (*pisze ołówkiem*) 766,666 złp.

gr. 20 prócz tego, co papa poborca dorobi. Jedém słowem: panna milionowa; a jabym jeszcze skorzystał, mając przy działach do czynienia z rozrzutnymi hrabiczami, Witoldem i Kazimierzem.

*Radzca.* Naturalnie, gdyby stary powędrował *ad patres*.

*Florentyna.* On od owéj kradzieży w kasie ciągle taki żółty, pokaszluje, jabym za trzy lata jego życia nie raczyła.

*Zdzisław.* Pułkownikowa jeszcze prędzéj umrze.

*Radzca.* Koniec końców, że trzeba wzięść się energicznie; pół-środków nie lubię. Oto tak zrobimy. Zdzisławie! ty ztąd ani na krok jeden nie ruszysz się; jak usłyszysz, że kto obcy do pokoju się zbliża, chodź wielkimi krokami wzdłuż i wszerz, udawaj człowieka w rozpacz. Pistolety niechaj leżą na stole.

*Zdzisław.* Wiem! Wiem! Wiem!

*Radzca.* Tylko proszę mnie słuchać; ty zaś, Florciu, pójdiesz do salonów i będziesz mi udawała bardzo zasmuconą. Jak się goście rozjadą, pójdiesz niby zajrzeć do dziecka, nagle powrócisz blada, trzęsąca się, poskoczysz ku muie z załamaniem rękami i głośno zawołasz: „on się zabije!“ Reszta to już moje dzieło!

*Florcia i Zdzisław.* Wybornie, papo! wybornie!...

*Radzca.* Ja wtenczas powiem hrabiemu, że z zarumienieniem widzę się zmuszonym wyjawić mu, że to ja dałem mu owe 40,000 złp. i będę go błagał o wzajemną pomoc w mojem nieszczęściu, o ocalenie życia mojego syna!... A co?! chybi?...

*Zdzisław.* Papo, nie chybi, *jak honor kocham*, tak nie chybi. Interes skończony!...

*Florcia.* A jak się wynajdzie ten prawdziwy nieznajomy, który hrabiemu pożyczył 40,000!?

*Radzca.* To tam jakiś świętoszek, on się już nie zgłosi. A zresztą, jeżeli się zgłosi po ślubie, naśmieją się z hrabiego, przecież rozwodu żądać nie będzie. Tylko, że wtenczas wypadałoby mu zwrócić 40,000 złp., które to pożyczyłem od niego.

*Zdzisław.* To będzie miała więcej posagu (*pisze ołówkiem*): trzy w czterech, jeden, trzy w dziesięciu trzy, trzy — trzy, trzy, groszy 10, czyli złp. trzynaście tysięcy, trzysta trzydzieści i trzy gr. 10.

*Radzca.* W tém więc cała sztuka, aby ślub nastąpił za *indultem*, bez zapowiedzi, szybko, jak najprędzej. Do czego twoja ciągła rozpacz o nie-

pewność przyczynić się winna. Już ja poprowadzę, zreferuję, a hrabia podpisze.

Godne dzieci ucałowały ręce godnego papę. Zdzisław wyjął z machoniowej szkatułki dwa *kuchenrejtery*, pocałował je, uśmiechnął się, potem natychmiast włosy w tył przerwucił, twarz unieruchomił i począł wszerz i wzdłuż po pokoju maszerować.

*Radzca.* Lepiej niepodobna! *bravo!* Zdzisławie!

*Florcia.* Tylko oczy więcej wytrzeszczaj!

I pan radzca wyszedł z córunią na drugą stronę pałacu, do salonów, do gości, do hrabstwa.

## V.

Są autorowie, którzy potrafią jak na sznurku słówka w słówko, z najdrobniejszego w najdrobniejszy czyn rozpoczętą prowadzić powieść, i każką treść na 2, 3, 4, a czasem i na 6 tomów rozcedzić i rozwałkować; a powszechność po przeczytaniu, natłokiem myśli nie zmordowana, z miłym uczuciem wyrzeczce: „ładnie opisał,“ poczem i drukarz, i papiernik, i introligator, i rękopisami handlujący autor, i księgarze w pięćdziesiątym procencie najwyraźniej zwiększony zysk mają.



Taki rodzaj literackiego nawodniania myślowej dziedziny jest bardzo wielu ludziom pożyteczny; ale cóż, kiedy na moje nieszczęście nie jestem utalentowanym powieścio-pisarzem, jeno pisarzem ramotek, które krótko, kuso, w oderwanych cząstkach, w odłamkach, rzucam na papier i śpieszę do końca jak żyd na szabas, — chociaż dali-bóg żydem nie jestem.

Spyta się zapewne nie jeden, jaki ma związek początek tego rozdziału z treścią powieści?... Oto taki, że pomijam szczegółowe opisywanie brudnej sceny nikczemnego oszukaństwa i w treści to tylko opowiem, że plan pana radzcy, dobrze ułożony, tegoż samego dnia jeszcze wybornie wykonany został; a przed zachodem słońca hrabia z gwałtownym rozczuleniem całował ręce swojego wybawcy, hrabina w objęciach Florci rzewne łzy wylewała; Witold i Kazimierz uprzedzali się w wyrazach głębokiej wdzięczności. A Marya?...

Marya całą duszą przeszła na własność Zdzisława, syna tego szlachetnego męża, który jej ojca i całą rodzinę od hańby i zguby ocalił.

Edward uznał za słuszne, dla efektu, tego dnia jeszcze na Ukrainę odjechać. Stefan nie był świadkiem szczęścia Zdzisława.

Aż mi lżej, żem się z tego rozdziału wywinął.

## VI.

Poranek 15 czerwca pogodnym niebem ziemię osklepił, a słońce już od dwóch godzin gorącemi całunkami pieściło się z kwiecistą barwą wiosny, gdy Marya po odbytej spowiedzi przedślubnej z parafialnego wracała kościołka; towarzyszyła jej matka z cichą w sercu modlitwą. Wchodząc w bramę dziedzińca, spostrzegły przed pałacem parokonną bryczkę pocztową. Sądząc, że zapewne który z młodych przyjaciół Zdzisława na ślub przyjechał, hrabina pośpieszyła na przyjęcie nowego gościa. Marya udała się do oficyny, aby panią Florentynę obudzić i ciociom i stryjenkom i kuzynkom (o! bo się to wszystko na ślub bogatej hrabianki najchętniej zjechało) dzień dobry powiedzieć.

Zaledwo się kochane panie grzecznicę poczęły, wezwano Maryą do jej rodziców.

Dziwne, niepojęte, niewysłowne, najsilniejsze uczucie oblało serce Maryi, gdy w pokoju rodziców zastała młodego lekarza,\*\*\* którego przed 8 tygodniami w Rogówce przy odwiedzaniu cholerycznych poznała.

*Hrabia.* Pan konsyliarz, wracając z Warszawy,

raczył do nas wstąpić i pragnie złożyć ci życzenia dzisiaj mającego nastąpić twojego zamełcia.

Młody lekarz stał nieruchomy, niemy, blade, a lekkie drżenie zdawało się po jego twarzy przebiegać.

Marya zaledwo kilka wyrazów podziękowania za pamięć wymówić była zdolną. Po chwili coraz widoczniejszej walki wewnętrznej młody lekarz zbliżył się do hrabianki, ujął ją za prawą rękę i silnym głosem zapytał.

— W imię twojego, pani, szczęścia na całe życie proszę o najszczerszą odpowiedź: czyliż do oddania swój rękę synowi pana radzcy inne prócz wdzięczności skłania panią uczucie?...

— Wdzięczność i przywiązanie — z pomięszaniem odrzekła Marya.

Na twarz lekarza mocno wystąpił rumieniec.

— Bądź pani szczęśliwą i racz zawierzyć, że tylko znane mi anielskie cnoty pani, a ztąd życzenie szczere, głębokie, ośmieliło mnie do tak śmiałego kroku dowiadywania się o uczuciu pani w dniu jój zaślubin...

Zwracając się do rodziców: Przebaczcie, państwo, to jest kaprys mojego uwielbienia dla waszej córki, którą widziałem narażającą się przy niesieniu ulgi i pociechy dla nieszczęśliwych, dla

nędzy. Oddalając się z tych stron na zawsze, proszę o życzliwą pamięć, i spomnienie...

Wchodzący do pokoju Zdzisław przywitał młodego lekarza lekkomyślném zapytaniem.

— Czy pan i w szabas chorych odwiedzasz?...

— Nie jestem już żydem, a gdybym był nim jeszcze, szabas nie przeszkadzałby mi obowiązków mojego powołania wypełniać.

*Hrabia.* Panie Zdzisławie! pan konsyliarz jest przyjacielem naszego domu.

*Marya.* O i bardzo, bardzo szlachetnym!

Oczy młodego lekarza utkwily w postać Maryi, zamyślił się a potem, nagle wyrwijąc się z przykrego położenia, uściśnął ręce rodziców i córki, oddalił się spieszenie i za chwilę z zasłoniemni oczyma wyjechał z Zalesia.

Zdzisław zrobił kilka zapytań o dawności znajomienia się hrabiostwa z tym młodym lekarzem; hrabia powtórzył najżyczliwsze o nim świadectwo; Marya ze ściśnioném sercem udała się do swojego pokoju.

Nagle rozległ się płacz i hałas po całym pałacu. Wołyńska sierota, piastunka Osipka, wbiegła do pokojów i z zakrwawioną twarzą rzuciła się do nóg hrabiego.

— Niech mnie jaśnie wielmożny pan uratuje od służby u mojej pani! *At* ja jaśnie wielmożnemu

panu wszystko opowiem, jak ojciec mojej pani namówił pana Zdzisława, żeby on udał, że chce się zastrzelić; jak oni wszyscy rachowali, ile państwo mają bogactwa, rychło państwo poumiera, jak moja pani boi się, żeby ten człowiek nie przyjechał, za którego się ojciec mojej pani udaje, bo on wcale nie dał jasnie wielmożnemu panu żadnych pieniędzy.

Niespodzianym ciosem tego zeznania uderzony Zdzisław, stracił wszelką przytomność, i u przebieglejszej siostry szukając zbawienia, uciekł z pałacu.

Na wrzask i hałas Osipki przybiegły hrabina i Marya — i zaledwo usłyszały z ust hrabiego zeznanie biednej dziewczyny, gdy Marya spojrzała na swoją rękę i z trupią bladością, wieszając się u szyi swojego ojca, namiętym zawołała głosem.

— Ojczel! on mi odebrał pierścionek, on był zbawcą twoim! zbawcą naszej rodziny! Matko! moje serce nie omyliło mnie.

Radzca, Zbigniew i Kazimierz weszli na tę scenę, nie znając ani jej początku ani jej treści.

*Hrabia.* Panie radzco! oto jest twoja oskarżicielka, która z oczu moich utkaną przez ciebie zdjęła zasłonę. Jam z twoich rąk 40,000 nie odebrał. Mój prawdziwy zbawca, całym sercem mo-

jém jestem tego pewny, przed chwilą dopiero mój dom opuścił.

*Radzca (jąkając się).* To wcale stosunków naszej przy... przyjaźni nie powinno — nie powinno by... nie może zmienić. Żart mój puść, kochany pułkowniku, w niepamięć; zwyczajnie chciałem synowi mojemu dopomódz. A te 40,000 złp., któreś mi pożyczył, oddam Maryi, mojej synowej...

*Hrabia.* Jeszcze synowej!?!.. Nawet ta przy moich nogach skrwawiona poddanka wołyńska byłaby nieszczęśliwą, gdyby swoją rękę twojemu synowi oddała.

*Radzca.* Pan hrabia zapominasz się... ja... ja zdaję się na honorowy sąd twoich własnych synów...

*Witold.* Moim sądem jest, żeś zasłużył na piętnowanie policzkiem.

*Kazimierz.* Kto za popełnioną podłość zapragnął tej nagrody, która się należy cnocie tajonej, z pod sądów honorowych winien być wyjęty, a wyrok mojego brata jest tylko surową sprawiedliwością.

*Radzca.* Więc zrywamy... dobrze!

Bezczelnik wymknął się bez kapelusza, a cała rodzina hrabiego spólnymi siłami zemdlała Osipkę na łóżko Maryi zanosła. Biedna dziewczyna za niewinną z pyzaty Edziem sprzeczkę została

przez złośną panią swoją, nożyczkami okropnie w twarz szarpnięta, zapewne w chwilowém uniesieniu pięknej pani.

W godzinę później pan radzca, państwo Piotrostwo, pan Zdzisław, z karetami, z koczami, z bryczkami, dwadzieścia siedm koni z licznym poczem sług swoich płci obojój, wyjąwszy Osipkę, wytoczyli się za bramę dziedzińca prosto do Ziółkowie; Witold i Kazimierz ślali sążniste w powietrzu za niemi znaki krzyża świętego, *per modum*—jak się biesów wyzegnuje. Niżej podpisany chirurg filozofii, temu całemu zdarzeniu obecny, wołałem za psu-bratami: „a do domu, buldoki! a do domu, brysie!... tylko ty, głupi Piesiu, nie potrzebnyś z niemi,— a do domu, jamniki!

\* \* \*

Kiedy w r. 1836 z Londynu do Nowego-Yorku płynąłem, młody polski lekarz\*\*\* przez kilka tygodni niemiłej podróży uzupełnił mi szczegóły powyższej powiastki, których jednakże powtórzyć mi nie wolno, bom je miał opowiedziane pod przyrzeczeniem, że tajemnicy nie odsłonię nikomu przed rokiem 1875.

Nie wieki to żadne, za 28 lat pospieszę moim kochanym czytelnikom wszystko po szczególe

wypisać. Dzisiaj o tém tylko zapewniam, że pułkownik, hrabia Stanisław S\*\*\* bezskutecznie za młodym lekarzem\*\*\* pocztowemi końmi do Warszawy pogonił i że Marya w rok później umarła.

Jeden z upartych zwolenników Rademachera zapewniał mnie, że umarła na *morbis chelidonii*, a może nawet na *morbis aquae quassiae*; ale to bajki. Hrabianka po prostu umarła na podwyższoną czynność serca i arteryi. Szkoda! była to dziewczyna wyższego pojęcia, najszlachetniejszego uczucia,—wolna przesądów i uprzedzeń, wieku XIX niegodnych. Śnać w niebie było natenczas potrzeba jednego więcej anioła.



wypisać. Dział o tem. 1733 zapewniam, że naj-  
 kowit. Istnia. 200000. 200000. 200000. 200000.  
 wiodym. Istnia. 200000. 200000. 200000. 200000.  
 wawy. Istnia. 200000. 200000. 200000. 200000.  
 Istnia. 200000. 200000. 200000. 200000.  
 Istnia. 200000. 200000. 200000. 200000.  
 Istnia. 200000. 200000. 200000. 200000.  
 Istnia. 200000. 200000. 200000. 200000.  
 Istnia. 200000. 200000. 200000. 200000.  
 Istnia. 200000. 200000. 200000. 200000.  
 Istnia. 200000. 200000. 200000. 200000.

# KUBUŚ SIĘ PRZECIERA.

POKRZYWKĄ

przez

AU. WL.

## KUBUŚ SIĘ PRZECIERA.

### I.

Było to z południa 30 września roku 1815 po ukrzyżowaniu Chrystusa a 1848 podług kalendarza rzymsko katolickiego; działo się w Warszawie nad rzeką Wisłą, w domu pod Nrem 476 lit. *d* przy ulicy Nowo-Senatorskiej, na drugim piętrze, w pokoju zaszczyconym nazwą Redakcyi Dzwonu literackiego. Pałac sygaro, czytałem gazetę niemiecką, gdy uszu moich doszły z przybożnej komnaty kobiece głosy i równocześnie ujrzałem w progu mojego uchronia ślicznie ustrojona mamę z 18-letnią córeczką i z dwudziestoletnim synalem.

— Pan August mnie poznaje?...

— A gdybym i nie poznał, toby serce odgadło; ależ poznaję, poznaję najszanowniejszą panię dobrodziejkę, nawet poznaję i pannę Teklu-

nię, która tak prześlicznie mamę swą przypomina z tych lat, kiedyśmy to z panią Anastazyą oberka w Szamotułach tańczyli.

— Zawsze dobry i grzeczny pan August. A gdzie Paulinka?

— Moja żona, jest na wsi o 9 mil od Warszawy, ale dzisiaj spodziewam się jej powrotu.

— Prezentuję panu Augustowi mojego syna, Kubusia.

— Bardzo mi przyjemnie tę tyle dawną odnowić znajomość, boć że ja to byłem świadkiem św. chrztu maciucińskiego Kubcia, który obecnie o całą głowę mnie przerosł.

Kubus się sztywno uklonił.

— I ja go też tutaj do pana Augusta przyprowadziłam, aby go polecić waszej opiece, waszemu sercu.

— Wdzięczny pani jestem za łaskawą o nas pamięć.

— Przywiozłam go do Warszawy i zamierzyłam zostawić go tutaj na dwa lata.

— Gdzież Kubcio szkoły ukończył?...

— W Płocku chodził do gimnazjum, ale w IV klasie zachorował, więc go wzięłam na wieś, a potem przyjąłem guwernera, który jego edukacją ukończył.

— Obecnie wstępuje do biura?

— O nie! nie! będzie jeszcze brał lekcyje muzyki i tańca, i chcę żeby się chłopiec trochę przetarł na wielkim świecie stolicy.

U kogoż go pani umieścisz?...

— Chciałam mu nająć prywatne pomieszkanie, ale on tu znalazł swoich szkolnych przyjaciół, synów pana Raniszewskiego, i z nimi ma mieszkać w hotelu Rzymskim.

— Czy młodzi hrabiowie Raniszewscy także się tutaj przez dwa lata przecierać będą?...

*Mama.* Oni są już bardzo do brze przetarci i bawią tylko dla rozrywki.

*Kubus.* Przed miesiącem powrócili z zagranicy.

*Teklunia.* Kubcio nie mógł nateraz dostać paszportu, bo i on miał jechać za granicę.

— Co się zwlecze, to nie uciecze.

*Mama.* Zapewne, że go będzie potrzeba potem posłać chociaż na jeden rok do Paryża.

*Kubus.* Powiedziałem mamie, że trzy lata zabawię w Paryżu.

— A na cóż ci się, kochany Kubciu, dwa lata w Warszawie przecierać, jeżeli w Paryżu trzy lata bawisz zamierzasz; toćże w Paryżu możesz się nietylko przetrzeć, ale i przenicować.

*Mama.* Młodemu potrzeba świat poznać.

— Zapewne, o ile młody zdolnym jest poznawać świat na drodze duchowego sądu.

*Mama.* Ja się spodziewam, że mój Kubuś tylko po dobrej drodze postępować będzie...

— Czémżeż panie pozwoli sobie służyć?... Pani niegdyś lody lubiła, a tu w Warszawie mamy sławne lody u Lessla.

— Prześlicznie dziękujemy, kochany panie Augustcie, ale dzisiaj tylko na chwilę wstąpiliśmy do państwa, bo trzeba nam jeszcze być u wujenki i za to jutro, jak Paulinka powróci, nagrodzimy sobie dłuższą u państwa bytnością.

— Do którego hotelu zajęchały panie?

— Naprzeciw mennicy.

— Jutro rano złożę paniom moje uszanowanie i zapewne już doniosę pani o powrocie żony mojej.

— Ciekawam, czy się też Paulinka nie zmieniła?

— *Przetarła* się nieco, świeżość liców, ale w duszy i w sercu zawsze ta sama.

— Panie Augustcie, tak często powtarzasz moje wyrażenie, że się boję, abyś o mnie nie napisał Ramotki?...

— Kiedy to Kubuś ma się przecierać a nie pani.

Chmurno się na mnie spojrział pan Kubuś,

a mama kilka mi znów powiedziała grzeczności; i parafiańskim zwyczajem sprowadziłem mamę i córeczkę aż do drzwiczek karety, do której i Kubuś z ufryzowaną głową, w lakierowanych bucikach wsunął się zgrabnie.

— Piękną ty pójdziesz drogą, młodziutki Kubusiu, przetrzesz się z pewnością! — pomyślałem za odjeżdżającymi na Nowy Świat, i powróciłem dokończyć ciekawej gazety niemieckiej. W ośm godzin później przybyło do mnie kilka osób, prosząc, abym zmienił pomieszkanie, żona co dopiero powróciła ze wsi było nam nad wszelki wyraz przykro rozłączać się tak nagle, — ale trudno odmówić, kiedy prosili, i nazajutrz nie miałem już sposobności pośpieszyć z uszanowaniem do hotelu Krakowskiego, do dawniej znajomej, do Tekluni i do Kubusia, a byłem ciekawy jeszcze bliżej rozpoznać pierwsze kroki rozpoczynającego przecierać się młodzieniaszka.

## II.

Dwadzieścia i sześć miesięcy to wiek cały, kiedy pozostawieni jesteśmy samemu sobie, bez rodziny, bez przyjaciół, bez znajomych, bez zewnętrznych wrażeń, a co najdotkliwszém, bez żadnej pracy, bez żadnego zatrudnienia, z jedną



i ciągle z jedną myślą! Nieco później obszernie o tém—teraz znów o Kubusiu.

Było to piątego grudnia roku 1817 po ukrzyżowaniu Chrystusa a 1850 podług kalendarza rzymsko-katolickiego, a działo się w Warszawie nad rzeką Wisłą w domu pod Nrem 476 lit. d. przy ulicy Nowo-Senatorskiej, na drugim piętrze, w pokoju Exredakcyi Dzwonu literackiego. Pałac sygaro, czytałem Kuryera warszawskiego, gdy uszu moich z przedpokoju doszedł śmiały głos mężki i równocześnie jak bomba wpadł do mojego pokoju kolega z szkół, kolega z wojska, kolega z oraczki, kolega z literatury i kolega myśłą, sercem i duszą.

Jak my się poczeli ściskać i z dubeltówki całować, tak ni końca, ni miary, aż mi policzki narzmiały, a oczy zawilgły i w piersi tchu zabrakło.

— A kiedyś przyjechał? a cóże? a jakże? a czemu? a dla czego?

Któż nie zna tego napływu pytań po dwuletniem przeszło niewidzeniu się szczerych przyjaciół! Zwolna od naszych osobistości chrześcijańskim zwyczajem przeszliśmy do bliźnich i znajomych naszych.

— Powiedz mi, cóż porabiają Paczyńscy?

— Zdrowi, jegomość codziennie gra w wi-

sta, jejmość coraz to nowe francuzkie romanse czytuje.

— A Kajetan?

— Zdrów i zawsze pracuje w swoim pocziwym zawodzie.

— Ale ale, powiedz mi, cóż się stało z Kubusiem, który się miał przecierać w Warszawie?

— Przecierających się Kubusiów mamy obecnie kilkunastu.

— Kilkunastu, to bardzo mało, chyba się mylisz; ja się pytam o Kubusia Malsztyńskiego?

— Kubus Malsztyński! żyje i już przeszedł wszystkie koleje swoich poprzedników, a nawet nowe odsłonił przykłady dla swoich następców. Smutna powiastka, ale ci ją opowiem z autentyczną dokładnością, abyś ją opisał i wydrukował.

Po odjeździe matki usamowolniony Kubcio przeprowadził się do hotelu Rzymskiego i zajął trzy pokoje na pierwszym piętrze; pomimo, że miał sukienki bardzo przyzwoite, kazał sobie zrobić u najmodniejszego krawca, a więc najdroższego, sześć garniturów wizytowych, sześć garniturów balowych, sześć garniturów negliżowych i za te 18 garniturów zapłacił 9000 złotych polskich; perski zaś szlafrok z chińskiem obuwem i turecką, złotem dzianą czapeczką, troszeczkę tylko przechodzone, kupił za beżcen od potrze-

bującego gotówki Alfonsa, za... 120 dukatów. Koszul białych batystowych kupił 2 tuziny, sztuka po złpol. 150, kolorowych także 2 tuziny, sztuka po 12 rub. sr. Za almawiwę złoto brązowego koloru, podszytą aksamitem szafirowym, zapłacił złpol. 800, za płaszcz podbity elkami 3,500 złpol., za kapelusze, lakierowane obuwia, fulary, zegarek, lornetki, i sześćdziesiąt drobiazgów na stolik toaletowy, zapłacił złpol. 3,700; za 3 tuziny rękawiczek, 2 dywany i sześć pudełek cygar w najlepszym gatunku zapłacił 1,000 złpol. Za przesłiczny pugilaresik z perłowej macicy i za bilety wizytowe zapłacił 400 złpol., za liberyą stangreta i lokaja zapłacił 1,200 złpol., koczyk aksamitem wybity i dwa kare wałachy kupił na *credit*, dając weksel na 1,500 r. sr., czyli przed upływem dni 14 na pierwsze, jak nazwał uporządkowanie się, wydał gotówką 26,520 złp. i pierwszy weksel na 1,500 r. sr. podpisał.

Ale, ale! byłbym jeszcze zapomniał; przy tém pierwszym uporządkowaniu się, kupił także bilet przedpłatny na poezye za złpol. 8 i kupił Rozmowy francuzkie pani Coquon za złpol. 12.

Tak uporządkowany, *comme de raison* z głową ufryzowaną 15-go października pierwsze rozpoczął wizyty.

Tydzień cały od 12-ój z południa do 7-mój

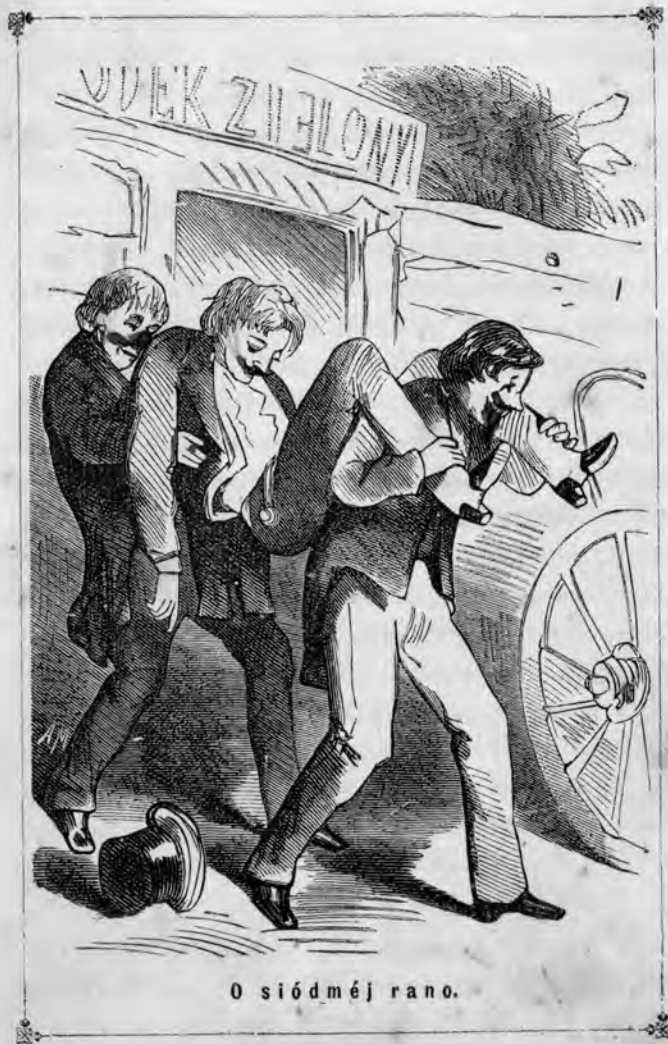
wieczorem jeździł z wizytami i jego koczyk mógł widzieć na każdej ulicy 12 razy codziennie; a jeździł ostro, pełnym klusem, potrafił więc i obalił kilku pieszych ludzi, skarambulował się z kilku dorożkami i już go Warszawa poznawać zaczęła pod nazwiskiem *blondynek w aksamitnym koczyku*. Niebawem dowiedzieli się lichwiarze, że pan Malsztyński za dojściem do pełnoletności, to jest po upływie pięciu miesięcy, obejmie z ojcowskiego spadku dwie wioski bez długu wartości 350,000 złpol., że jego matka swego majątku posagowego posiada około 400,000 złpol., i że nadto stryj jego bezdzielny, pozostawił mu dobra wartości 180,000 złpol., ale dożywociem swęj żony obciążone, sprawiedliwie więc obliczyli panicza na 730,000 złpol.

Co za ponętny widok dla lichwiarzy i oszustów!

Ocenili oni ten widok z wzorową dokładnością, a mianowicie téż lichwiarz Dwunoski, który, uprzedzając swoich rywali, bez pośredników, bez kluczek i haczyków, 1 grudnia 1848 roku wprost panicza w hotelu odwiedził i ofiarował mu się na usługi w każdej potrzebie. Kubuś serdecznie uściśnął dłoń przyjaciela i mając już tylko maleńkie resztki pozostawionych mu przez matkę 30,000 złpol., do czynu nie leniwy, tegoż

samego dnia pożyczył u Dwunoskiego 6,000 rsr., pisząc weksel na 8,000 rs. z prawnym procentem  $\frac{5}{100}$ , płatny za trzy miesiące.

Widząc Kubcio, że w Warszawie o pieniądze nie trudno, zamierzył użyć w ich dzień świętej Barbary, 4 grudnia, lotnie, siarczysto, huczno i wkupując się niejako do koleżeństwa, dał balik w niebieskim ogródku dla sześciu znajomój młodzieży i dla tyluż dam, znanych z uprzejmości i poświęcenia się. Podczas zabawy przybyło jeszcze kilku młodzieży, jeszcze kilka dam, po północy jeszcze kilka osób, tak, że w końcu wesołe grono liczyło raczonych i raczących się dwudziestu pięciu. Illuminacya, wieczerza, wino, podarunki dla bogiń, toast z trzewiczka prima donny, który to trzewiczek po ukończeniu kolei napełnionym został dukatami, na dodatek 2,000 przegranych pecyków w djabelka, a z 6,000 rubli od Dwunoskiego pozostało tylko 120 złpol. dla miejscowej służby, która *jaśnie pana*, silnie pijanego, o siódmém rano do aksamitnego odnosiła koczycyka. Nazajutrz o 4-tém z południa Dwunoski wyliczył 8,000 rs. anglizowaném złotem, i odebrał weksel na 12,000 rubli z procentem po  $\frac{5}{100}$  płatny za 2 miesiące. Temi ośmiu tysiącami rubli, co na nasze złotówki czyni 53,333 złpol. 20 grpol., bronił się Kubcio aż do 5 lutego, pomi-



O siódmém rano.

mo że dla Eweliny (prima donny z baliku) najął i cudnie umeblował całe pierwsze piętro na Krakowskim Przedmieściu i kupił jej biały szal za 6,000 złp., do owego terminu wypłaty weksłu na 12,000 rs. z procentem prawnym po  $\frac{5}{100}$ . Dwunoski stawiał się już o ósmój rano; ale przyznać należy, że pan Dwunoski okazał się człowiekiem cywilizacji XIX stulecia; bo nie tylko, że nie nalegał o wypłatę, ale upił się winem szampańskim z swoim dłużnikiem, uściskał go, ucałował i bez rewersu dał Kubciowi 200 dukatów złotem, upominając po przyjacielsku, aby Kubcio był oszczędniejszym, i biorąc od niego słowo honoru, że od nikogo pieniędzy nie będzie pożyczął.

Tymczasem zbliżył się 20 marca, dzień pełnoletności Kubcia. Przez cały dzień Dwunoski hojnie podejmował swojego dłużnika: bawił, poił, pochlebiał, ściskał, całował, i nazajutrz dopiero przystąpił do ogólnego obrachunku. Należało się:

- 12,000 rubli z weksłu drugiego,
- 600 rubli bez rewersu,
- 1,000 rubli prawne procenta i wynagrodzenie za uchybienie terminu,
- 1,000 rubli za parę gniadych koni,
- 4,000 rubli gotówką,
- 3,400 rubli procentu do wełnianego jarmarku t. j. do 24 czerwca 1849,

Razem na 30,000 rubli obliczono przed rejentem,



bo Dwunoski dalszego kredytu odmówił, tę arcy-szlachetną niosąc bankrutowi pociechę: „Słuchaj, Kubciu! ty jesteś smutny! za czém?.... za tymi chłopami w kożuchach, za wioskami, w których błoto pod kolana? Pfe! wstydz się—nie bądź dzieckiem. Zresztą chociaż straciłeś majątek, ale masz we mnie przyjaciela: kupię ci dzisiaj u Heurteux-go obiad i dam ci bilet na parter, śliczna sztuka! Ancia z czarnemi oczyma będzie dzisiaj solo tańczyć.“ Kubcio, wdzięczny za ofiarowaną przyjaźń, za obiad i za bilet parterowy, uściśnął rękę *przyjaciela* i poszepnął mu na ucho: „pożycz mi jeszcze rubla—na tytuł!“ Dwunoski wyjął z kieszeni ½ rubla i po raz ostatni Kubusia pożyczką uszczęśliwił.

Gdybym był wzorowym powieściopisarzem a nie piszczykiem Ramot i Pokrzyw, podsunąłbym do ust opowiadającego kilka ustępów romansowych z życia Kubusia, a mianowicie też opisałbym jego przemyśl po utracie majątku, bo słusznie przemyśłem nazywać mogę zaręczyny Kubusia z numerową hotelu..., która rozmaity drogą uzbierała sobie 7,000 złp. Kto wie, ażali te 7,000 złp., na pewnikową grę użyte, nie postawią znowu Kubusia na stopie odpowiedniej jego — młodości i nauce!...

## O DOROBKOWICZACH.

ethnomor

500

~~O DOROBKOWICZACH.~~

+

Dorobkowiczami nazywamy ludzi, którzy z biédnego położenia przez pracę lub różnorodne zabiegi przyszli do stanu zamożności. O tych to ludziach arystokracja mówi z najjawniejszym lekceważeniem, z urąganiem i pogardą. Z arystokracją powtarza różne przeciw dorobkowiczom pamflety i klasa średnia, a z klasą średnią owczym pędem i klasa niższa językami swemi dorobkowiczów nicują. Winni temu nierzadko i sami dorobkowicze przez niezgrabne a śmieszne małpowanie arystokracji; lecz zdarza się téż dosyć często, że dorobkowicz zachowuje się w zapracowaném szczęściu swójem jak najprzywzoicićj, nie ciśnie się do arystokracji; używa swój zamożności skromnie, i dla kraju i ludzkości pożytecznie; pomimo tego nie uniknie urągania, lekceważenia, obmowy lub nawet mściwój nienawiści.

Ogólna przyczyna wstrętu, którym arysto-

3+ [mufa] Ckz.

kracya dorobkowicza obarcza, spoczywa w tej myśli: „Przez swój majątek do nas się wciśnie, uczyni to bez opowiedzy, bez zezwolenia naszego; tém koleżeństwem posmoli kastę naszą, a jego dzieci może nawet zabiorą honorowe lub zyskowne miejsce dzieciom naszym; że téż to nie ma prawa, ograniczającego wzrost dorobkowiczów.“ Klasa średnia ujada przeciw dorobkowiczom przez zazdrość; klasa niższa przez głupotę. To są ogólne, odrębnie moje spostrzeżenia.

Dla czego zaś ludzie poświęcający się piśmiennictwu, roszczący sobie prawo do dyplomu na świeczników społeczeństwa ludzkiego, tak u nas często ciskają wyrazy szyderstwa i obelgi przeciw dorobkowiczom? radbym się objaśnić. Jest-że to poziomość pojęć, albo brak zastanowienia się, brak badania, brak rozumu?... Któraż rodzina wylazła z arki Noego z dostojenstwami, z herbami, bogactwami?... Gdzież ten kodeks, w którym jest oznaczony przeciąg czasu dostateczny na starcie mniemanej plamy dorobkowiczów?... Gdzież jest w religii lub filozofii pogarda dla dorobkowiczów?...

Mojém zdaniem należy dorobkowiczów dzielić na dwie klasy: na klasę, która przez oszustwo lub zdzierstwo zyskała majątek, i na klasę, która przez sprawiedliwą pracę, przez uczciwy prze-

3 = (mfn) Chak.

mysł przyszła do zamożności; pierwszą klasą pogardzajmy jako oszustami a nie jako dorobkowiczami; drugą klasę szanujmy i na wzór dzieciom naszym wystawiajmy. Dorobkowicz ze sprawiedliwej pracy, z uczciwego przemysłu, to czcigodny, pożyteczny obywatel kraju. Spadkobierca zaś bogactwa, który trwoni krajowy majątek po hotelach, teatrach i salonach zagranicznych, który krwawy pot pocziwego ludu stawia na karty gier hazardowych, lub rozrzuca nierządnicom, nabywaniem zbytkowych towarów z francuzkich, niemieckich lub angielskich rękodzielni ubogi nasz kraj uboży; to truteń pomiędzy pszczołami, to rak, toczący materyalną, a więc i polityczną pomysłność swojego narodu, to wrzód społeczeństwa, bez względu czy jest lub nie jest merynosem, elektem, karmazynem, vollblutem, dziedzicem zbytkowego, marnotrawnego życia.

Poczciwi dorobkowicze! Chirurg filozofii publiczną oddaje wam cześć; na gadaninę bezrozumnej tłuszczy nie zważajcie, pomnąc, że większa część rodu człeczego na to tylko gębie jeść daje, aby gadała. A wy, koledzy-literaci! ocknijcie się z nierozważnego a i w najnowszych czasach ciągle powtarzanego błędu bezwarunkowej napaści na dorobkowiczów, przez którą to nieogłędna napaść mimowiednie zaprzeczacie prawdziwości

4 = (mfn) Chak.

czystych zasad waszych w jednym a témże samém dziele objawianych. Pomnijcie! że i wy jesteście dorobkowiczami sławy i publicznego szacunku, dorobkowiczami w sumienném spełnianiu pięknego a najzaszczytniejszego powołania, dorobkowiczami cnoty i poświęcania się!

*2. (wzrost) nie rozumiesz (kiedy)*

JULIANA BYCZYKOWSKIEGO

PRZEDŚLUBNE PRZYGODY

JULIANA BYCZYKOWSKIEGO,

MŁODZIEŃCA PEŁNEGO NADZIEI BOGATEGO OŻENKU.



*Tajęszewicz*

PRZEDŚLUBNE PRZYGODY

## JULIANA BYCZYKOWSKIEGO,

MŁODZIENCA PEŁNEGO NADZIEI BOGATEGO OŻENKU,

*Komedia w Ramotece uwięziona,*

*dla powszechnego użytku co do słowa wiernie spisana*

przez

Au. Wi. chi. fil. k. k. n.

Bardzo szczupłą jest u nas liczba takich obywateli wiejskich, którzy naukowo znamieniem ukształceniem swoich dzieci na powszechną wdzięczność zasługują. Majątek i specyjalna nauka żyją u nas w otwartej i największej nieprzyjaźni. Po za szkołami gimnazyalnemi, które opuszczają zwykle bez ostatniego egzaminu, (bo po cóż dla majątnego chłopca egzamin?) dla tak nazwanych synów obywatelskich lotna, mówię wyraźnie lotna — podróż do krajów niemieckich, do Włoch i do Paryża jest uzupełnieniem nauko-

*2 + Cz. 1.*

wém, a jeżeli który prócz zwiedzenia teatrów, prócz powierzchownego oglądania osobliwości, był<sup>1</sup> jeszcze przez rok jeden zapisany na prelekye jakiego filozofa, rodzic, krewieństwo i całe sąsiedztwo, dobrze, że nie kraj cały + uważa takiego młodzieńca za istotę najzupełniej ukończonych nauk, i taka téż istota za powrotem do kraju dmie wszystkim pod nos w sposób najnieznośniejszy, a dla salonów staje się ozdobą i bożyszczem kobiet; dla kraju jest niemal zawsze bezużyteczną, a przy chęci wyniesienia się nader szkodliwą *kreaturą*.

Właściciele dóbr ziemskich mniejszego pomiaru inaczej znowu dzieci swoje kierują. Jeżeli synal nie jest przeznaczonym na urzędnika, w takim razie z małemi wyjątkami odbiera się co najwyżej z klasy 6-jej, zawozi się na wieś i posyła się na wszystkie tańczące zabawy z napomnieniem, aby sobie bogatą — koniecznie bogatą — ustrzelił panienkę, gdyż o ubogiej ani ojciec, ani matka słyszeć nie chcą. <sup>1)</sup> Tego rzędu młodzień gdybyś chciał zobaczyć w świetnych ze-

<sup>1)</sup> O ile w dziedzinie moralności szpetną jest rzeczą ubiegać się za majątkiem przy zawieraniu najdroższych serca stosunków osobną napisałem rozprawę i ogłosię ją drukiem w osobnym zbiorze: „O sprośnościach serca ludzkiego.”

*J. Chł.*

braniach, bądź na jarmarku w Łęcznie, w Łowiczu, w Skaryszewie, we Włodawie, w Jędrzejowie i w Ciechanowcu. Panie dobrodzieju! to las dębiastych, wąsiastych, rumianych chłopaków szlacheckich; aż się serce śmieje na widok zdrowia i fizycznej dzielności! Tylko przez miłosierdzie Bożkie nie kompromituj jarmarczno-obywatelstwa niedorzeczném zapytaniem o stanie literatury krajowej, ani téż nie bądź głupim nad głupimi i nie żądaj od żadnego z nich objaśnienia w jakiejkolwiek nauce specjalnej, boby na ciebie wytrzeszczono oczy jak na półgłówka i dziwneby o tobie rozeszły się wieści. Oto kropnij węgrzyna jedną i drugą lampę, umizgaj się do Niemek przy arfie skrzeczących, pociągnij lanca, załóż banczek, a będziesz chwata, będziesz swój pomiędzy swoimi. O tych jarmarkach, jeżeli Bóg nadal zdrowia użyczy, napisze się osobna Ramotka; obecnie zamierzylem opowiedzieć zalotne przygody pana Juliana Byczykowskiego i tak rzecz rozpoczynam.

Kleofas Byczykowski, dziedzic obszerniejszej ale najnędźniej zagospodarowanej wioski, miał pięciu synów; od lat kilku beczynnie w domu chował i dumał, aby swoje męzkie potomstwo bogato ożenić.

Żaden z młodych Byczykowskich nie był ka-

*J. Chł.*

leka, wszyscy zdrowo wychowani i do tego przystojni; lecz najwięcej obywatelskiej posiadał *prezencji* pan Julian, drugi z kolei, główna rodziców nadzieja i najmilsza matki pociecha, gdyż nie tylko że był bardzo urodny, ale nadto on jeden z braci swoich mówił po francuzku i umiał wiersze robić, ztąd nazywano go w sąsiedztwie salonowym młodzieńcem.

Ponieważ pan Julian jest bohaterem mojej Ramotki, poczuwam się przeto do obowiązku względem płci pięknej skreślić obraz pana Juliana. Wzrost więcej niż średni ale nie tyczkowy, w staniku wcięty, w barkach szeroki, nie otyły ale bynajmniej nie chudy, włos czarny, brwi i rzęsa gęste, oko pełne fizycznego życia, zęby zdrowe, usta świeże, czoło wysokie, wąs śmiały, nos odznaczający się regularnością rysunków; jedną tylko miał małą wadę, że mu uszy nieco za wiele odstawały od głowy, ale że nosił włosy długie, w loki starannie zawijane, więc też i nie bardzo było widać.

Wybiła godzina pierwsza z południa; dzień był pogodny i jasny a jednakże w pokojach oficyny, którą pięciu Byczykowskich zamieszkiwało, panowała nadzwyczajna ciemność, przez dym fajeczny, jak zwykle, najstaranniej utrzymywana. Na łózkach leżeli na wpół ubrani Ignacy i Zdzi-

ślaw, przed kominkiem siedział Mrcin i Adolf, a przy oknie, w zamyśleniu patrząc na koszlujące się wrony, stał Julian,

Zdzisław.

Jutro będzie ponowa niezawodna; puścimy psy na rządowe lasy, a my stanjemy od Zajadał rękę ci *słowem honoru*, że do sarn strzelać będziemy.

Ignacy.

Tylko żeby nam psów nie złapali.

Zdzisław.

Złapią, to wydadzą; ja na jarmarku zapraszając podłego na ponczyk, wielką z nim przyjaźń zawarłem.

Ignacy.

To wszystko byłoby dobrze, ale Grzmiłasa kuleje.

Zdzisław.

On już niebardzo napada; zresztą obejdzie się i bez Grzmiłasa, przecież są jeszcze dwa stare i trzy młode.

Ignacy.

Ja ci daję *słowo honoru*, że Grzmiłasa najlepszy.

Zdzisław.

Bo nie słyszałeś młodych; jak wczoraj zapu-  
ściłem w Zamojskiego knieję, *słowo honoru* grały  
jak na organkach.

Ignacy.

Djabli nadali tę delegacyą, żem wczoraj nie  
mógł polować.

Marcin do Adolfa (przy kominku).

Wystaw sobie, przez trzy talie ani jednej  
karty nie mogliśmy mu trafić!

Adolf.

To wam pewnie lisa ułożył.

Marcin.

Ale gdzie tam! ja sam mięszałem mu karty;  
tylko już miał takie szalone szczęście.

Adolf.

I ty zgrałeś się do grosza.

Marcin.

Naturalnie że do grosza, przecież już w szto-  
sa byłem przegrany.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie pana  
Kleofasa, ojca młodzieńców, wraz z żydem Elia-  
szem Boruch, kupcem z pobliskiego miasteczka.  
Pośpieszyli synowie do pocałowania ręki ukocha-

nego rodzica, przy czém na Eliasza Borucha cier-  
pki rzucili spojrzenie.

Kleofas (Ojciec).

Pięć godzin snu używać, najzdrowiej każdemu,  
Tak wieku podeszłego, jako też młodemu,  
Sześć godzin ten, co kupczy, niech sobie spoczywa,  
Siedm godzin niech bogacz wygody używa,  
Ośm godzin niechaj śpi niedbały,  
Ospaluch, gnuśny, piecuch niechaj śpi dzień cały.

Widzę, że do ostatniej kategorii należeć chce-  
cie; godzina pierwsza a wy się jeszcze wczasuje-  
cie; przecież stare niesie przysłowie:

„Kto rano wstaje,  
Temu Pan Bóg daje.“

Julian.

Kochany papo! ja już od godziny siódmój  
czytałem.

Kleofas.

Ty bo też zawsze tylko z temi książkami  
masz do czynienia. Ale jest tu inna materya! —  
pan Boruch przyjechał i podał mi wasze rewer-  
sa, pomiędzy którymi twoich najwięcej, bo na  
4,000 złp. wynoszą. Cóż, czyście powaryowali?  
Czy sądzicie, że ja studnią z pieniędzmi mam



w domu, albo w kuźni złoto i srebro fabrykuję? Zapłaciłem na \$ Jan za was pięciu przeszło 7,000 złp. Sprawilem dla twoich ludzi nową liberyą, jak już sam chciałeś; kupilem i koczyk i dywany i dałem ci 1,200 złp. na garderobę od Żygardłowicza w Warszawie, a tu jeszcze przynoszą mi wasze rewersa! Chyba chcecie, abym z matką na starość po zebranych chodził chlebie. A wacpan także, panie Boruch, dla czego do trzysta piorunów pożyczasz, kiedy wyraźnie powiedziałem, że ani grosza nie zapłacę.

Boruch.

Niech tylko jaśnie wielmożny pan żartów nie robi! Takich ślicznych mając paniców i zapłacić do roku kilkanaście tysięcy, czy to wielga rzecz! Jaśnie wielmożnemu panu w całej okolicy zazdroszczą takich zięci, jak się wszyscy będą ożenić i każdy do domu po kilka kroć sto tysięcy czy także pan będzie narzekał?

Kleofas. (uśmiewając się).

Jeszcze to za górami są te krocie a teraz płac i płac, chyba przyjdzie wioskę sprzedać i na bruku gdzie osiąść, czy wtenczas da mi pan Boruch sto złp. na życie?

Boruch.

Z przeproszeniem jaśnie pana, z pańskie dobr

Handwritten signature at the bottom left of the page.

mierzwe na podwórzu więcej warte jak moje cała chudoba!...

Kleofas.

Tak się to zdaje panu Boruchowi, ale w krytycznych czasach opłacać podatki i oficyalistów, dom i pięciu chłopców utrzymać, to nie żadne żarty; a przecież są jeszcze dwie córki, wprawdzie jedna bawi u ciotki; ale i dla niej nie obejdzie się bez jakiego sprawunku; od młodziej zaś trzeba płacić na pensyi w Warszawie, a Pan Boruch wie, że w Warszawie to wszystko drogo kosztuje.

Boruch.

Z łaski pana Boga pszenice téż tego roku u jaśnie wielmożnego pana niezgorsze.

Kleofas.

Przebierze się i pszenicy; a toć że już pan Boruch 300 korcy zapłacił.

Boruch.

Nic nie szkodzi, ja i resztę będę zapłacił.

Kleofas.

Jeżeli za gotówkę to i owszem.

Boruch.

Ja dałem pańskim synom gotówkę.

Handwritten signature at the bottom right of the page.

Kleofas.

To asan od nich odbierz gotówką i mnie gotówką zapłać.

Boruch.

Ny! niech młodzi panowie zapłacą.

Pan Kleofas, dalszych rozpraw unikając, natulił futrzanej czapeczki na głowę, z oficyny wyszedł, wsiadł na koń i pojechał na pobliską granicę Prus, z kądem mu 20 kuf okowity *przeszwarcować* miano.

Boruch.

Ny! panicowie, co to będzie?...

Marcin.

To będzie, że Boruch pożyczycy mi dzisiaj złotych dwieście.

Boruch.

Gikste! żeby Boruch po lesie rozbijał, jeszczeby nie nastarczył dla panów Byczykowskich. *(Siada na kanapce i poprawia krymki na głowie).* Ny! panie Julianie! gdzie się podziało słowo honoru?... już dawno święty Michał przejechał; z łaski Boże już i wszyscy święci przejechali, i święty Marcin na swojego koniu przejechał... ny?... mnie trzeba dzisiejszego dnia koniecznie tego długu oddać, bo ja tego pie-

Легенца / Ч. С. С.

niędzy pożyczyl od siostry mojego szwagra, która będzie na przyszły tydzień zrobić wesele swojej najmłodszej córki. Pan Adolf się szmieje, to bardzo nieładnie do żydowskiej ziewczyzny umizgać się.

Marcin.

Mój Boruchu, myśmy myśleli, że się nasz brat z Esterką ożeni, bo tak ładne oczy do siebie robili.

Boruch.

Już teraz nie będą robić, bo ona idzie za mąż za syna naszego rabina do Pinczowa.

Zdzisław.

To dla Adolfa będzie trochę za daleko odwiedzać panią rabinową.

Boruch.

Ny! niech panowie takiego głupich żartów nie robią, lepiej skończyć swoich ze mną interesów, bo ja sprawiedliwie bardzo pilno potrzebuję mieć moich pieniądze i ani jednego dzień dłużej czekać nie mogę! ja pszecie nie z samemi panów Byczykowskich handluje.

Marcin *(patrzac przez okno na dziedziniec).*

Ignasiu! idzie posłaniec z listem, to zapewne od Bolesia.

З (уфн) / Ч. С. С.

Ignacy.

Nie, to jest posłaniec do państwa Radkowskich, proszą nas na niedzielę.

Marcin.

Załóż się, że od Bolesia.

Ignacy.

Załóż się, że to Radkowsy proszą nas na obiad.

Gdy Marcin z Ignacym robili zakład, Julian najgrzeczniej Borucha do przyległego poprosił pokoiku i bardzo długą miał z nim sam na sam rozmowę. Jaką zawarli ugode, jaki ze sobą zrobili *дорачunek*, ile Boruch przypożyzył jeszcze, ile Julian dopisał na rewersie i na kiedy nowy termin ustanowiono, o tém czytelników na teraz powiadomić nie mogę; to tylko wiem, że Boruch w największej zgodzie pożegnał się z braćmi Byczykowskimi i że pan Julian w godzinę po bytności Borucha, czworokonnym kocykiem na kilka tygodni z domu wyjechał.

II.

W jednym z odległych od Warszawy powiatów żył na małej dzierżawie poczciwy szlachcic, Stanisław Paleciński, i miał córeczkę Celinę,

jedyną jego na ziemi pociechę, śliczności dziewczątko. To wszystko, co może powierzchowność kobiety piękną uczynić, połączyło się w ośmnastoletniej Celinie: cała wiotka i wmiare wysoka postać tchnęła tym niewysłowionym wyrazem, który serca nasze w nagły, czarujący sposób ęci i do nieodgadnionej i niezmiennej życzliwości i opieki nakłania; płeć biała przezrocza, przez którą modre żyłki szybko krążącej krwi widnemi były, i cudownie utoczona drobna rączka, od puchu delikatniejsza, do całunków stworzona, z podłużnemi paznokietkami, po których zdawało się, że malarz artysta naumyślnie różowo-białe porozrzuczał plamki; nóżka wązka i lekka; barki śnieżne; — szyja łabędzia; najzdrowsze z słońiowej kości zębki; usteczka świeże, w których anielska słodycz wieczne obrała mieszkanie; nosek grecki, czoło jasne i pogodne, w bogatych warkoczach włos gładki i wilgotny. Lecz wszystko na raz niktęło przed jednem ócz spojrzeniem. Oczy Celiny były na wskróś przenikającą cudowną tój czarującą piękności, która jest po za orzeczeniem mowynaszej. A miała Celinka jeszcze jeden wdzięk nieporównany, głos bezpośrednio z nieba uroniony, głos anielskiej lubości, głos, co każdą zgłoską krępował twoje serce, głos, który pragnąłbys słyszyć

*J. (na) / Celinie*

przez wszystkie dni twojego żywota. A rozumek Celinki! aj! aj! — nauczne, mądre, łagodne, przenikliwe, odgadujące, dowcipne, litościwe, jednym słowem: Cesia doskonałość!... i gdybyś przez całą wieczność twój mózg i twoją estetykę suszył i mordował, żadnej wady w Celinie znaleźć nie mogłeś. Celinka była urzeczywistnieniem ideału, przez najpolotniejszy jeniusz stworzonego. A jednakże nikt się o rączkę Celinki nie starał, bo pan Stanisław żadnego z Celiną nie mógł dać posagu.

Pewnego razu przyjeżdża do pana Palecińskiego zacny ksiądz proboszcz i przywozi niemiecką gazetę, w której było zamieszczonem, że w Gdańsku umarł bezpotomnie Norbert Paleciński, zostawiając w gotowości 40,000 czerwonych złotych i różne kosztowności. A że pan Stanisław miał rodzzonego braciszka, któremu było na imię Norbert i który właśnie trudnił się handlem drzewa do Gdańska a żył zaś w kawalerskim stanie, więc tedy pan Stanisław nie wątpił, że należy mu łzę nad śmiercią Norberta uronić a następnie z rodowodem, przez właściwe władze zaświadczonym, do bałtyckiego grodu wyjechać. I tak się też stało, pan Stanisław popłakał nad śmiercią brata Norberta, wyjął potrzebne metryki urodzenia, wynalazł świadków,

L + C. B. K.

którzy zaprzysięgli, że Józef Barnaba Paleta Paleciński, małej Palety trzynastej części dziedzie, dwóch tylko miał synów, Norberta i Stanisława; uzyskał od pruskiego Konsula poświadczenie co do tożsamości sądowych podpisów, wyjechał taradajką, we dwa koniki zaprzężonych, bawił w Gdańsku kilka tygodni, i jakoś przy końcu miesiąca października przywiózł przeszło 700,000 złp. w listach zastawnych z kuponami ubiegłej raty czerwcowej.

### III.

Julian Byczykowski, w tajemnicy przed braćmi przez Borucha o bardzo bogatej panie Palecińskiej zawiadomiony, wraz z Boruchem zjechał do miasteczka Kalwaryi i stanął w zajezdym domu Lejby i tamże Byczykowski, Boruch i Lejba, wskutek kilkogodzinnej narady, zrobili dobrowolną, rozmyślną, w trzech exemplarzach spisana, treści następującej, ugodę.

Lejba obiecał, jako w tej okolicy znajomy, ułatwić przystęp Byczykowskiego w dom pana Palecińskiego, a następnie dobre wieści o wzorowym gospodarstwie i o miłości pana Byczykowskiego do panny Celiny zawozić i utrzymywać; Boruch przyrzekł pożyczyć tyle pieniędzy, ile

L + C. B. K.



pan Byczykowski potrzebować będzie na konkurencją; pan Byczykowski zaś zobowiązał się ~~pod słowem honoru i uczciwości~~, że w pierwszy tydzień po ślubie zwróci pożyczone u Borucha pieniądze wraz z procentem po 8 od sta na miesiąc, nadto tytułem wdzięczności wypłaci Boruchowi i Lejbie po 500 dukatów w złocie. Przyjęto i podpisano dnia 20 listopada 1844 r.

Dzień był pośepny, na dworze wietrzno i mroźno, śnieg chciał padać a nie mógł; Paleciński siedział przy biurku i odpisywał na listy sąsiadów, o pożyczkę pieniędzy proszących; Celina odebrane z Królewca towary na polski łokieć przemierzała po raz drugi i ze sprowadzoną z miasta Suwałk szwaczką właśnie walną miała naradę, czy rękawki mają być marszczone czy gładkie, kiedy przed dworzec zajechał najbliższy sąsiad a dawny pana Stanisława broni towarzysz pan Gawęcki, wraz z tym samym księdzem proboszczem, co to pierwszy przywiózł był gazetę niemiecką, o śmierci śp. Norberta donoszącą.

Pan Stanisław na widok dobrych przyjaciół pisanie na czas późniejszy odłożył; Celinka, namarszczone rękawki przystając, odprawiła pannę

24 / mpa / CBZK

szwaczkę na drugą stronę dworca, i nastąpiło z obu stron szczerze i radosne przywitanie.

Gawęcki.

A wiesz też, kochany sąsiedzie, co nas dzisiaj z księdzem proboszczem do twojego domu sprowadza?

Paleciński.

Dobre serce i stara przyjaźń.

Gawęcki.

Pod względem ogólnym r e c z wiadoma; ale zgadnij szczegół.

Paleciński.

Przecież do mojej Celinki nie przyjechałeś w zaloty?

Gawęcki.

Nie panie bracie, już nie dla mnie kwitna róże a jeszcze tak piękne, jak twoja Celinka; dosyć dla mnie zaszczytu, że jestem jej ojcem chrzestnym.

Proboszcz.

Jednakże pan Stanisław zgadł cokolwiek, albowiem przyjechalibyśmy w interesie panny Celiny.

24 / mpa / CBZK

*Celina* (mocno zarumieniona).

W moim interesie?...

Gawęcki.

Uprzedzasz, książe proboszczu! oto przyjechalibyśmy ułożyć komedię, w której nasza Celinka ważną ma odgrywać rolę...

Paleciński.

Celinka ma grać komedią? na jakim-że to teatrze?...

Proboszcz.

Panie dobrodzieju, świat cały jest teatrem; ale tym razem scena zawartą będzie w domu rodzicielskim pana Stanisława Palecińskiego w Jasnym Dębnie.

Paleciński.

Nie rozumiem ani słowa. Celinko, każ-no przynieść butelkę wina; może przy kieliszku będą panowie zrozumiałej mówili.

Gawęcki.

Poczekajmy na butelkę, bo niezawodna rzecz, że przy winie *relacja* jest wyraźniejszą.

Celinka, spełniwszy rozkaz ojca, niebawem powróciła do pokoju; przyniesiono butelkę wina; pan Gawęcki, odwilżywszy usta tak rzecz rozpoczął.

[- (едену за) / CPN

— Wiadomo ci, kolego, że jestem w handlowych stosunkach z Lejbą Nestlem, co to ma dom zajezdny w Kalwaryi; owóż tedy tenże sam Lejba przyjechał do mnie dzisiaj rano i, uczyniwszy ze mną obrachunek, zażądał wypłaty, dodając, że gdybym mu chciał być w pewnym interesie pomocnym, nie tylko będzie cierpliwym aż do Ś. Jana, ale nadto wystara mi się jeszcze na całoroczny kredyt o 300 owiec wysoko poprawnych, jak mu o tém na jarmarku w Łomży mówiłem. Pytam się, coby to był za interes, w którym mu mam być pomocnym, aż tu powiada mi żyd pod wielkim sekretem, że jego szwagier, jakiś Boruch z Międzyrzecza, wie o jakimieś paniczu, Julianie Byczykowskim, i że on Lejba wraz z Boruchem pragną, aby ten pan Byczykowski (mający być bardzo piękny i bardzo bogaty) ożenił się z córką twoją Celiną. Otóż tedy odgadując od razu, że wieść o wielkim majątku, jaki po bracie odziedziczyłeś, stała się przyczyną zamiarów pana Byczykowskiego, umyśliłem taką odegrać komedyjkę. Jutro przyjadę do was z tym kawalerem, przez żydów rekomendowanym; przyjmiesz go, panie Stanisławie, jak najgrzeczniej, ale mojego siostrzeńca Wacława, przebranego za pannę, przedstawimy mu jako twoją córkę, a Cesię będziemy nazywali sie-

2/2 (remise) / CPN

224  
rotą, córką po byłem oficerze. Jeżeli kawaler będzie smalił cholewki do Wacia, ubawiemy się i uśmiejemy serdecznie; gdyby zaś zwrócił affekt swój do sieroty, wywieździawszy się, co to za jeden ten pan Byczykowski, pomyślimy, co dalej uczynić.

Zdargał się pan Stanisław z początku; ale gdy Celinka poczęła tatkę w rączki całować, zamiar pana Gawęckiego przyjęty został i ułożono wszystkie szczegóły ostrożności domowej, aby się ani gość ani żydzi o przemianie osób nie dowiedzieli lub nie domyślili.

Nazajutrz rano przybył pan Waclaw, siostrzeniec Gawęckiego. Był to mocno ospowaty blondynek, szczupły, niski, ale pelen życia; mniej szczęśliwą zaś powierzchowność nagradzało wyższe, naukowe ukształcenie.

Do godziny drugiej z południa zeszło na przymierzaniu strojnniejszej sukni panny garderobiany, którą to suknię potrzeba było w ramionach i w staniku rozszerzyć, w spódnicy przydłużyć; na ubieraniu głowy w szynion i loki, z sąsiedztwa od pani Bryniewicz pożyczone; na przypinaniu wstążek, strój głowy, uzupełniających; na posyłce do Suwałk po trzewik i mitenki, i dopiero o tej Wacio ukończył swoje przebranie. Pan Paleciński, uśmiechając się, po-

225  
wtarzał: Nie dziwię się młodym, ale że mnie kapitan do tej prawdziwej komedyi namówił, uwierzyć nie mogę i nie wiem, jak ja tamtemu jakiemuś panu Byczykowskiemu w oczy zajrzyć patrafię, chyba to tego żartu zaniechać potrzeba.

— Tatko! tatko! — wołała z całego serca ucieszona Celinka, ze wszystkich córek na świecie będą najposłusznieszczą: racz tylko, tatko, nie psuć nam tak wyborniej komedyi. Wszakżeż to pierwszy raz od śmierci mamy, że będziemy mieli w domu tyle wesołą zabawę.

Temi wyrazy Celinka wszystkie skrupuły ojca rozbroiła, jakoż ostatecznie na odegranie komedyi zezwolił.

„Jadą! jadą!” zawołał Wacio przy oknie, i rzeczywiście niezadługo zajechali przededwór spodziewani goście, a w też chwilę pan Gawęcki wprowadził do pokoju bardzo przystojnego młodzieńca, znanego czytelnikom Juliana Byczykowskiego.

Przywitanie się sąsiadów; uprzejme zapytania, z których Byczykowskich pan Julian pochodzi, w której mieszka okolicy i t. p.; nawzajem oświadczenia pana Juliana, że wielce jest wdzięcznym nader miłej i szczęśliwej sposobności poznania tak godnych obywateli i t. d. i t. d.

(. (КОЛЪ) / про отмену? etc.

2. (guc) / etc.

trwały chwil kilka; a gdy pan Paleciński zwrócił mowę do pana Gawęckiego, pan Julian przysunął się do Wacia i z najstaranniejszym umiłowaniem zapytał.

— W tak odległej od Warszawy stronie pani zapewne w literaturze i w muzyce wielką znajdujesz rozrywkę?

— W muzyce bardzo mało gustuję i nawet niechętnie słyszę, gdy śpiewa panna Hortensya, którą mój ojciec wziął na opiekę, lub gdy gra na fortepianie, lecz i ja czasem zabrząkam; a co się tyczy literatury, nie znajduję w dzisiejszych utworach nic takiego, coby mnie zająć zdołało, dla tego czytam wyłącznie klasyków greckich i łacińskich; nadto poświęcam się matematyce, a obecnie zajmuje mnie rachunek całkoróżniczkowy (calculus integralis et differentialis) i miło mi, że się z panem poznaję, gdyż w naszym sąsiedztwie nikt mnie objaśnić nie potrafił, czyli potęgę pierwiastków.

— Przepraszam, że w tym przedmiocie objaśnić pani nie mogę, albowiem nigdy nie poświęcałem się matematyce.

To może mnie pan raczy objaśnić w pewnych wątpliwościach z nauk przyrodzonych, to jest, czy skład powietrza atmosferycznego jest wszędzie jednakowy? i dla czego cieplej

$z = \frac{1}{\rho g h}$  *W. M.*

w nocy jest na dworze, gdy niebo jest pochmurne?...

— Z zarumienieniem wyznać muszę, że nie zajmowałem się naukami przyrodzonymi.

+ To pan zapewne historykę?

+ Tak, z historyi więcej.

+ Raczeż mnie pan objaśnić, jakie są główne szczepy narodów wschodnich, które obecnie tak wysoką na siebie zwróciły uwagę wszystkich polityków naszych?

Historyi wschodnich narodów nie zgłębiałem badawczo; moja uwaga zwróconą zawsze była na ludy ucywilizowane, na literaturę piękną, i właśnie piękna literatura jest tym warsztatem, na którym kształcę mój umysł i duszę hartuję.

I któryż to oddział pięknej literatury obrałeś pan do hartowania swęj duszy?...

+ Jakto oddział?

— Przyznasz pan bezwątpienia, że piękna literatura ma kilka oddziałów.

+ O tak, ja obrałem oddział powieści i poezyi.

Na powieściach, jakkolwiek są dzisiaj w bardzo rozległych granicach, nie sądzę jednakże, aby można duszę zahartować; a co do poezyi,

$\frac{1}{\rho g h} = \frac{1}{\rho g h}$  *W. M.*



zapytam jeszcze, czy pan zamiłowałeś podmiotową czy przedmiotową?...

— E... e... i... ja obrałem sobie rodzaj poezji tkliwej, która do serca naszego najwięcej przemawia, która jest objawem uczuć naszych, a swoją już formą zachwyca i zniewala.

— Pan daleko ztąd mieszkasz?...

— Dwadzieścia mil przeszło...

— Często pan bywasz w Warszawie?...

— O! bardzo często.

— Pan jesteś zwolennikiem teatru?...

— O bardzo! bardzo!...

— Długo pan w naszych stronach zabawił?...

— Zamierzałem już jutro te strony opuścić, wszakżeż od chwili szczęścia poznania pani pragnę jak najdłużej pozostać...

— Jak widzę, pan jesteś improwizatorem, wyrzekł Wacjo z uprzejmością i umilkł niby to z dziewiczego uczucia; po chwili zaś zapytał:

— Czyli nie raczyłbyś pan należeć z nami do odegrania komedii?

— Komedii?... i owszem... jakiej komedii?...

— Oryginalnej, pomysłu pana Gawęckiego.

— Pan Gawęcki autorem?

Gawęcki.

A cóż pan sądzisz, że tylko w Mazowieckiem wszyscy autorowie zamieszkali?

Julian.

Bynajmniej tak nie sędzę.

Wacjo.

Więc pan przyrzekasz?...

Julian.

Poczytam się za szczęśliwego, jeśli mnie pani swoim rozkazem zaszczycić raczysz.

Wacjo.

A więc dobrze, panu oddamy rolę kochanka, a ja z Hortensyą będziemy grały rolę rywalek.

Julian.

Z wdzięcznością przyjmuję tę rolę *(po cichu)* z tą prośbą, że pani będziesz szczęśliwą rywalką.

Wacjo.

Hortensya już się téj roli nauczyła, dla mnie przypada rola nieszczęśliwej kochanki.

Julian *(po cichu)*.

Ale po za komedią od pani tylko zależy przyjąć rolę panny Hortensyi.

Wacjo.

Po za komedią role nasze z większą obieramy rozważa.

Julian.

Przebacz, pani, wyrazom prośby nagłego wrażenia; wrażenia któremu nie zawsze umiemy panować, co jednakże zdarza się tam tylko, gdzie do popełnienia błędu tyle się nie zwykłych przyczyn połączy.

Wacjo.

Pana tłumaczenie jest tak pochlebne, że niszczy wszelką urażę.

Julian.

Oby w najrychlejszej przyszłości i zyczliwość zbudzić było zdolne.

Wacjo, udając przyjemnie pomieszanie, usiadł do fortepianu i zagrał *sztajera*<sup>1)</sup> którego się przez trzy lata podczas swojego w Niemczech pobytu nasłuchiwał do woli.

<sup>1)</sup> Jestto bardzo powolny walec na 3 tempa, po wszystkich knajpach niemieckich przez niższego rzędu rzemieślników z największym upodobaniem tańczony, i jak Szwajcar na obecnej ziemi usycha za powietrzem swoich gór rodzinnych, tak Niemiec na chlebowej wędrowce tęskni za *sztajerem*, który mu wszystkie chwile młodzieńczego szczęścia do tkliwej przywodzi pamięci.

Hortensya do Byczykowskiego.

Jakżeż pan znajdujesz tę muzykę panny Celine pod względem myśli i pod względem wykonania.

Julian.

Mysł, idea jest germańska, a więc mieści w sobie pierwiastek wyższości; tutaj w dokładnym wykonaniu wdzięcznie objawiony. Skupując w roku zeszłym do dóbr moich inwentarz na Żuławach, zdaje mi się, że też samą melodią słyszałem pomiędzy ludem Teutonów.

Pan Gawęcki.

Proszę pana, ile też pan dobrodziej płaciłeś za dojne krowy?—

Julian.

Ja drogo kupiłem, gdyż starałem się o sam wybór i za sto krów po ocieleniu dałem 36,000 złotych.

Pan Paleciński.

Czy wszystkie były po ocieleniu?—

Julian.

Mniej więcej wszystkie.

Gawęcki.

To pan dobrodziej trzymasz znaczną ilość inwentarza.

2 (pau) CWK

3 = (pau) CWK

Julian.

— Obecnie mam 150 krów dojnych, drugie tyle młodzięży i 3,000 owiec, z których  $\frac{2}{3}$  części są już krwi zupełnie czystej, nie licząc jagniąt, z których połowę w tym mokrym roku utraciłem.

Paleciński.

Jakiż wysiew pan dobrodziej masz na swoim majątku?

Julian.

— Żyta wysiewam tylko 300 korcy, pszenicy 100, ale natomiast jęczmienia i owsa przeszło 900.

Paleciński.

Jakąż więc pan dobrodziej prowadzisz rotacyę?

Julian.

— Ja podług Thaera urządziłem moje gospodarstwo, płodozmian w 12 polach.

Paleciński.

Ileż pan tedy pól obsiewasz na zimę?

Julian.

— Rozmaicie—to bardzo względne, zawsze się tylko staram, aby było wysiane 300 korcy żyta i 100 pszenicy, tę bowiem ilość przyjąłem za zasadę gospodarstwa postępowego.

Gawęcki.

Więc ja dlatego, że tylko 160 korcy wysiewam, nie jestem postępowym gospodarzem?...

Julian.

Tego bynajmniej nie twierdzę, ale ja trzymam się systemu Thaera i znajduję go dla mnie najdogodniejszym. Panom znany jest system Thaera?...

Paleciński.

O tyle, o ile Block o nim wspomina.

Julian.

A! Block jest także wyborny!

Gawęcki.

Pan czytałeś Blocka?

Julian.

Nie... nie czytałem, ale mój kuzyn, hrabia Tataroski bardzo mi Blocka zachwalał, gdyż będąc w Anglii, poznał się z nim osobiście.

Paleciński.

Ależ Block jest Szlązakiem i nigdy w Anglii nie postał.

Julian.

A to zapewne inny; bo ten Block, o którym mi mówił mój kuzyn, hrabia Tataroski, jest wła-

1- / 12000

ścicielem dóbr ziemskich w samej Anglii, i jego majątek stanowi jakoby przedmieście Londynu, i właśnie pod ten czas, gdy mój kuzyn, hrabia Tataroski, zwiedzał jego gospodarstwo, pan Block skarżył mu się, że Londyńczykowie przy swoich wycieczkach świątecznych ogromne w zbożu robią mu szkody, i gdyby nie to, że podczas każdego święta sprzedaje do 60,000 kwart słodkiego mleka, co mu znaczny dochód przynosi, dawnoby był swój majątek zamienił na dobra księcia Wellingtona, usunione o mil kilkanaście w głąb kraju, na stronie zachodnio-północnej.

W a c i o.

Czy pan także Anglią zwiedzałeś?

J u l i a n.

W przejeździe.

H o r t e n s y a.

Dokąd?

J u l i a n.

Do Nowego-Yorku, w r. 1826.

W a c i o.

To pan bardzo młodo podróżowałeś?

J u l i a n.

W dziesiątym roku mojego życia.

P a l e c i ń s k i.

Chyba z rodzicami?

J u l i a n.

Z rodzonym bratem mojej matki, z hrabią Małogórskim.

W a c i o.

Szkoda, że pan nie odbyłeś tej podróży w wieku późniejszym, byłbyś pan więcej skorzystał.

J u l i a n.

O pani! ja pamiętam najdrobniejsze szczegóły naszej podróży, przed moim wzrokiem ciągle się płaczą zielone niziny Walli, modre bałwany morza, białe szczyty Nowego-Yorku, posępne Waszyngtonu wieżyce, złote Nowego-Orleanu brzegi, odwiecznych lasów dęby, sosny i brzozy...

G a w e c k i.

Więc w Ameryce jest także brzezina?...

J u l i a n.

Nie wiele, ale trafia się zwłaszcza na północny zachód; lecz brzozy amerykańskie są od naszych nieco odmienne, liść więcej okrągły, a kora nie jest białą ale blade różowego koloru, zapach cudowny i kwitnie przez trzy <sup>1)</sup> miesiące.

<sup>1)</sup> Jestto improwizowane przez pana Juliana kłamstwo albowiem brzozy w Ameryce niczem się od naszych nie różnią.



W a c i o.

Jakżeż pan znalazł obyczaj Amerykanów.

J u l i a n.

O bardzo grzeczni ludzie i nadzwyczaj sumieni, bo powiem pani przykład. W jednym z miasteczek nad rzeką świętego Wawrzyńca, mój wujaszek zostawił w hotelu pugilares, w którym się znajdowało podróżnej kassy przeszło 4,000 funtów szterlingów. O niczym nie wiedząc, jedziemy sobie truchteczkiem...

G a w ę c k i.

Przepraszam, że przerywam, panowie swoim własnym jeździli ekwipażem?

J u l i a n.

O! zawsze własnym.

G a w ę c k i.

Więc to po polsku z pościelą, z obrokiem.

J u l i a n.

Powiem państwu później jedno zdarzenie *à propos* tego tłomoka... kiedy więc jedziemy tuż nad samą rzeką i podziwiamy na drugiej stronie swawolne skoki młodych tygrysów, służący nasz mówi, że nas ktoś goni; oglądamy się, patrzymy, istotnie Amerykanin pędzi na siwym człapaku, co koń mógł wyskoczyć, i kiwa ręką, aby-

śmy się zatrzymali. Kazał wujaszek przystanąć, ciekawy byłem, czego chce ten konny posłaniec, aliści poczciwy chłopiec dopędza nas, spienionego konia wstrzymuje i mówi do mojego wujaszka.

„Czy pan dobrodziej nie zapomniał pugilaresu...“

Mój wujaszek maca się po kieszeni, zbladł i słowa nie mógł wyrzec, aż tu poczciwy Amerykanin wyjmuje wielki zielony pugilares i oddaje go wujaszкови. I cóż państwo powiecie, nie mogliśmy go w żaden sposób nakłonić, aby przyjął kilka dukatów za fatygę; odrzekłszy: „Amerykanin cudzych pieniędzy nie pragnie!“ grzecznie się skłonił, spiął konia ostrogami i zniknął z naszych oczu.

W a c i o.

Nie wie też pan nazwiska tego poczciwego Amerykanina?...

J u l i a n.

Nie, pani! jakoś zapomniałem się spytać.

G a w ę c k i.

A cóż to pan przyobiecał nam powiedzieć *à propos* tłomoka!

J u l i a n.

To była scena nader rozczulająca. Wjeżdżamy do Waszyngtonu, stary, osiwiwały rewizor przy-

rogatce odzywa się do nas po polsku: „Panowie jesteście zapewne moi rodacy, miarkuję to po tłumoku za powozem.“ Wuj mój rzucił mu się na szyję i kilka chwil wszyscy nie mogliśmy się od płaczu utulić. Przez sześć tygodni naszego pobytu w Waszyngtonie codziennie mój wujaszek starego rewizora na obiad do siebie zapraszał, i wyrobił u prezydenta Stanów Zjednoczonych, że mu pensją w dwójnasób podwyższono.

**Gawęcki.**

To poznaliście się z prezydentem Zjednoczonych Stanów?

**Julian.**

Mieliśmy do niego listy rekomendacyjne.

**Hortensya.**

Czy wolno dowiedzieć się od kogo?

**Julian.**

Księżę Czetwertyński, wuj mojego wujaszka, który z prezydentem jednocześnie na uniwersytet w Oxfordzie uczęszczał, dał nam listy do Anglii i do Ameryki.

Długo jeszcze pan Byczykowski kłamał bez litości i już była godzina 10 wieczorem, gdy Gawęcki oświadczył, że czas do domu powraca. Hortensya i Wacio, serdecznie ucieszeni śmieszna



Z najgorętszym zapalem szorstką rękę Wacia ucałował.

bezczelnością młodzieńca, prosili go, aby jutro przyjechał. Juliś w mniemaniu, że swoją postawą i swoim opowiadaniem silnie zrobił wrażenie na umyśle i sercu posażnej panny Palecińskiej, z najgorętszym zapalem szorstką ręką Wacia ucałował, pannie Hortensyi obojętnie się uklonił, panu Palecińskiemu powtórzył zapewnienie, że szczęśliwym się mieni z zaszczytu poznania czci najgodniejszego obywatela i z Gawęckim, pewny najpomysłniejszej przyszłości, do Sękówki odjechał.

## IV.

Ogień z mokrej dębiny syczał i sapał na kominku w dworcu olszyńskim, Kleofas Byczykowski, przechadzając się po pokoju, często zażywał tabaki, najoczywistszy dowód, że wielkie myśli w głowie swojej porządkował; jakoż przystanąwszy przed swoją żoną, westchnął i tak się wygłosił.

— Chcę z jejnością pomówić o rzeczy, która nas obojga zarówno dotyczy, bo, wypływając z obowiązków rodzicielskich, jest naszą spólną powinnością.

Pani Kleofasowa.

I cóż to jegomość powiedziec zamierza?

2 + (Dba) C. B. T.

Kleofas.

Wiadomo jéjmości, że mamy pięciu synów i dwie córki.

Kleofasowa.

Gdyby Justysia nie umarła, byłyby trzy córki.

Kleofas.

Tylko jéjmość nie przerywaj i zechciej słuchać cierpliwie. Otóż mając siedmioro dorosłych dzieci, nie postanowiliśmy dotąd żadnego; kiedy się więc trafia dla Juliana tak bogate ożenienie i od nas zależy, aby przyszło do skutku, winniśmy zrobić poświęcenie, jakiego ten chłopiec od nas wymaga.

Kleofasowa.

Nie dałeś mi przeczytać tego listu, nie wiem więc dobrze, co pisał Juliś, a z twego opowiadania nie mogłam być rozumną, jak on to chce i czego chce istotnie.

Kleofas, wyjmując list z kieszeni i siadając naprzeciw swéj żony, założył na nos okulary i rzekł z powagą.

— Właśnie mam jéjmości cały ten list przeczytać. (*Wpatrując się w napis koperty*). Sliczny ma charakter ten chłopiec, jakby sztychowane.

Kleofasowa.

Bogu dzięki, że chociaż jeden tak pięknie uformował sobie rękę. Ale tylko czytaj, co on w tym liście napisał.

Kleofas wyjął list z koperty i odczytał, co następuje:

Sękówka dnia 17 grudnia 1844 r.

*Najukochańsi i najdrożsi dawcy życia mojego!*

Z listu ostatniego dowiedzieliście się, że ciągle bawię w domu pana Gawęckiego i że codziennie bywam w Jasnym Dębie u panny Celiney. Nie ma żadnej wątpliwości, że panna po śmierci staroego będzie miała przeszło 1,000,000 Złp. majątku; ile przy ślubie dostanie, nie mogłem się jeszcze dowiedzieć z pewnością, bo nie wypada mi pokazywać się interesownym. Wczoraj znowu Gawęcki z wielkiém mojm przerażeniem ponowił propozycyą, abym się żenił z panną Hortensyą, zapewniając, że pan Paleciński da jój w dzień ślubu 50,000 Złp. gotowizną. Wprawdzie ta panna Hortensya jest nadzwyczaj piękna i ukształcona, alem ja nie głupi, abym miał dla jój piękności i ukształcenia zrzekać się miliona posagu Celiney. Mnie się zdaje, że Gawęcki kroi na to, aby Celinę wyswatać za jakiegoś swojego siostrzeńca,



który jest w Królewcu na akademii, a którego się tutaj w tych dniach spodziewają; dla tego więc ciągle mnie namawia do Hortensyi.

*Dnia 19 grudnia.* Wczoraj spodziewano się przyjazdu tego pana Wacława, o którym wyżej spominałem! czas naglił, potrzeba było coś stanowczego uczynić; oświadczyłem się więc Celinie najwyraźniej, że ją kocham, że bez niej żyć nie mogę. Z początku udawała śmiech i wierzyć nie chciała; ale gdym ukląkł przed nią i najstraszliwszą złożyłem przysięgę, że albo moją być musi albo sobie życie odbiorę...

Kleofasowa.

Przez Boga żywego!... żeby zaś chłopiec głupstwa nie zrobił.

Kleofas.

Co się też jejności marzy po głowie! Zwyczajnie chłopiec umiał sobie poradzić; słuchaj je-no serce, co się dalej stało; *(czyta)* albo sobie życie odbiorę. Te wyrazy wymówiłem z najwyższym uczuciem i wtenczas dopiero anielskie oblische Celinę boski okrył szkarlat i jej ręce zawisły na mojej szyi i pierwsze na moich ustach złożyła całunki.

O najukochańsi i najdrożsi dawcy życia mo-

jego! ta chwila stała się dla mnie wyrocznią szczęścia na całe życie.

Dziwną była zazdrość Celinę, gdy żądała, ażebym jej przysiągł, że nigdy do Hortensyi uczuć mych nie zwrócę; następnie oświadczyła mi, że przychyła się do mojej prośby i pozwoli się wykraść, gdyby jej ojciec naszego związku potwierdzić nie chciał.

O godzinie 12-iej z północy.

Prosiłem, błagałem na klęczkach—na próżno. Odpowiedział mi, że córka jego za młoda. A więc umówiliśmy się z Celiną, że w trzecie święto Bożego Narodzenia, zaraz z wieczora, mam na nią czekać z powozem nad drogą żwirową, dokąd z wierną służącą przybędzie.

Najdrożsi i najukochańsi dawcy życia mojego! wybiła więc godzina, w której możecie mi dać dowód waszego przywiązania. Naprzód proszę was, abyście raczyli ustąpić dla Celinę swoich pokoi; powtóre, aby kochany papa nakłonił księdza proboszcza naszej parafii, iżby w dzień Nowego Roku, za naszym do Olszyna przybyciem, natychmiast ślubnym nas połączył węzłem. Potrzebie, abyście nas przyjęli odpowiednio majątkowi Celinę, to jest proszę najukochańszego pa-

py, aby prosił całe sąsiedztwo, żeby świat nie mówił, że potajemnie żonę zaślubił. Wypada przedewszystkiem prosić najusilniej hrabiego Z\*\*\*, hrabiego L\*\*\* i panią prezesową Trybunału 1-jej instancyi; bo że jeneralstwo nie odmówią, tego pewny jestem: on mnie lubi i u niej zawsze wielkie miałem łaski. Aby uprzyjemnić Celinie pierwszy wstęp do domu mojego, pragnę, aby była muzyka i tańce. Gdyby papa chciał szczęście moje uzupełnić, prosiłbym papy, aby na bramie dziedzińca była cyfra z gorejących lamp J. C. Jacek stolarz niechby zrobił taką cyfrę i druty w niej umocnił; lamp olejem nalanych dostarczy organista z Brzmiącój Góry, ja mu już dobrze zapłacę. Do najukochańszėj mamy mam zaś tę jedną prosbę, aby mama kazała ubrać 12 dziewczyn wiejskich, któreby przy bramie, gdy wjeżdżać będziemy, sypały kwiaty na drogę, a jeżeliby się mogły nauczyć śpiewać, żeby wiersze zaśpiewały, które dzisiaj jeszcze skomponuję i do tego listu załączę. Najukochańsza mamó! tylko żeby się nasz kucharz nie upił! Czy nie lepiejby wziąć kucharza od państwa Bosaczyńskich, ja mu już zapłacę, jeżeli wystąpi z piękną wieczrą, bo że najdroższa mama niczego żałować nie będzie, pewny jestem. Gdyby najukochańszemu papie szło o wydatek, ja daję słowo honoru, że pa-

pie wszystko zwrócę, boć przecież dostanę za żoną z pewnością milion złotych, i jeszcze papie mogę pożyczyć na spłacenie pani Robakowskiej, Żołądkiewicz, Fabisia, Mordki i Borucha a przecież, mając milion złotych, byłbym najniegodziwszym synem, gdybym najukochańszym dawcom życia mojego w pomoc przyjść nie miał, a dla braci pomyślę o dzierżawkach, dla sióstr o posagu i będziemy wszyscy szczęśliwi, tylko najukochańsi dawcy życia mojego, nie odmawiajcie moich prośb powyższych co do świetnego przyjęcia mojej Celinie.

Święta miłości rodziców! odzywam się do ciebie sercem świętej miłości syna i nogi najukochańszych i najdroższych dawców życia prosbami mojemu krępuje. Teraz, nie mając nic więcej do wyrażenia, raz jeszcze polecam się rodzicielskiemu sercu najdroższych i najukochańszych rodziców i jestem z jak najgłębszym uszanowaniem

*najdroższych i najukochańszych rodziców  
najczuliej kochającym, najprzywiązanym,  
najposłuszniej i najwdzięczniejszym  
synem i najniższym sługą*

*Julian Rozmian Byczykowski.*

Kleofas, ukończywszy czytanie, otarł czulo-

ścią zwilżone powieki i rzekł: już on to umie do serca przemówić i nie dziwię się, że go tak bogata dziewczyna pokochała od razu. Cóż ty na to wszystko powiesz, Jadwisiu?

Kleofasowa.

Zkąd tu wzięść kwiatów, żeby mu dziewczyny drogę usłały?

Kleofas.

E! o to mniejsza; gdyby przyszło posłać do Warszawy, to być musi; a wszakżeż można dostać kwiatów i w oranżeryi pana hrabiego Z\*\*\*, tém więciej, że go się na ślub będzie prosić. Mnie najwięcej o to idzie, że mu się mamy ustępować z naszego pomieszkania, a najgorzej jak się wprowadzi, to go będzie i ciężko ztamtąd rugować. Bo co on pisze o tym milionie złotych — wiem, że Paleciński odebrał wielki spadek po bracie, dowiedziałem się z pewnością, że ma tylko jedno dziecko, wierzę, że ten cały majątek Julian odbierze, ale kiedy? — to pytanie i sęk czasu terażniejszego, bo jak się stary kozoł uprze, i za życia nic nie da. Cóż ja poznę z młodém państwem, które nie dosyć przywoicie utrzymać aż do śmierci ojca, ale tu jeszcze zechce im się jechać do Warszawy, mieszkać w najpierwszym hotelu, ekspensować

po pańsku, a czyż ja wystarczę na to wszystko? Olszyn obdłużony po uszy, procentów od roku nie jestem w stanie opłacić, tamtych w oficynie jest jeszcze czterech dryblasów, rwą mnie ustawicznie i gdzie się obrócę, wszędzie ich kwity, rewersa, kontrakty na moje imię zawarte, bo nawet Marcinek już jakiś weksel podpisał. A tu przecież i o wyprawie dla Zosi pomyśleć należy; Racimorski na dobre konkuruje i nie podobna mu odmówić: chłopiec familiant, ma wioskę dziedziczną, zresztą dziewczynie 20-ty rok minął i na kogóż z nią czekać? Jakby się ze starzała, dopiéro mielibyśmy żyjący w domu lament.

Kleofasowa.

Zosia jeszcze nie ma dwudziestu lat.

Kleofas.

A czyście wszystkie powaryowały z tém ujmowaniem lat! Czyliż nie wiem, kiedy się córka maja urodziła?

Kleofasowa.

Mniejsza o to, czy nie ma, czy ma lat 20; zgadzam się, że ją za Racimorskiego wydać potrzeba, ale teraz pilniejsza rada co do żądania Julisia.

Kleofas.

Otóż ja się właśnie z myślami biję, czyby państwa młodego nie można w oficynie ulokować, a chłopcy przeniesliby się do gorzelnicy tam jest porządna izba, a w oficynie dla Julianowstwa wylepiłoby się papierowem obiciem, kazałbym dać nowe okienice i drzwi nowe, które szelmy chłopaki, strzelając z pistoletów do celu, na wskrós podziurawili, z pierwszego pokoju do sieni to istny przetak.

Kleofasowa.

Cóż dziwnego? nie zatrudnisz ich niczem, to i ze swawoli nie wiedzieć co im już do głowy przychodzi.

Kleofas.

I czémżeż mam ich zatrudnić?... jęćmość zawsze gada jakieś androny ni w pięć ni w dziewięć...

Kleofasowa.

Nie gniewaj się, mój Kleosiu, lepij oto uradźmy, czy się przeprowadzić do oficyny, czy nie przeprowadzić?...

Kleofas.

Trudno się nie przeprowadzić, bo nie podobna znów panny, mającej mieć milion złotych posagu, wprowadzać do oficynki.

Kleofasowa.

A jak Paleciński nie da tak prędko posagu, mając przyczynę gniewu, że córka pójdzie za mąż bez jego woli i że się oto wykraść da.

Kleofas.

Już ja tam zresztą potafiłbym do szlacheica trafić; uprosi się księdza infułata, użyje się przyjaciół, sąsiadów; przecież tylko tego jednego dziecka jest ojcem, nie podobna, aby miał serce z kamienia.

Kleofasowa.

Toć już im trzeba ustąpić,

Kleofas.

I ja tak sądzę i to zaraz jutro należy zaczynać, ażeby te pokoje oczyścić, odświeżyć, wywokować, franki dać nowe; znajdzie się i reperacya w garderobie, bo się tam ścianą do ogrodu wywała, a ten cieśla drapichróst miał jeszcze na jesień wytynkować; + mówiłem i Pępkowskiemu, że się téż to na tych ludzi w niczem spuścić nie można.

Kleofasowa.

A jakże z przyjęciem?



Kleofas.

Pojadę jutra do Borucha wezmę przynajmniej 5,000 Złp. i trzeba wystąpić, jak się należy.

Kleofasowa.

Ja mam za masło i za wieprzki 23 dukaty. możesz wziąć na sprawunki, nie podobna dziecku żalować...

Kleofas.

Zwłaszcza że to nasz pierwszy syn żeni się, jakoś będzie i dla drugich *piwien honor* na przyszłość, gdy pierwszą synową z przyzwoitością i z wystawą przyjmujemy.

Do późna w noc rozmawiali szczęśliwi rodzice o najdrobniejszych szczegółach świetnego pani Julianowej przyjęcia, i nie wątpie, że starzy Byczykowscy wspaniale wystąpią; zapraszam więc szanownych czytelników do Olszyna na dzień Nowego Roku, a ja tymczasem świeżą nałożę luleczkę i do Sękówki pojadę, gdyż mię trapi jakieś nie miłe przecucie, że młodzieniec ze zbytku szczęścia rozchoruje się i zaproszonym gościom niesłychany zawód uczyni.

V. 5.

O ile od ostatniego listu Juliana nadzwyczajna panowała w Olszynie radość, o tyle w Sę-

kówce u Gawęckiego i w Jasnym Dębie u pana Stanisława posępne zwiększały się chmury, albowiem nadchodził czas ukończenia komedyi. Wprawdzie pomiędzy chmurami raz jeden cudowny promień zajaśniał, ale czy umiano z chwili korzystać, dowiemy się zaraz poniżej.

Julian, znudzony Palecińskiego bezczelnością kłamstw i zalotów do Wacia, od chwili oświadczenia miał wprost dalsze odwiedziny zabronionemi; lecz upewniony przysięgą Wacia, że w trzecie święto Bożego Narodzenia *najmieszadniej* w umówionem stawi się miejscu, młodzieniec *drwił sobie z chimery* starego i już od tygodnia siedział w Kalwaryi u Lejby Nejtla, gdzie na *teb na szyję* za nową od Borucha pożyczkę paradną bo pasową szyli liberyą, gdzie przyprawiono z Królewca bardzo piękną karetę i właśnie pan Byczykowski wyprawił sztafetę do Münhajmera w Warszawie po ogromnej wielkości guziki herbowe, gdy przybył z Jasnego Dęba posłaniec z następującym listem od Wacia.

Panie Julianie!

Im więcj zbliża się czas zakończenia komedyi, w której pan rolę kochanka przyjąłeś, tém więcj jestem niespokojną o skutki mojej lekko-

myślności; drzę cała na myśl tajemnego wyjazdu z domu najlepszego ojca, chwięję się coraz więcej w nadziei szczęśliwej przyszłości, gdyż ciągle dręczy mnie to przekonanie, że pan, przenosząc mnie nad tyle piękną, tyle uroczą, tyle zachwycającą, tyle łagodną i ukształconą Hortensyą, chyba interes pieniężny, mój ogromny posąg miałeś na celu, dlatego raz jeszcze błagam pana o szczerłość. Pomnij, panie Julianie! że najpierwszym warunkiem szczęśliwego małżeństwa winna być najszczerza wzajemność obustronnych uczuć, gdyż pogwałcone serce nie ubłaganą na całe życie wywiera zemstę, zatruwa wszystkie dni i godziny naszego istnienia i zwykle bogactwa, zaparciem naszej godności nabyte, stają się obmierzłymi i są ustawicznym przypomnieniem dokonanej podłości.

Panie Julianie! ty się podobałeś pięknej Hortensyi; ja z pewnością u ojca mojego wyjednam, że z nią w dzień ślubu odbierzesz już nie pięćdziesiąt ale sto tysięcy złotych na zyskowne w naszym sąsiedztwie kupno tej samej wsi, którą tak często ojcu mojemu chwaliłeś; mój ojciec, twierdząc to z niemyślną pewnością, nie odmówi prośbie mojej; wszakżeż podczas gromu dział, pod uroczystym niebios sklepieniem przysięgł konającemu pułkownikowi, że się przez całe

życie starać będzie, aby doła sieroty była szczęśliwą...

Julianie! córka poległego żołnierza, aniół Hortensya śle ci przezemnie wyraz miłości... dla Celiney wdzięczność wasza wystarczy... Nadto muszę ci wyznać szczerze, że ojciec mój usilnie pragnie, abym rękę moję oddała Wacławowi, siostrzeńcowi pana Gawęckiego, z którym mnie łączy przyjaźń od lat dzieciennych, i ten związek będzie dla mnie właściwszy. Wacław znakomitą i rozległą posiada naukę, byłabym umysłowo do niego niższą od ciebie, panie Julianie, przebac mojej szczerości, byłabym o wiele wyższą; niestosowność, która po za granicę pierwszej miłości stwarza brak tyle w małżeństwie potrzebnego szacunku dla męża... a częstokroć rodzi wstręt i pogardę.

Panie Julianie! powtarzam, córka poległego za kraj żołnierza, aniół Hortensya śle ci przezemnie wyraz miłości... nie wątpię, że w młodzińczym sercu prawe uczucia pierwszeństwo nad chciwością bogactw odniosą i że pan z szczerą dla mnie przyjaźnią i tylko co rychlej w dom nasz przybędziesz.

Z rzetelnym szacunkiem zawsze  
dla pana życzliwa

Celina.

Jasny Dąb 22 grudnia 1844 r.

Po przeczytaniu tego listu Julisiowi lzy się kręciły w oczach, serce jego drżało przyspieszonym biegiem, bo Juliś kochał Hortensyą<sup>1)</sup>. niebiańskie wdzięki Hortensyi otoczyły w tej chwili wszystek zmysł młodzieńca; widział ją w całym blasku piękności, słyszał ją w całym uroku anielskiego głosu, i już rój strzałami zbrojnych chłopczyków trzepotał radości skrzydełkiem i z figlarnym uśmiechem cięciwę zwyciężkiego łuku naciągał, i już w górnym niebios błękitcie bóstwo hymenu ku świętej pochodni spojrzenie zadowolenia rzuciło, i już anioł dyżurny miał chrzestne imię Byczykowskiego z chrzestnym imieniem Palecińskiej w księdze przeznaczeń diamentowém piórem połączyć i zapisać, kiedy w tym tak stanowczym momencie najniezawodniej djabeł, a nie kto inny Borucha do izby wprowadził.

Czy państwo dobrodziejstwo uwierzyć zechcecie, że pomimo tego, iż Julian Byczykowski do rzędu srodze głupiej kawaleryi należał, żał mi

<sup>1)</sup> Żebyście tylko nie rozgłaszali, po si działbym wam, mił czytelnicy, że i rzeczywista panna Celina rzeczywiście się kochała w Julianie; i nie można się dziwić bo Byczykowski, jak to wicie, prześliznym był chłopakiem, a znów nie można żądać, aby w dziewięciu woda nie krew płynęła.

się chłopca zrobiło, gdy m spostrzegł wchodzącego Borucha.

Na widok Borucha zarumiemł się Julian; przez jego myśl lotem gromu straszliwa przeleciała burza, ścisnęło się serce i słowa jednego nie był w stanie wymówić.

Boruch.

Przyjechałem z powinszowaniem Jaśnie wielmożnego pana Julisiowi, mężowi od panny Palecińskiej szczęśliwego końca i przywoze podziękowanie od rodziców za takie wielką radość, jaką pan Juliś zrobić będzie rodzicom, a i wielgie ukontentowanie dla Borucha, co to do wszystkiego był najgłówniejsza przyczyna i namowa... A co? nie powiedział ja, że Boruch ode wszystkich przyjaciół pana Julisia Byczykowskiego jest najlepszy.

— Kiedy Boruch przyjechał?...

— W te minucie jak tylko otrzymałem wczora list pańskie, zaraz wsiadłem na furman-skie brykie od warszawskich żydów, co jadą do Kowna, i oto jestem w Kalwaryi. Tylko mnie coś uderza, że pan Juliś jakoby był smutny, czyby się termin od panny Palecińskiej odmienił?... ny!... niech Pan Dóg zabroni tego, boby to

była wielga zmieszana; pan ojciec już wszelkich gości na Nowy Rok zaprosił, z Warszawy muzyka zamówione, tego illuminacye z kwiatami i odśpiewania ziewuchy przygotowane.

— Żadnej odmiany! na Nowy Rok przyjadę z żoną, albo sobie w łeb wypalę...

Na te ostatnie wyrazy Boruch, któremu Julis był winien, nie licząc procentów, 17,000 Złp., zbladł jak na żółto ukrochmalona chustka perkalkowa, i ledwo potrafił wybełkotać:

„Co — co to jest... wus ist dos?...”

— Widzisz, Boruchu! właśnie przed kwadrantsem odebrałem list od panny Palecińskiej, w którym bynajmniej nie cofa danego słowa, ale mnie tylko namawia, abym się żenił z jej bardzo piękną przyjaciółką, z panną Hortensyą, która bawi w domu jej ojca i przyrzeka mi...

Boruch.

Żeby tę przyjaciółkę wszystkie pioruny razem zatrzaskały z jej pięknoscia, niech ją diabli porwą do piekła, żeby sobie tam poszukała kawalera; a panu Byczykowskiego do wciurnostych diabłów co jest po pięknej panny?... panu Byczykowskiemu trzeba pieniędzy, kupa pieniędzy... czy ona tego Paleciński zwaryowała?...

Julian.

Nie, mój Boruchu! to z jej strony udowadnia tylko bardzo szlachetną duszę.

Boruch.

Niech ona pierwszemu lepszemu psu takie duże oddaje.

Julian.

Tak gadasz, jak rozumiesz; trzeba ci wiedzieć, że ona z swojego własnego majątku chce dać sto tysięcy na posag dla tej panny.

Boruch.

Jakiego swojego własnego majątku?... tego majątek należy teraz do pana Palecińskiego, a potem będzie należał do pana Juliana Byczykowskiego, jej męża od ślubu, a nie do niej panińskiego stanu. To także jakiegoś pańskich muchów ma w nosie, sto tysięcy chce dawać jakieś obcej dziewczynie?... Czy pan już zrobił odpisanie na tego głupi list?

Julian.

Jeszcze nie odpisałem, ale zaraz odpiszę.

Boruch.

I cóż pan będzie odpisać?...



Julian.

Że jej nie zwalniam z danego słowa, i że nie chcę za żonę jej pięknej przyjaciółki, i że na nią czekać będę wieczorem w trzecie święto Bożego Narodzenia w miejscu umówioném.

Boruch.

To jest na tego Palecińskiego?...

Julian.

Tak jest, na pannę Celinę Palecińską.

Boruch odetchnął, lecz musiało go coś w żołądku zboleć, bo jeszcze chwilę potem przyciskał obiedwiema rękami środek swojego tłustego brzucha, a Julian zaczął przy zapalonych świecach lak topić i fajeczkę rozniecić, kwoli przeczyszczenia powietrza.

Julian.

Idźżeż teraz, mój Boruchu, do Lejby, bo ja muszę zaraz odpisać pannie Palecińskiej i nie chcę, abyś mi swoją obecnością przeszkadzał; jak skończę, to cię zawołam. A przywiozłeś też tyle pieniędzy, o ile pisałem?

Boruch.

Niech się pan Juliś o pieniądze nie turbuje; ja nie przywiozłem pieniędzy; ale jeśli koniecznie potrzeba, to ja się będę z Neytlem wy-

starac<sup>1)</sup>; tylko niech pan Juliś napisze taki sam czuły list do swojej panny, jak napisał do pana ojca, donosząc, że ona już dała słowo. Jak pan ojciec przyjechał po pieniądze na te do ślubu sprawy, bo to on mi przywiozł tego listu i dwa razy czytał mnie i mojej żonie i zięciom, było bardzo ładnie napisane.

Julian.

Ja dzisiaj jeszcze ładniej napiszę, tylko muszę mieć kilka godzin czasu.

Boruch.

Ny, ny, niech pan pisze; ja każe Lejbie, żeby przymknął okienice i żeby tendy nikt nie przechodził, a tymczasem ja pomówię z tego posłańcem i będę go poczęstować wódką.

Julian.

Tylko się zaś Boruch nie wygadaj, że w Olszynie moi rodzice mieszkają, bo ja tam w Jasnym Dębnie powiedziałem, że to moje własne dobra.

Boruch.

Przecie ja nie głupi, pisz pan z Bogiem, tylko z czułością, delikatnie i tak, żeby ona ani jedne-

<sup>1)</sup> Zełgał Boruch, bo przywiozł ze sobą pieniądze i szło mu tylko o to, ażeby mógł większy procent wyłudzić, a osobno żądać faktornego.

go dnia nie zmykła, bo wszyscy goście będą w Olszynie czekali i na ten dzień wielgi się zrobi ekspens.

Julian.

Ale, ale Boruchu! czy wiesz z pewnością, że papa każe illuminować?...

Boruch.

Z wszelką pewnością wiem, bo ja na moje własne oczy widział, jak stolarz Jacek brał miarę na tego bramę od ziezińca, gdzie się dwie państwa litery mają świecić z lampami, do których ją przywiózł knoty trzysta i sześć garcy oleju.

Julian.

To będzie mało sześć garncy.

Boruch.

Bo jójmość ma także dać tłustości ze spiżarni do jakichsi dygańców, co będą wisieć na topolach przez całą wieś. Już się niech pan nie boi, takiego parade, jak będzie w Olszynie, to jeszcze, nikt na świecie nie widział; całe kuźnia będzie także z dygańcami obstawione i na samym wierzchołku od kuźni będzie jedne donicę z tłustością także się palić, a przy mostku od granicy to pan Zdzisław z braćmi mają konno wystrzelić, jak wielmożny pan przyjedzie ze swoją żoną do granicy,

i już oni potem od tego karety nie odstąpią aż do samego przededwór. Mnie pan Zdzisław każdą rzecz powiedział.

Julian.

Wszystko więc będzie dobrze; teraz tylko mój Boruchu, nie przeszkadzaj mi i przyjdź dopiero za dobrą godzinę a ja ci także opowiem, jak ja umyśliłem do Olszyna przyjechać.

Boruch.

Er hot Recht — ny! ny! ja już będę iszc.

Boruch wyszedł a Julian usiadł za stolikiem, wziął pióro do ręki, wierzchni koniec tegoż pióra włożył w usta, ścisnął zębami i nieruchomo siedział przez cały kwadrans; potem wstał, przeszedł się trzy razy przez izbę, znowu usiadł, przyłożył do papieru w atramencie umoczone pióro, wielki palec od lewej ręki na pół paznokcia w ustach zanurzył i drugi kwadrans dumał nad treścią listu pisać się mającego; wreszcie o trzy kwadrans na ósmą tak pisać począł:

„Celino! aniele życia lub śmierci!... ubóstwiona istoto! ideale mojego szczęścia na ziemi!... moja ty, moja Celino!“

„Litery, anielską rączką twoją stawiane, litery, które zrosiłaś promieniem twojego Boskiego spojrzenia, odebrałem przed chwilą. Celino! ty

mnie tylko doświadczać chciałaś, ty nie jesteś zdolną poić się krwią moją. Nie, nie, Celino, nie byłoby Boga na błękitnych nieba obszarach, nie byłoby Boga na ziemi, która co wiosnę milionami kwiatów jaśnieje, nie byłoby władzy nad szatanem piekieł, który w ciemnościach kuje rodu ludzkiego nieszczęścia, gdyby treść twojego listu była wiernym odbiciem twojego uczucia. Celino! to tylko było twoim marzeniem, ty tylko twojego Juliana chciałaś przerazić najokropniejszą na świecie groźbą, aby tym silniej ocenić umiał szczęście posiadania twojego serca. Celino! życia mojego życie! to był tylko żart twojej ku mnie miłości... I czémżeż są słabe wdzięki Hortensyi przed twoim anielskim obliczem, czémżeż jest jej słabe uczucie przy twoim sercu, w którym harmonia całego świata dzwięczy lutnią zbawienia, czémżeż jest jej słaby umysł przy potędze twojej nieskończonej wiedzy, czémżeż jest jej nieudolna dusza przy twojej duszy, która całą ludzkość ogarnia i za granicę pojęć człowieka przechodzi. Celino! w liście swoim wspominasz o twojej umysłowej wyższości nademną; przyznaję Ci najzupełniejszą słusność tego zarzutu, ależ czyli miłość moja ku Tobie, miłość niedościgłej potęgi nie nagrodzi twojemu sercu ujemnej strony mojego jestestwa?... Celino! jeżeli

jednakże dane mi przez Ciebie słowo ma być dla Ciebie źródłem przykrego w przyszłości uczucia, uwalniam Cię od tego słowa i tylko pragnę, abym się w twojej pamięci wielkością moją dla Ciebie miłości uwiecznił, bo przysięgam na święte popioły moich naddziadów Byczykowskich, na herb naszej rodziny, na honor nieskazitelnej duszy mojej, na wszystkie siedm ran Chrystusa, Pana naszego, że jak w dniu 27 grudnia przed północą nie przyjdiesz w umówione miejsce, aby los przyszły zemną podzielić, ja przez pośrednictwo prochu z dwururnej strzelby czaszkę głowy mojej na drobne kawałki roztrzaskam, aby Cię przekonać, zemnę Cię, Celino, kochał nad życie moje, nad zbawienie duszy mojej. Czekam jutro twojej odpowiedzi a tymczasem o tym Cię tylko zapewnić mogę, że w godzinę mojego skonu usta moje słowa Ludgardy powtórzą: „Okrutna żyj szczęśliwą.“

Moja ty moja Celino!

Twój do śmierci.

*Julian Rozmian Byczykowski.*

*Pisałem w Kalwaryi, dnia 19 Grudnia 1844 r.*

P. S. Gdym list ten ukończył, odebrałem z domu wiadomość, że najświetniejsze dla Ciebie przyjęcie jest przez rodziców moich rozporządzo-

ne. Wczoraj przysłano mi nadzwyczaj piękną karete i pasową dla ludzi liberya, nieszczęśliwie domyślają się, że w chwili, kiedy oczekiwać będą na tkliwe uściski synowej, kir śmierci syna serce rodzicielskie wieczną okryje żałobą. Raz jeszcze powtarzam: „*Okrutna żyj szczęśliwą!*“

## VI.

Ponieważ bieg czasu z odwiecznych niepojętego Boga rozkazów od stworzenia świata, ani się jednego razu ani na jedną nie zatrzymał chwilę, cóż więc naturalniejszego jak to, że i do Olszyna Rok nowy czyli dzień 1 stycznia 1845 r., zaraz nazajutrz po 31 grudnia na całe 24 godzin zawitał.

Czy to w skutku wzburzenia krwi, z niezwykłych od kilku tygodni zatrudnień wynikłego, czy też z radosnej niespokojności umysłu, albo li też z tej przyczyny, że wiatr przez niezaklejone jeszcze dziury we drzwiach pierwszego pokoju oficynki z wiatrem od komina jakąś świstającą prowadził rozmowę, czy też z innych mnie wcale niewiadomych przyczyn, dosyć, że Kleofas Byczykowski, zaraz po północy snu pozbawiony, słyszał godzinę 1, 2 i 3, i gdy kwadrans na ścienym zegarze uderzył, wstał ubrał się i poszedł do dworu, gdzie sprowadzony z Warszawy tapi-

cer ostatnie do firanek przypinał kokardy a froter czwarty już zaczął pokój woskować. Objeżdżawszy wszystko we dworze i zachęciwszy frotera do pośpiechu, pan Kleofas udał się następnie do kuchni. Tutaj aż trzech kucharzy w białych szlafmycach, w brudne zakasanych fartuchy, zajmowało się właśnie wysadzaniem z pieca pasztetów i lukrowaniem ciast piramidalnych, chwiejących się na 12 fajansowych półmiskach, kolorowym papierem wyklejonych. Dalej zwiedził pan Kleofas izbę folwarczną, gdzie stary ogrodnik z dziewczkami wiązał z gałązek jodłowych sosnowych i świerkowych i z tak nazwanej borówki zielony łańcuch, 400 łokci długości mający, na zrobienie w około dziedzińca strojnój opaski.

— A cóż, Grzegorz! wystarczy 400 łokci na cały dziedziniec?... zapytał ogrodnika Kleofas.

— Wystarczy, jeszcze się zostanie na girlandę do siennych drzwi we dworze, — odrzekł pracowity Grzegórz.

— A wszakże drzwi sienne mają być przystrojone kwiatami, przywiezionemi z oranżeryi pana hrabiego?

— Proszę wielmożnego pana, te kwiaty pojedą wszystkie do sypialnego pokoju i ustawią się na ceglach taksamo, jak podczas lata przed oknami jéjmości, od dołu większe doniczki, na sa-



mym zaś wierzchołku będą dwie najmniejsze doniczki z kwitnącemi różami, piękną wstążeczką ze sobą związane.

— Mój kochany Grzegorzu, dostaniesz od pana Juliana kilka talarów za ten przewyborny koncept. Otóż mi stara głowa a myśl jara, lepiej nie można było wymyślić. Tylko się spieszcie z tym łańcuchem, żeby już przed południem był porozwieszany.

— Wielmożny panie, na południe będzie wszystko gotowe.

Tymczasem dzień się rozwidnił, ogólny rozhorwor wszczął się na całym dziedzińcu i bez żadnego względu na uroczystość kościoła katolickiego huk, sztuk, gwar robotników, rozkazy Kleofasa i czterech młodych Byezykowskich krążyły we wszystkich zakątkach Olszyna. Stolarz, Jacek, ustawiwszy na wierzchołku bramy ogromnej wielkości litery drewniane:

### J. C.

przybijał druty i zawieszał lampy; 25 fur włościańskich i 4 fornalki i dwie pary osłów rozwoziło piasek rzeczny na drogę i ścieżki; w browarze pod dyrekcją Zdzisława, 12 dziewczyn w ostatniej próbie odspiewywało hymn przyjęcia; Grzegorz ogrodnik rozwieszał już ukończo-

ny zielony łańcuch; pastucha i dwóch karbowych ustawiało kagańce; ekonom Pępkowski z nadwornym cieślą na moście przed bramą, dwie sadzawki rozgraniczającym, nowe układał bale; trzech żydków z najbliższego miasteczka malowało poręcze i słupy, a i kowal miał zatrudnienia pod dostatkiem. Dopiero o godzinie 4 z południa roboty publiczne ukończone zostały a zaczęło się równocześnie ubieranie państwa i służby dworskiej. O godzinie 6 ostatnie z kuchni wysłano żelazka do zwijania włosów pana Zdzisława, a o pół do siódmej wszyscy czterej bracia wyfryzowani, wypomadowani, w granatowych frakach, w białych rypсовых pantalonach, z nowemi białemi rękawiczkami, z kapeluszeniami w rękę przybyli do oficyny, z kądem jegomości w galowym fraku i jegomość w karmazynowej aksamitnej, Zosia w różowej krepowej sukience, już się do dworu prowadzili.

Niezadługo poczęli się zjeżdżać goście i w przeciągu niespełna dwóch godzin cztery karety, 19 landar oszklonych, 3 landary z fartuchami skózanemi, 28 koczów pół-krytych i jedna ogromna baszarda, matka wszystkich pojazdów z całej okolicy, i 7 kawalerskich najtyczanek, i kilkuset wieśniaków z Olszyna, i sąsiednich włości, i tłum liberyi, i muóstwo żydów z pobliskiego miasteczka, i dzieci co nie miara, i psy dworskie,

i psy wiejskie, i pawie, z pod szopy światłem lamp wystraszone, i zabłąkana ze wsi gromadka prosiąt, i osiodłane dla młodych Byczykowskich wierzchowce, to wszystko przepelnilo dziedziniec, i był gwar, i hałas, syczeniem i pstrykaniem kagańców zwiększony, gdy przyjechał nakoniec także i oczekiwany ksiądz Infułat, pokrewny pani Byczykowskiej, który przyrzekł oblubienców słubnym połączyć węzłem.

W ostatnim liście zapewniał Julian, że na godzinę 9 przyjedzie z najdroższą swą oblubienicą najniezawodniej. Pół do 9-jej na zegarze brązowym w pokojach bawialnych jęknęło, spojrzeli wszyscy na kieszonkowe zegarki, czterech braci Byczykowskich spojrzęło na ojca; dał znak jawny, młodzieniec pokłonili się księdzu Infułatowi i zgromadzonym gościom, wyszli do sieni, podano im prochem nabite pistolety, siedli na suto przybrane rumaki i puścili się klusem przez gorejący dziedziniec, przez wieś, 300 kagańcami owidnioną, na zachodni północ ku granicy do mostku, gdzie na pierwsze przyjęcie państwa młodych oczekiwać mieli.

Im więcej zbliżała się stanowcza rodziny Byczykowskich chwila szczęścia, tem powszechniej stawały się powinszowania i życzenia, rodzicom Juliana składane, które pan Kleofas przy-

mował z wdzięcznością; najbliższemu zaś sąsiadowi, panu Cielątkowskiemu, <sup>1)</sup>dziwiącemu się, że pan Julian w tak krótkim czasie tak wielkiego dopiął celu, odpowiedział z pewną dumą: „to, co dla wielu byłoby niepodobieństwem, dla Byczykowskich jest rzeczą łatwą i najnaturalniejszą“; gdy w tem rozległy się w ogrodzie dworskim powtarzane wystrzały, umówiony odgłos wystrzałów przy granicy Olszyna. „Jadą! jadą!“ zawołali wszyscy. Oczy Kleofasa zaiskrzyły się najżywszemu w jego życiu uczuciem, i zapominając, że się wpośród stu pięćdziesięciu spółobywateli znajduje, donośnym zawołał głosem: „Pepkowski! nad stawami race wypuszczać! gajowi niechaj z dubeltówek strzelają! na wszystkich słupach smołę zapalić!“ i tłumem ciekawych otoczony, wyszedł przedewr i wionął białą chustką w powietrze.

I rozpoczął się trzask, huk, łoskot, a płomień tysiąca świateł noc ciemną w dzień najjaśniejszy zmieniły...

Za chwilę słyszyć się dała trąbka pocztar-

<sup>1)</sup> To nie był pan Wojciech, którego żona otworzyła salony literackie (jak o tem w jednej z moich Rametek napisałem) ale pan Hia-cynt, który się ożenił z córką Brzękalskiego, sławnego dowodzeniami że chłop polski nie jest wdzięczny panom swoim za odbierane łaski i dobrodziejstwa, a więc że nie zasługuje na żadne względy jaśnie wielmożnych i wielmożnych dziedziców.

ska, ujrzano karetę, czterema jeźdźcami otoczoną.

Przy bramie dziedzińca ozwał się nieco pisliwy ale zawsze choralny śpiew:

Pani! pani!

To my sami,

Lud Twój wita Cię!

Pani, pani!

To my sami,

Lud Twój korzy się!

Pani! pani!

Rządź nad nami!

Olszyn prosi Cię...

Pani! pani!

Tutaj szczęście,

Tu zameżcie

Czeka Cię!...

Wreszcie po improwizowanym na tę uroczystość bruku zadudniła ogromna karetą, poczynioną na skręcie dwa razy z bicia wypalił i przed samym dworem konie w biegu zatrzymał. Skoczyła młodzież do otworzenia karety... Kleofas i Kleofasowa stali na ganku, wieńcem obywatelstwa otoczeni...

Otwierają drzwiczki karety, chwytają pod pachy, wysiada:

*Żyd Boruch!*...

i nikt więcej, bo nikogo więcej nie było w karecie.

Najokropniejszą na całej ziemi, krótko trwał ciszę przerwał nagle śmiech szalony, śmiech bez końca.

Lecz przez ten śmiech kilkuset osób przedarł się bolesny zawrząsk matki:

„Gdzie jest mój Julian, syn mój ukochany!?!... i głos ojca:

„Żydzie! gdzieś syna naszego zostawił?!...“

i głos sióstr i braci:

„Żydzie! gdzieś brata naszego zostawił?!...“

Boruch z rozczochranemi pejsami, trzęsący się od strachu, tocząc wzrok nieśmiały po braciach Byczykowskich, których żelazne dłonie w silnym trzymały go objęciu, odezwał się w końcu:

— Te panne Palecińskie to był chłopiec, pan Julis został zmartwione w Kalwaryi, a ja w mojego własne karety, co ją odebrałem panu Julyszowi, na koszt starszego pana przyjechałem z extrapocztą donieść, że z wesela nic nie będzie; tylko ja się spóźniłem o 2 godziny, bom wstąpił do mojego szwagra w Siedlcach.

W kilka tygodni później Kleofas Byczykowski zeznał przed rejentem w mieście Biały dług 25,000 Złp. na rzecz starozakonnego Borucha i podpisał dla tegoż Borucha kontrakt dzierżawy folwarku Zajadały na lat 6, z prawem gorzelnicy i propinacyi na całych dobrach Olszyna (biednych chłopków do reszty rozpoi).

Julian, po odbytych pojedyńku bez krwi rozlew, gdy w parafii Jasnego Dęba wyszła pierwsza zapowiedź Wacława z Celiną, wyjechał w okolicę nad rzekę Wieprz w zamiarze starania się o rękę pani Kurkowskiej, wdowy już nie młodej ale bardzo majątnej. Nie wątpię, że syn obywatelski dopnie swojego celu i że się bogato ożeni, a tém samém wywiąże się z długu i zaprosi nas na huczne przenosiny. Przynajmniej do mnie mówił, że się nie obejdzie bez Gucia, to jest bez niżej podpisanego autora téj Ramotki, który całej rodziny Byczykowskich pragnie na zawsze pozostać najwierniejszym kronikarzem, a dla miłych czytelniczek zawsze na rozkazy

*powolnym sługą*

**Au. Wi.**

Ch. fil. k. n. k.

## JARMARK W ŁOWICZU.

BARDZO SMUTNA RAMOTKA.



*Opis*

## JARMARK W ŁOWICZU.

BARDZO SMUTNA RAMOTKA.

Na równinach Mazowsza, 10 mil od Warszawy, 7 mil od miast fabrycznych Zgierza i Łodzi odległy, koleją żelazną z Warszawą połączony Łowicz nad rzeką Bzurą, jest miastem, mniej więcej 5,000 ludności liczącem. Już w dwunastym stuleciu bule papieżkie o Łowiczu wspominają. Historią Łowicza skreślił w osobnym dziele czci- godny Gawarecki. Ale nie o Łowiczu pisać za- mierzyłem, lecz o walnym jarmarku na Ś. Ma- teusz z roku 1840.

Już od początku miesiąca września gdzien się tylko obrócił, słyshałem zapytania: „*jedziem do Łowicza?*“ i z każdym dniem te zapytania były gęstsze i głośniejsze; ośmnastego zaś i dziewię- nastego września do tego stopnia napastowali mnie ludzie tym Łowiczem, że dla świętej spo- kojności odpowiedziałem kilku znajomym: „*jade*

*2. Opus*

będzie zobaczymy się.“ A że się rzekło, więc, chociaż nie miałem nic do sprzedania, ani też nie potrzebowałem niczego kupować, jednakże jechać postanowiłem. A więc dwudziestego września, w niedzielę, wzięwszy świadectwo od gospodarza domu, że przeciw mojemu wyjazdowi żadna z jego strony nie zachodzi przeszkoda, i uzyskawszy na tę podróż od właściwej władzy pozwolenie, z rana o godzinie 9-jej otuliwszy się w algierkę, zaopatrzonego w sygara i w drobniejszą monetę, siadłem do dorożki i do kolei żelaznej ruszyłem.

Na wszystkich ulicach widziałem ludzi jadących do kolei żelaznej, a im bardziej zbliżyliśmy się do celu, tém większy był tłum wymijających się dorożek, i gdy przed dworzec kolei zajeżdżał, ujrzelismy kilkanaście setek ludzi z zawiątkami pod pachą, z bułkami, z sygarami, z gruszkami, sliwkami, jabłkami w ustach, a każdy biegł klusem, ten do zważenia swego tłomoczka, ów po jadło, tamten kwoli ugaszenia pragnienia, a każdemu świeciły się oczy radością, że wyjeżdża, że dąży na jarmark łowicki. Gdzieniedzie tylko spostrzegłem ludzi zamysłonych: byli to rękodzielnicy i rzemieślnicy, którzy już kilka dni przedtém wysłali swoje towary; wątpliwość, ażali im się zwróca koszta, ażali szczęśliwy targ zrobią, odznaczała ich oblicza od goniących za rozrywką, za zabawą.



Dwie najsprzeczniejsze pomiędzy sobą figury.

2. Chyba



Z trudnością docisnąwszy się do kassy sprzedaży biletów, kupiłem za rubla siwą karteczkę do wagonu klasy 8 i udałem się do pokojów, natłoczonych oczekującymi na hasło odjazdu. Spisać i określić tysiąc ludzi najrozmaitszego kroju i gatunku jest niepodobieństwem, a jednakże ileż tam było osób, któreby na parawanach właściwą stanowiły ozdobę.

Przed wszystkimi innemi zwróciły na siebie moją uwagę dwie najsprzeczniesze pomiędzy sobą figury: tłusta, pękata, rumiana, niska jéjmość w grubo wатовanym szlafroku i w salopie sukiennej, z torbami, z torebkami, z pudełkami, i z pieskiem na łonie, zajadająca potężnego serdela, i z maleńkiej flaszeczki pijąca krople życia czyli po prostu gorzałeczkę, i obok siedzący w jedwabnych pantalonach koloru karmazynowego w długiej kamizelce z wełnianej materyi à la Walter-Scott, z talarowemi przy niej guzikami, w rajtroku koloru piaskowego wysoki, wychudzony, blady z kręconemi na żelazku włosami, wyolejkowany, wypięznowany, w lakierowanych trzewiczkach, ze spicrutą w rękę, zajadający w cukrze smażone owoce — dandy warszawski.

<sup>1)</sup> Że te pantaloniki były rzeczywiście jedwabne i koloru karmazynowego, osobnym moim podpisem zaświadczam.

Widok tych dwóch osób tak mnie serdecznie zabawił, że wyjmując z kieszeni pugilares, postanowiłem małeńki zeszkicować obrazek, gdy w tej chwili przeciągłym gwizdem parowa ozwała się piszczałka, drzwi otworzono na galeryą, wysypałem się z całym tłumem podróżnych. Wtoczyłem się do najbliższego wagonu, przeraźliwa świstaczka ozwała się po raz drugi, wozy pocałowały się z lekka, podróżni kiwnęli się na siedzeniach; maszynista otworzył klapę i w mgnieniu oka minęliśmy rzędy gapiących się na lokomotywę, ślających swoim krewnym i znajomym pożegnania; minęliśmy rogatki, ogrody; lotem strzały wybiegliśmy na prześliczną równinę pól mazowieckich i podróż nasza odbywała się w całej sile znikomiej a tyle potężnej pary.

Ochłonawszy z podziwu nad dobrodziejstwem tak cudownego wynalazku, obejrzałem się w wagonie, z kim jadę, kto obok mnie, kto przeciw, kto za mną siedzi. Było kilku starych, kilkunastu młodych, tłustych, chudych, łysych, czubatych, dużookich i małookich mężczyzn nie szczególniejszego; były dwie niewiasty, jedna 40 letnia, ogromna wzrostem, ogromna objętością; druga szczupła, wiotka, wysoka, w całej swojej budowie estetyczna, z tęsknym uśmiechem na twarzy, z cudo-

wném spojrzeniem pogodnych ocz, z wyrazem myśli na gładkiem i białem czole.

Bardzo łatwém był wybór; rozpocząłem rozmowę z piękną panią. Minęliśmy Prószków, Grodzisk, prawilem, na co się zdobyć mogłem i pod urokiem przyjemnego sąsiedztwa stanęliśmy w Rudzie.

Jakiś olbrzymiego wzrostu pajazzo z janczar-ską muzyką na głowie, z dętym instrumentem w ustach, z bębniem na plecach, z pałeczkami, przy łokciach rąk przymocowanemi, bębnił, dzwonił, brzęczał i piszczał bez litości przed bufetem, gdzie ścisk pijących i jedzących wyraźnie zaświadczał, że wagony zdrowych mają gości. Tutaj to na uprzejme wezwanie moich znajomych przesiadłem się do wagonu II klasy i z wiejskiem obywatelstwem krotochwiliłem aż do Łowicza.

Była godzina pierwsza z południa, gdy z zawiniątkiem pod pachą stanąłem na rynku. Bez przesady pół kopy naraz znajomych spostrzegłem w okóło: byli to i ziemscy obywatele i warszawscy panowie; kilku wzywa na obiad, kilku już na butelkę zaprasza; jedni pytają się o zdrowie (bardzo lichy pytanie), inni ofiarują kwaterkę (trochę więcej sensu), a każdy wita ukłonem, uśmiechem, ręki uściskiem, a wszędzie gwar ludu, hałas i zgielk.

Bębny i trąby, zwołujące do panoramy; harfy,



skrzypce i flotrowersy z okien otwartych restauracyi, kawiarni i cukierń, chwilki rozmysłu nie dozwalają; pan Piotr pociągnął mnie za rękaw algierki, jakiś chłystek w liberyi odebrał moje zawiniątko, pan Paweł ujął mnie pod pachę, wtoczyliśmy się na 1-sze piętro murowanej kamienicy na obiad. Za godzinę przyniesiono nam rosół z francuzkami kluseczkami; w półtorej godziny później dali poledwicę z kartoflami; nad wieczorem, po siódmej butelce szampana, po jedenastym śpiewie harfiarek, wbiegł zapocony, głupiuteńki talerznik (gareon) i postawił przed nas wazę barszczu drobną zasypanego kaszką.

— Czyś ty zmysły postradał! krzyknął pan Paweł, dawaj cztery porceje pieczeni, barszcz wyléj sobie za kołnierz, rozumiesz, bałwanie!

— Rozumiem, jasnie panie — jakiej panowie każą pieczeni?...

— Zająca...

— Wyszedł, jasnie panie.

— Czemuś, głupcze, drzwi otworem zostawił. Macie sarnę?...

— Była, jasnie panie, ale już ostatnią porcyą wydałem.

— Cóż tedy macie?...

— Jest tylko baranina.

+ Patrzajcie! pyta się, jaką każemy dawać pieczeń, a ma tylko baraninę. Dawaj, jaka jest.

+ Zaraz: barani comber, jasnie panie.

I pobiegł, zkąd przybiegł i za godzinę przyniósł 4 porcyjki baraniny.

Uważałem, że, o ile leniwymi byli w usłudze mięsnej, o tyle na rozkaz „wina szampańskiego!” piorunem butelki stawiali.

O godzinie 8-tój wyszliśmy do cukierni na czarną kawę. Brzęk odstrojonych a ciągle szarpanych strun harfowych; ochrypla parodia śpiewu skrzeczących dziewczyn, blażeński hałas jakiejś z przedpiekła pozbieranój młodzieży, co to najnieprzyzwoitszemi a głośnieci umizgami do harfiarek dobry ton udowodnić pragnie; trzask rzucanych o ziemię szmermeli, kłótnie grających w kości i w ruletkę, dym tytoniowy, czarnymi tumanami zapełniający dwie ciasne izdebki, czyli ogłuszenie, obrzydliwy zaduch i widok bezrozumnej tłuszczy zaprawdę jedną chwilą mogły starczyć za karę kilkunastu grzechów powszednich, a myśmy półtorej godziny w téj cukierni na czarną kawę czekali, bo pan Paweł uparł się, aby koniecznie pić czarną kawę.

O godzinie ósmój cisnęliśmy się do kassy teatralnej, popychany, szturchany, po nogach deptany, gnieciony, bokami zdobywając sobie pierw-

szeństwo, dostałem 4 bilety na krzesła i wszrubowaliśmy się do stajni, gdzie za chwilę miała być grana opera:

MARYA,

*Córka Regimentu.*

Usuniono na stronę z niebieskiego sukna w złotkę ozdobną kurtynę, opera rozpoczęła się krzykiem trzechset męskich głów: „*Niech panowie siadają!*“ „*Siadajcie, panowie!*“ „*Siedzieć!*“ „*Siedzieć!*“; potem wszczęła się w środku widzów energiczna kłótnia, skutkiem której młody i kilku quasi-dandych, którzy, imponując łowickiej publiczności, wzbraniali się usieść, zostali podniesionemi do góry i z rączki do rączki jarnarczna arystokracja na wolnym ujrzała się powietrzu.

„*Bravo*“ krzyknawszy, spojrzałem na orkiestrę: składała się z fortepianu, z kilku skrzypiec i z potężnej basetli, otóż mi *um* zaradzenia w potrzebie. Śpiewają tymczasem na scenie. Chóry, z czterech bardzo młodych dziewcząt złożone, zajęły uwagę pana Narcysa, chwycił mnie za rękaw i poszepnął do ucha: „pójdźmy za kulisy.“ Ha! pomyślałem, 20 lat jak nie byłem za kulisami, idę więc z panem Narcysem.

„Nie wolno“ — odzywa się bosy wyrostek, trzymający sznurek, którym drzwi do drewnianej ściany przyciągał.

— „Naści 10 groszy“, odrzekłem; chłopak zawołał pośpiesznie „*wolno*“, zaczem z panem Narcysem weszliśmy za kulisy!...

— „Panie dyrektorze! jednego pałasza brakuje!“

— „Agatka! gdzie jest ta wstążka zielona?“

— „Panie Ignacy, wychodzić.“

— „Róziu! tu, tu postaw.“

— „Niechaj murgrabina nie zapomni o swęj żółtęj szyi!“

— „Brwi potrzeba jeszcze uczernić!“

— „Przypomnij mi krzyż legii honorowęj!“

— „Gdzie moje trzewiki?“

— „Panie dyrektorze! Telesfor lornetki nie przyniósł.“

— „Tego gapia po nic posłać nie można. Zmiłuj się, Kasperku! ruszaj do pana Łopatkowskiego i proś go na miłosierdzie Boskie, żeby nam lornetki pożyczył.“

— „Szafranowska! objaśnij asani świecę, bo się do rejment diabłów ta nowa kurtyna zapali.“

Zakulisowa scena przerwana została przez grzmotne oklaski i żądania „*da capo! dacapo!*“

— „Widzisz, że się znawcy zgromadzili“ zacierając ręce, wymówił pan dyrektor, zażył tabaki i wszystkich nią w około poczęstował, a potem dodał: „Już to nasza panna Studzińska nie

zastudzi widzów swoich. Maszeruj! maszeruj, koteczko! tak, tak — *bravo!* — *bravo!*“

Równocześnie widzowie sygnęli długie, przeciągłe, szalone *bravo*, ale bo też panna Studzińska maszerowała jak prawdziwy grenadyr, a toć że jej madziudzi trzewiczek o lokieć przynajmniej w górę się unosi. Widzowie, ceniąc tę natężoną giestykulacją, nie żalowali swych dłoni na coraz silniejsze *bravo!* i było w całej stajni wesoło, aż serce *drgało* z radości... Śpiewy też odbywały się *jako tako*; fortepian w orkiestrze niezgorszą czynił przysługę, i było kompletnie dobrze. Akt pierwszy się ukończył, kurtynę zasuniono szczęśliwie.

Akt drugi jeszcze z większym zapalem przez światłą publiczność przyjętym został: panna Studzińska po trzykroć śpiewy swjej roli powtarzać była zniewoloną. Najzgodniejsze i najpowszechniejsze zadowolenie towarzyszyło wracającym do miasta widzom.

Ja, com był pierwszy raz w życiu mojem na jarmarku łowickim, sądziłem w prostocie ducha, że po teatrze nie wypada nic więcej, jak udać się na kwaterę i snem spokojnym skrzepić siły strudzone.

Dlatego zdziwiłem się niepomału, gdy wchodząc na rynek, zobaczyłem niemal wszystkie do-

my rześisto oświetlone, gdym usłyszał nieustające parodye muzyki, brzmiące ze wszystkich okien otworem stojących bębny i trąby, do *panoram* zwołujące, gdym się ujrzał w natłoku ludzi *głośno*, wesoło gwarzących i *śpiewających* na wszystkie strony świata.

— Jak to, więc jarmark na dzisiaj się jeszcze nie skończył? zapytałem pana Narcysa.

— Ej gadasz, odrzekł łowicki bywalec, a toć że teraz w najlepsze się rozpocznie.

— Cóż ludzie u licha po nocy sprzedawać będą?

— Pieniądze, zdrowie, rozum, małżeńskie sumienie, nieco sławy, oto tak jak na jarmarku wszystkiego pozbyć się możesz; noc też do tego targu jest porą najwłaściwszą, bo jasny dzień powstydziliby się za ludzi.

— Nie rozumiem cię.

— Idź z domu do domu, wszędzie popatrz się chociaż tylko przez chwilkę, a zrozumiesz ducha czasu, osądzisz, chirurgu, czy twój instrument jest u nas jeszcze potrzebnym.

Gdym o 2-jej z północy wracał na kwaterę, jeszcze po wszystkich prywatnych szulerniach złoto garściami stawiano na karty, jeszcze po

wszystkich szynkowniach — quasi kawiarniach kankana tańczyli, a to pod przywództwem dwóch niedawno z zagranicy przybyłych młodzieńców *de la haute volée*, o których mówiono mi za dnia, że są bardzo pięknie edukowani, że do dobrego tonu należą, że *wiele skorzystali!*

I dzień św. Mateusza rozpoczął się urąganiem najsmutniejszym wypadkom, wszystkij biedzie tegorocznej, niedostatkowi powszedniego chleba dla ludu ciężkiej pracy, urąganiem wszelkiemu uczuciu prawości. Co zaś było najsmutniejszém, że do kału i brudu ohydnych z lepszego ogółu wyjątków łączyła się i część tych ludzi, którzy domagają się czci i poszanowania, którzy szeroco rozprawiają o swoich prawach i pargaminowych przywilejach.

### *Poniedziałek.*

O godzinie ósmej udałem się na zwiedzenie miejscowych kościołów. Widziałem ślady hojnej pobożności przodków naszych widziałem dziśszą obojętność; wszędzie nieład i nieporządek; połamane drabiny, deski, krągi; różnego rodzaju ruśztowne ozdoby zakrywa rozłupana szafa ze świecami bractwa; w ołtarzu marmurowym wbito sośnową żerdź do świec w czasie odpustu; na emparzu przedkościelnym gruz, kamyki i doły,

a wszakżeż tylko trochę smaku i pracy, trochę głębszego uczucia, a byłoby inaczej.

Na targowisku z okolic, szczyjących się niby to wzorowém gospodarstwem, znalazłem mało czworonożnego bydła rogatego, bardzo mało owiec, niewiele koni rasy lepszej, natomiast koczów i landar nowych i starych, wystawionych na sprzedaż, były dwa szeregi tak długie, jak n.p. od Zygmunta do kościoła św. krzyża w Warszawie.

Jestto rażące, niepoślednie, materyalne złe, że w naszym kraju rolniczym tak nieliczny, tak niedołączny jest chów żywego inwentarza.

Na okólniku Zawadzkiego, gdzie główna jest ujeżdżalnia cugów i wierzchowców, z prawdziwą rozkoszą znalazłem kilkudziesiąt obywateli, którzy w nocnym karnawale nie widziałem wcale; na ich też obliczu spoczywał inny wyraz, zupełnie inne malowało się uczucie. Byli to obywatele, którzy przybyli nie na gody sprośnej a najobrzydliwszej rozpusty i rozwiązłości, ale pragnący spieniężyć zbywający, nabyć potrzebny inwentarz, albo też porobić nieodzowne do domu sprawniki, przytém zobaczyć się z krewnym, z przyjacielem, widzieć ruch handlowy, dowiedzieć się, jaka jest nadzieja cen wełny, zboża i innych produktów. Mogłeś tam posłyszeć rozprawy o czynszowaniu włóścian za i przeciw, jak komu serca



IV 2  
3=  
i rozumu stawało; zachwyciłem i gawędki o nowych dziełach agronomicznych; jakiś nawet jegomość chwalił *Żyda, wiecznego tułacza*; trzeci unosił się nad *Rodinem*, innemu zaś najpocząwszy *Jordan* z kieszeni wyglądał, i tego z *Jordanem* o małym nie uściskał; gdy w tem wysuwa się do mnie jakiś mocno zarumieniony jegomość i uchyliwszy czapkę, z natężoną grzecznością dziwne mi zrobił zapytanie, „czy mam przyjemność z bratem pana dobrodzieja rozmawiać, czy też z panem dobrodziejem?...“

+ Z moim bratem, odrzekłem poważnie. Zarumieniony jegomość jeszcze się grzeczniej uklonił, wymówił: „przepraszam“ i wśród powszechnego obecnego śmiechu w inną oddalił się stronę.

Około południa odwiedziłem tuż przy mieście mieszkającego generała K... Słodycz i nie wymuszona uprzejmość, z jaką mnie zacny starzec w swoim pięknym przyjął uchroniu, zapomnieć kazały o odchodzących wagonach i mimowolnie przedłużyłem mój pobyt na jarmarku.

Przed wieczorem schwylił mnie dawny szkolny kolega a obecnie sławny bibuła. Nie widzieliśmy się lat kilkanaście, powód nader ważny, abyśmy weszli do handlu winnego. Butelki niebawem błysnęły na stole. Z każdą chwilą zjawił się

IV 2  
4A  
nowy członek przyjaźni, a każdy dobry znajomy, każdy z flakami i z kośćmi pocziwy.

Za naszym przybyciem obszerne pokoje były już pełne, nieco później zostały przepelnione. Korki od szampana rotowym do sufitu szły ogniem, muzyka przygrywała walczącym; uściski i całusy nie ustawały na chwilę, święto Bachusa w całym życiu zakwitło. Było tam weseliej aniżeli wyrazić można; na wszystkich twarzach widziałeś radość pełną, niezachmurzoną, jawną, głośną radość szlacheką, aż mi się oczy załzawiły, bo mi się zdawało, że w tych śmiałych postaciach, w tych szczerych spojrzeniach galeryą przodków moich oglądam; jeno, żem tę galeryę drogich sercu mojemu rysów w szynkowni oglądał, serce moje ból ścisnął gwałtowny, duszę głęboki smutek ogarnął, nie mogłem znieść dłużej upokarzającego widoku.

W chwili, gdy Rajczak wydymał na trąbie *wiwat!* za złp. 50 dla jakiegoś obywatela z... skiego, — wśród powszechnego *wiwat!* wymknąłem się niepostrzeżony i pobiegłem do muzycznego artysty, aby go pocieszyć w kłopotie po koncercie przezeń danym, na którym miał tylko pięciu słuchaczy.

Rzecz smutna; Rajczak za trąbienie *wiwatów* zgromadził 1943 złp., znakomity skrzypek, ar-

tysta pierwszego rzędu, sprzedał tylko 17 biletów.

Jasny dowód, że *trąby* na łowickim jarmarku najważniejszą odgrywają rolę.

Wyjechałem z Łowicza z zapuchłemi od wrzasku uszami, z bólem głowy, z głębokim bólem serca, z tém przekonaniem, że nam potrzeba jeszcze surowszej nauki.

## ZDARZENIE Z ROKU 182...

Z POCZĄTKU SMUTNA PRZY KOŃCU WESOŁA RAMOTKA.

I 3+

Dalard

2x

## ZDARZENIE Z ROKU 182...

Z POCZĄTKU SMUTNA PRZY KOŃCU WESOŁA RAMOTKA.

Są ludzie, którzy się *w czepku rodzą*, wszystko, czego się dotkną, zamienia się dla nich w pomyślność, szczęście ani prozione ani marzone wali się do nich drzwiami i oknami, każdy zbieg okoliczności nową dla nich niesie korzyść; najprzyjemniejsze niespodzianki biegną ku nim na wyścigi; w życiu domowym wiecznego doznają zadowolenia; w podróży nigdy tym ulubieńcom losu ani koło nie pęknie, ani się oś nie złamie, ani koń nie zakuleje; błoto przed nimi wysycha, deszczyk w samo prawie przytłumi nieznosne kurzu tumany; w lecie słońce im w oczy nie świeci, w zimie mróz przed ich wyjazdem wolnieje; wieczorem najpogodniejszy księżyc oświeca ich drogę; najśmielsze muchy, namiętne naprzykrzone komary, nawet najenergiczniejsze pchły nie ukąszą ich nigdy.

I 3+ CB Rowel

Są znów inni ludzie, którym się nic nigdy nie wie dzie, których wszelkiego rodzaju nieszczęścia na wszystkich drogach ścigają; którzy nieprzyjemne wypadki i przypadki za zwykłą, za powszednią uważają kolój; którzy jednego nie uczynią kroku, żeby im jakie лихо drogi nie zaszło. Do tych innych ludzi i ja mam honor należyć. Nie rzeknąc o nieszczęściach na wielką skalę, bo te mnie nigdy mijać nie zwykły, drażliwych nieprzyjemności mam zawsze najpełniejszą miarę a cierpkich wypadków i niemiłych przypadków, aj! aj! rok rocznie na kopy liczyć mogę.

Dla tego, gdy się w podróż wybieram, zawszem ciekawy; co tam nowego bies dla mnie zgotował.

Niekiedy z wiatru ukręci zaczepkę i, wyraźnie strojąc sobie żarty, stawia mnie w położenie nietylko smutne, ale zarazem i komiczne; proszę posłuchać naprzykład, co mi się przytrafiło w roku tysięcznym ośmsetnym dwudziestym piątym czy szóstym, z pewnością zaręczyć nie mogę, ale o rok mniejsza, nie jestem chronologicznym dziejopisarzem.

Wjeżdżając do bardzo lichego miasteczka (w Galicyi), uwiedziony zbyt nędną powierzchownością domów, lub też z roztargnienia pytam się jakiegoś w długiej zaszarganej kapocie wasze-



Pani Prezydentowa.



IV 2 3 Janoburze 3.  
 cia: „jak się ta wieś nazywa?“ Waszec zamiast właściwej odpowiedzi schwycił lejce naręcznego konia, przytrzymał i spytał: Masz jegomość paszport?...

— Mam, śmiało odrzekłem.

— Proszę do pana burmistrza.

Za późno spostrzegłem się w błędzie; rad nie rad wysiadłem z bryczki i w milczeniu udałem się za moim przewodnikiem.

Przed małym domkiem, na którego ścianach jaskrawymi farbami winograd był namalowany, siedziała jejmość, około 50 lat wieku licząca, cerując okropnej wielkości szkarpetkę; obok niej z pewnym uszanowaniem stał małomiejski młodzieniec, czytając jakieś papiery.

— Proszę pani prezydentowej, ozwał się wiódący mnie waszec, jestem dzisiaj na służbie i oto przyharesztowałem jakiegoś podejrzanego pana, który nie wiedział, że nasze miasto jest miastem, i mnie się spytał, „jak się ta wieś nazywa?..“

Pani, cerująca szkarpetkę, wstrzymała nader dla swojego mężulka pożyteczną pracę i gniewnie spojierając na mnie, wyrzekła do służbę czyniącego waszecia.

— Zaprowadzisz tego podróżnego człowieka do więzienia miasta naszego. Odwracając się zaś do młodzieńca: A pan, panie pisarzu, spiszesz

protokół zeznania Wojciecha Gieruszki i zdejmiesz rysopis z tego człowieka, który nie wiedział jak się nasze miasto nazywa.

Naprawdę okazywałem paszport, wszelkie moje tłumaczenia były bezskutecznymi; zgromadziło się kilku obywateli miasteczka, pisarz na wielkim arkuszu szarego papieru opisał mnie jak węża; schwyceno mnie za kołnierz, otoczony jakby z ziemi wyrosłą zgrają chłopaków a co więcej żydów płci obojęj, ot bo żydów w naszych miastach i miasteczkach przy żadnym zdarzeniu nie braknie, powędrowałem do kozy.

Niewinność wlewa w serca nasze niewysłowny balsam pociechy, ale nie wszędzie i nie zawsze; ówczesna moja niewinność była przyczyną mojego najwyższego gniewu; ledwom nie pękł ze złości, że mnie jakiś waszeć w zaszarganej kapocie w pilnej podróży zatrzymał, a szkarpetkę czerująca białogłowa aresztować kazała.

— Gickste! jakie on ma małe oczy!... Gickste, ma jelonkowych rękawiczek na ręce. Fejner Poritz..... szwargotały żydziaki, obiegające mnie w około.

— A tobie, kądlu, co do moich oczów?... Chcesz, abym rękawiczki nosił na nodze? nie zastępuj mi drogi, bo cię pięścią w munsztuk uderzę.

Żydziaki się rozpierzchły; przestąpiłem próg budki drewnianej z żelazną u małego okienka kratą; Wojciech Gieruszka drzwi za mną zamknął na rygiel.

W mojem życiu, bynajmniej szkolnej kozy nie licząc, po kilka razy drzwi za mną zamykali, ostatni wyrok z roku 1832 był na lat dwanaście, ale nigdy tyle cierpkiego nie doznałem uczucia, jak gdym przezedrzwi posłyszał mówiącego Gieruszkę.

„Niechno pan prezydent powróci, to mu się *pewnikiem jeszcze* i pod surducik dostanie: już ja mu na ruski miesiąc przysolę, żeby znał, co wieś a co miasto!“

A kto wie, pomyślałem z rozpaczą, czyli mi prawem kaduka pół kopy nie sypną?.... potem skarż, procesuj się o gwałt, 77 wyroków nie zdejmie ci pierwszego namaszczenia. Otóż to są skutki niedostatecznej znajomości kraju swojego. Nie darmo w mojej cenzurze szkolnej wyraźnie napisano:

„Postępy w jeografii małe.“

Drodzy, stokroć sereu mojemu drodzy szkolni młodzieniaszkowie! jeżeli wam ta Ramotka pod oczy podpadnie, baczcie, abyście się pilnie jeografii uczyli.

Komórka, do której mnie zamknął Gieruszka,

była w najściślejszym znaczeniu matematycznym doskonałym sześcianiem: w szersz w zdłuż i na wysokość ani mniej ani więcej nad łokci miary reńskięj 3 i  $\frac{3}{4}$ . Ściany, podłoga i górna podbitka były z grubych dębowych bali. Prócz kilku garści mocno przegniłęj słomy i dzbanka z wodą niczego więcej dostrzedz nie mogłem, bo pajęczyny, obficie po wszystkich kątach rozwieszonęj, i łupin od ziemniaków, które moi poprzednicy w tém miejscu niedoli pozostawiali, do żadnych sprzętów ani do wygod liczyć nie mogłem. Usiąść na podejrzanęj słomie wcale nie mając ochoty, króciuteńkie stawiałem kroczyki i ciemne czyniłem sobie domysły, rychło li téż pan burmistrz z powiatowego miasta powróci?... Przypomniał mi się Jędrzej z bryczką i z końmi; nasunęła się obawa, aby mi rzeczy nie skradziono; rozważałem skutki z wstrzymania nadzwyczaj ważnéj i pilnéj podróży; przyczém wszystkim zawsze mi się mimowolnie po głowie kręciła obrzydliwa groźba Wojciecha Gieruszki. Tymczasem zmierzchno się na dworze, ciemna noc zapadła, w miasteczku ucichł gwar żyjących ludzi, tylko świstanie nocnego stróża głębokie niekiedy przerywało milczenie. Rezygnacyo! tyś tylko wielkich dusz udziałem: o godzinie 12-ęj położyłem się na stęchłęj i przegniłęj słomie, napiłem się wody i z czystém

sumieniem, dzięki mojęj poczciwęj naturze, zasnąłem na twardo.

Wielu badaczy ludzkiego istnienia i wiedzy ducha naszego utrzymuje, że sny są mniej więcej spomnieniem (lub przeczuciem) czynności jawu naszego, i tak się téż rzecz miała podczas téj mojęj nocy więziennęj. Śniłem, że niezliczone wojsko dzikich ludów opadło mnie do koła, że z największejszą zaciętością kłują mnie na wszystkie boki, że piki, dziiryty i oszczepy więzną w ciele mojęm... Po bardzo długięj a okropnęj męczarni... budzę się—slabe światło już owidniło moje posłanie: komary, pchły, pluskwy, prusaki (rodzaj robactwa), karaluchy i t. d. czerniły się na mnie, jakbym był pokryty z czarnego sukna zasłoną, ciało moje najdrażliwszy ból przejmował. Zrywam się jak szalony, aliści tu na szyderstwo mojego gniewu i wściekłości czarna krówka w nos mnie *pafnęła*, a przez zakratowane okienko patrzy się na mnie z ulicy wartujący żyd z halabardą w ręku. Rzymianinie! Regulusie! wiele cierpieałeś, ale w tę chwilę moje cierpienie było sto-kroć wyższém... O! bo cierpieć dla głupstwa ludzkiego jest rzeczą najboleśniejszą!

Jeszcze nie ochłonął z najdotkliwszego uczucia, gdy drzwi otworzono i Wojciech Gieruszka ciągle na służbie będący, popchnął ku mnie w ła-

taném odzieniu siwo-brodego starca żebraka, i znów potężnym kluczem rygiel zasunął. Pierwszy promień wschodzącego słońca jaskrawe rzucił światło na twarz nieszczęśliwego, w sercu mojem powstało niczem nie tamowane dla niego spólczenie; żal mi bowiem było niemal nad grobem stojącego starca, którego najsmutniejszy los do więzienia popycha. O bo niechaj siły męzkie walczą z najtwardszemi przygodami życia, ale niechaj przynajmniej dzieci i zgrzybiałe starce wolnemi będą od jego żelaznych pocisków. W ryśach twarzy mojego towarzysza widoczném było, że jego dusza cierpiała, że jego boleść była myślową, boleść nie zwierzęca, ale boleść człowieka. Kiedy go do komórki wtrącono, nie spojrzął na mnie, nie oglądał otaczających przedmiotów, ale oczy wznosił do góry i zdawało się, że całą duszą modli się do Boga. Długo nań w milczeniu patrzałem, lecz gdy się po jego licach, ciężką zornych starością, dwie łzy stoczyły, ujmując go za rękę, życzliwym wymówiłem głosem:

+ Starcze! ziemskie cierpienia przeminają, zbytecznemu nie oddawaj się żalowi.

Przeciągłym wzrokiem popatrzył się starzec na mnie, a potem rzekł: „kto się nad cierpiącą starością lituje, niechaj będzie pewnym łaski przedwiecznego Boga.“

Te wyrazy, wymówione z jakąś uroczystą godnością, uprzedziły mnie, że ten starzec nie jest pospolitym żebrakiem; ciekawość moja została zbudzoną, wszczynając więc rozmowę, starałem się taki jój nadać kierunek, abym starca do opowiadań swojego życia nakłonił, co mi się téż pokrótce z łatwością udało.

+ Jak miarkuję, mówił starzec, radziłyście usłyszeć historią życia mojego. Zapewne jesteście godni mojej szczerości i mojego zaufania. Ja wam opowiem treść, bo do wszystkich szczegółów pamięci nie starczy, pasmo dni z burzliwego życia lat ośmdziesięciu to morze zdarzeń i wypadków. Urodziłem się synem bardzo majątnych rodziców, było nas dzieci ośmioro, ja byłem najmłodszy. Ojciec mój piastował kilka obywatelskich urzędów; dom nasz był dniem i nocą otwarty, gościnność moich rodziców była znaną nie tylko w województwie naszym, ale na całej Wielko-Polsce.

+ Ludziom przyharezstowanym nie wolno o takich rzeczy prowadzić rozmowy, ozwał się z poza okienka wartujący żydek, w przeciwnego razie ja będę wszystkiego powiedział panu prezydentowi, jak on do domu powrócie.

+ Żydku, stul jadaczkę i nie przeszkadzaj nam, lepiej-bys zmówił ranne modlitwy i pana



Boga za Mesyaszem poprosił, bo go podobno Chińczyki przyaresztowali w drodze, a on wprost tutaj do was najpierw przyjechać chciał.

Uśmiechnął się starzec; żydek niedowierzając zupełnie, ażali w tak ważnym przedmiocie przypadkiem czego się nie dowie, wsunął twarz pomiędzy kraty okienka i bardzo delikatnym głosem zapytał:

— Gdzie to pan tego słyszał, że Mesyasz przyharezstowali?...

— Jam tego nie słyszał, tylko czytałem w angielskich gazetach.

— Co to jest *angielskich gazetach*?...

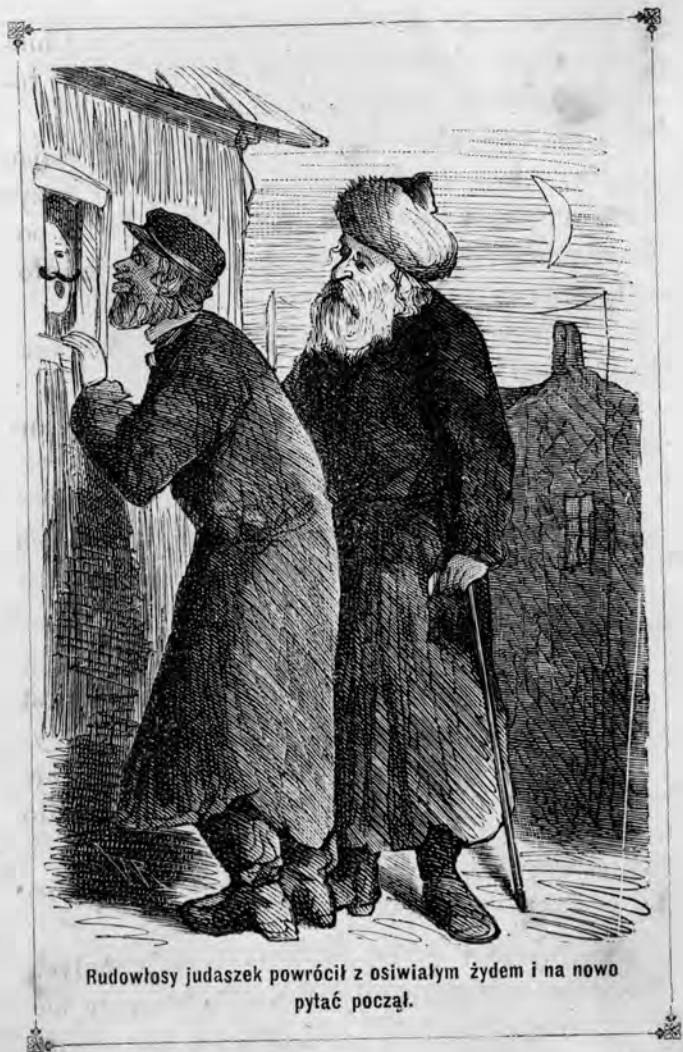
— To są takie drukowane arkusze, z których się dowiedzieć można wszystkiego, co Mesyasz robi, gdzie się obraca, gdzie nocuje i którą jedzie drogą...

— Co pan mówie?... to chyba tak nie jest prawdę?...

— Chcesz, wierz, nie chcesz, nie wierz; mnie to ani grzeje ani ziębi, bo ja nie żyd, a on do mnie nie przyjedzie.

— Ny, a nasze starszyznę tego nie mają wiedzieć?...

— Najstarsi to wiedzą, ale wam z małych miasteczek nie powiadają, bobyście wszyscy odbiegli handlu, i wszelkiej roboty, i poszlibyście na-



Rudowłosy judaszek powrócił z osiwiiałym żydem i na nowo pytać poczał.

IV 22  
3  
przeciwko Mesyasza; a coraz byłoby was więcej, i potem byłoby was bardzo wiele milionów, i byłby głód, i jakbyście się wszyscy do kupy zeszli, to-by wam nikt nie potrafił dostarczyć ani ryby na szabas, ani czosnku, ani kugla..

Po tych wyrazach żydek zniknął z okienka; ale jeszcześmy się ze starcem śmiać nie przestali gdy rudowłosy judaszek powrócił z osiwiącym żydem i na nowo pytać począł.

— Gdeby pan tego potrafił nam udowodnić; że pan tego, co mówił, jest prawdę, to my moglibyśmy zrobić dla pana wielgie przysługę i prezent darować...

— A jakżeż ja wam to mogę udowodnić, siedząc w kozie!

— Ny to frachy, jużby my zrobili, coby pan burmistrz pana wypuścił, i bez burmistrza może być tego. Czy pan tylko ma takiego gazetów? Gdzie jest pisane, że Meszasz przyharesztowany na swojego do nas podróży?

— Mam, ale tylko kawałek.

Zaszwargotał młody do starego, a potem, głębiej wsadziwszy nos przez kratę, mówił po cichu:

— Teraz już dzień, ale w nocy to my was będziemy puścili, jeżeli nam będziecie dać tego gazety.

— Nie dam, bom ja tylko pod sekretem pozyczył, ale mogę wam przeczytać.

Wyjmując z bocznej kieszeni wielkiego formatu *Journal des Débats*, przed trzema laty drukowany, który do zapalania fajek w podróż zabierałem, przed sam nos żydka pół-głosem improwizować począłem:

„Dnia 4 października o godzinie 2-jej po północy, kiedy słońce oddaliło się od księżyca na 476,897 mil, a na ekliptyce rak w pannę się zamienił, Mesyasz stanął w chińskim miasteczku Ki-ko-koung i wysiadł do bardzo nauczzonego Ben-Dawida Fajgel Charabaldes...

→ Styl! (*stille!*) zawołał żyd stary.

Od strony pomieszkania pani prezydentowej szedł pisarz pana burmistrza, za nim postępował garbaty żydek niskiego wzrostu z trzyłokciową halabardą i Wojciech Gieruszka, który niósł wielki dzban wody i bochen razowego chleba. Otworzono drzwi, pan pisarz burmistrza wejrzał do komórki zapewne dla naocznego przeświadczenia się, czyli aresztowani nie uciekli; Wojciech Gieruszka dzbanki przemienił, dobył z kieszeni nóż składany, w żółtą kość oprawny, (kozików, cyganków obywatele nie używają po miastach) rozzerznął bochen chleba na dwoje, jedną połowę dziadkowi, drugą mnie doręczył; na moje zapy-

tanie, czyli pan burmistrz nie powrócił, ani jednego nie odpowiedział słowa, drzwi zamknął, wartę zmieniono i było cicho i głucho. Jeno zdala dochodził uszu naszych głos kobiety: „maluś, maluś, niudy, niudy, niudyszki!...“ jakaś chrześcijańska niewiasta zwoływała nierogaciznę, którą na noc w żydowskie puściła ogrody.

Po chwili ozwał się dzwon kościelny. Starzec rozpoczął mówić pacierze, jam się przeżegnał i jałem razowy chleb zajadać. Wy, coście w zniewieściałym życiu swoim ani w polu, ani w obozie, ani w więzieniu razowego nie kosztowali chleba, nie możecie wiedzieć, jak ten chleb ludu, jak ten brykacz żołnierski smakuje... Może który z was z mody, przy herbatce, cieniutką omaśloną skibeczkę przekąsił i mową Franków wybąkał: „*c'est forte bon*“, ale żaden z was, piecuchy, nie wie, jakiego *bon* dla zgłodniałego żołądka, gdy się pół bochna źródlaną wodą popije i okruszyny pozbiera. Biedne tualetowe lalki! nie litujcie się nademną, czytając, żem chleb razowy w tak znacznej obfitości zajadał, bo moje najdroższe marzenia wtenczas-by się dopiero ziściły, gdybym przez wszystek żywot mój chlebem razowym żywić się mógł w polu, w obozie, a w latach mojej starości, pośród ukochanego ludu wiejskiego. Wy to moje marzenie wszyst-

IV 3.  
3+

kich życzeń moich nazwiecie sielanką, a zaprawdę jest to jedyne na ziemi pragnienie duszy mojej, serca mojego. Wy tego, lwiątko w glansowanych rękawiczkach, za stołami francuzkich restauratorów nawet myślą swoją doścignąć nie możecie, dla was pieszczona zmysłowość jest życiem całego życia, biedne! malutkie żyjątka!...

Pawełek nałóż mi fajkę. Ciąg dalszy nastąpi.

NAJWYRAŹNIEJSZA RZECZYWISTOŚĆ

A PRZECIŻ NIERZECZYWISTOŚĆ.



V. W. Nabokov

5.

NAJWYRAŹNIEJSZA RZECZYWISTOŚĆ

A PRZECIEŻ

NIERZECZYWISTOŚĆ.

(Z najświeższych rękopisów łańce)

Żyją na bożym świecie tacy człeczkanie, dla których wielką jest przyjemnością (mianowicie podczas lata), wystawiwszy nos na słońce, spać godzin kilka bez względu, że przez noc całą spali bez przerwy, bez względu, że Bóg dzień do pracy przeznaczył, bez względu że z godziną śmierci zasną po dzień sądu ostatecznego. Owi człeczkanie nazywają się podobno „Bracia Śpiący“, zaszczycają się opieką aż 7 patronów i mają bardzo poważne statuta; ale o tém innym razem. Obecnie składając najuroczystsze zapewnienie, że bynajmniej do Braci Śpiących nie należę, za świeżej pamięci opowiem, co mi się dzisiaj wśród białego dnia przytrafiło.

Rano o godzinie 8 wybiegłem na miasto, już

Handwritten signature or initials

było ciepła stopni 16; odwiedziłem cztery księgarnie; byłem u Magenfisha; zajrzałem do drukarni; za Żelazną bramą obejrzałem nowy papier z Jeziorny; w komitecie cenzury rządowej zyskałem podpisy niektórych rękopisów, a gdy powróciłem do domu, było już południe. Nie wiem, czy skutkiem utrapień, czy też ze znudzenia fizycznego zasnąłem na twardo. Z początku ciemne następnie coraz jaśniejsze obrazy rozpostarły się przed memi oczyma i szczególniejsze widma trapić mnie poczęły, jak gdyby na jawie utrapień podostatkiem nie było. Najprzód zdawało mi się, że jestem na bardzo obszernej płaszczynie urodzajnej ziemi, którą jednakże po większej części ubogi, w łachmany okryty lud zamieszkiwał, gdzie nigdzie tylko spostrzegłem jakieś świecidełko, rażącą z łachmanami stanowiącą sprzeczność.

Potem jechałem niby do kościoła, i w lesie zastąpili mi zbójcy, żądając, abym im oddał jedyną z ojcowizny puściznę... bili mnie, mordowali i byliby może zabili, ale w tem zapiał kogut, prosięta kwiczeć poczęły, ludzie jechali na jarmark, zbójcy uciekli a ja przywłókłem się do domu. Zastałem żonę płaczącą, skarżyła się, że ją serce bardzo boli; w tem przyszedł posłaniec z poczty i przyniósł mi list od Kou-Houng, komisa-

rza chińskiego, z uprzejmą prośbą, abym peruki nie nosił, iżby mózgu zbyt nie zagrzewać.

Zaledwo żem chińskie pisanie przeczytał, wtoczył się z dwoma świadkami komornik i na rzecz Abrahama Lirbasa, w imieniu prawa, zabrał mi sześć arkuszy nie zapisanego papieru, więc nie znalazł.

Ledwo że komornik w imieniu prawa czynność swoją ukończył, otworzyły się drzwi na rozcież i poczęło się tłoczyć do mego pomieszczenia mnóstwo żyjątek rodu człeczego płci obojg:

Wysocy, nizcy, tłuści chudzi, czerwoni, żółci, bladzi, z długimi nosami, z krótkimi nosami, z czuprynami, z lokami, bez czupryn, w perukach, z łysinami, prości ułomni, kulawi, zyzowaci, zgola zdawało się, że nikogo nie brakuje, a było ich z górą osób czterysta. Na widok tylu gości nie mogłem znaleźć wyrazów przywitania, gdy w tem jeden z nich, w granatowym odzieniu, z okularami na nosie, zapytał mnie:

— Czy tu jest redakcyja zbiorowego pisma *Dzwonu literackiego*?...

— Tak jest, odrzekłem z pośpiechem.

— Czy pan jesteś redaktorem?...

— Spółredaktorem i głównym redaktorem.

Ledwo żem te słowa wymówił, jak panowie i panie krzykną i hukną, rozumiałem, że mnie

w drobne rozszarpią kawałki. Byli to niemal wszyscy prenumeratorowie Dzwonu literackiego, przybyli upominać się o zwrot pieniędzy, twierdząc, że *Dzwon literacki* nie odpowiedział ich oczekiwaniom, że zdradził powszechnie zaufanie, że nie znam warunków pism zbiorowych, że drukuję artykuły ni *w pięć ni w dziewięć*, i t. d.

Na tak bolesne zarzuty, wyrzeczone hurmem, języka w gębie zapomniałem, i ta to gęba której przecież na to daje jeść, aby gadała, w najpotrzebniejszym razie umilkła jakby zakłęta. Lecz gdy się państwo nieco uciszyło, stanawszy za moim redaktorskim stołem, odkrząknawszy, w następujące do nich odezwałem się słowa:

*Przeznacni płci obojęd prenumeratorowie,  
Dzwonu literackiego!*

Pobłażanie należy do najpiękniejszych cnót chrześcijańskich; pobłażanie ułomnościom naszym utwierdza wiarę w zacność człowieczeństwa; na koniec ustala wzajemną miłość bliźniego.

Do potępienia człowieka potrzeba tylko nieco żółci i nieco powszedniego rozumu, do pobłażania potrzeba szlachetnego serca i na wielkiej wiedzy opartego sądu; sądu zdolnego rozróżnić tysiączne odcienia krzyżujących się okoliczności, przyczyn i skutków.

Ale zanim się do waszych szlachetniejszych uczuć pobłażania odwołam, dozwólcie, że się zapytam, jakie to szczegółowe zarzuty ciążą na *Dzwonie literackim*?...

— Dla czego Waćpan nie drukujesz poezyi? zawrzała jakaś pani, mająca na różowym kapełusiku wypisaną liczbę 37.

— Pani, odrzekłem z głębokim ukłonem, któżby z śmiertelników nie pragnął poezyi?... téj Boskiej poezyi, o której powiedziała Putifara żona, wielkorządzczy Egiptu, że jest orzeźwieniem ducha, odgłosem najdroższych serca popędów, elektryczną iskrą naszego działania. Poezją, pani! w *Dzwonie* umieszczać, jest mojem najgorętszem życzeniem, ale daję pani słowo wielbiącego cię kawalera, że zachodziły niezłomne przyczyny, dla których dotąd wyborowej poezyi drukować nie mogłem.

— Nr. 13 (Nizka, nieco zyzem patrząca blondynka). Któż panu poradził drukować artykuł o skamieniałościach, cóż pan sądzisz, że my mamy strusie żołądki?...

— *Ja*. Rozpoczynając nową budowę, uznałem za właściwe użyć kamieni do fundamentów; nadto pragnąłem okazać czytającej publiczności, że nauki ściśle mają u nas zawsze pierwszeństwo przed utworami fantazyi lub osobistego widzenia.

IV 2. ~~Nr. 385~~ (Rumiany z sumiastym wąsem, kardeszowaty jegomość). Jakież związek ma pańska Ramotka o Byczykowskich z naukami ścisłemi?... Dla czegoż pan ciągle atakujesz szlachte?...

3. ~~Ja.~~ Panie dobrodzieju! jednolitość treści artykułów nie jest bynajmniej warunkiem pism zbiorowych; rozmaite zdolności czytelników wymagają rozmaitych przedmiotów, a główny redaktor winien tylko przestrzegać, aby wszystkiemu przewodniczyła myśl postępową, moralną, aby nawet cień myśli wstecznej nie przesunął się po kolumnie pisma, wychodzącego pod jego firmą. W Ramotce o Byczykowskich nie jest, jak pan nazywasz, atakowanie szlachty, ale objawiona ironia dla tych, którzy są bezużytecznymi członkami społeczeństwa, a na bogatym ożenku całą swoją przyszłość budują. Autor malował Byczykowskiego, a że to był szlachcic, nie autora w tém wina. Wszakżeż nie zapieram się, że chętnie chwytam za czuprynę tych, którzy nie na różnicy moralnego ukształcenia i użytecznej działalności, ale na ślepym trafie urodzenia wartość swoje opierają. W zwierzętach przyznaję różnicę ras, w ludziach widzę jeden tylko pierwiastek, duchowość Boską, spólną dla całego rodu człeczego, i miara czynów, z téj Boskiej duchowości

2. ~~W. Cieszkowski~~ pochodząca, jest miarą, podług której pojedynczego człowieka cenię, to jest poważam lub karzę. W człowieku człowieka tylko uznaję, dla pogańskich bożyszczów nie mam kadzidla, i jeżeli mi to panowie za winę poczytujecie, należą do najwinniejszych; a to wyznanie czynię z prawdziwą chlubą i rozkoszą i dziękuję wam za sposobność złożyć oświadczenia w życie ludzkości coraz więcej wielającej się prawdy.

— ~~Nr. 184~~ (Garbonos nieco ułomny, fabrykant świec). Co nam tam o indywidualne zasady waćpana, my chcemy, abys nas, panie, bawił wesółemi ramotkami i kwita.

— ~~Ja.~~ Jeżeli panu idzie tylko o wesółą zabawę, przepraszam najmocniej, że obecnie nie jestem usposobiony do rozweselenia szanownych czytelników, a kontraktu téż na ciągle rozweselenie z nikim nie zawierałem. Przedsięwziętem wydawać pismo zbiorowe a nie Momusa.

— ~~Nr. 399.~~ (Wychudzona, z pargaminowém obliczem, mała ale diabelnie uczona figurka). A dla czegoż to pan redaktor nie umieścił dalszego ciągu rozbiórów dzieł Cieszkowskiego?

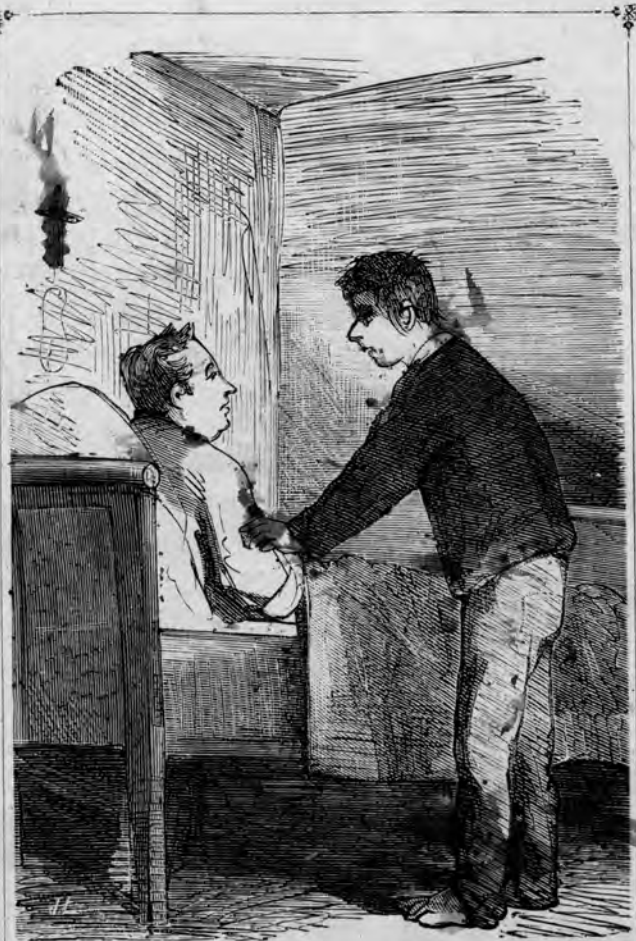
— ~~Ja.~~ Przezacny dobrodzieju! wielce szanowny autor artykułu o dziełach czcigodnego Cieszkowskiego, chorował przez sześć tygodni i dopiero wczoraj zdążył ukończyć tę tak obszerną, i po-



trzebującą głębokiego zastanowienia pracę. W najbliższych poszytach umieści się ciąg dalszy.

Następnie wiele się jeszcze kolejnych odzywało głosów z żadaniami najpocieszniejszymi; jakiś tłusty jegomość skarżył się, że poszyty Dzwonu są zbyt chude; byłem więc zmuszony przeliczyć arkusze i okazać, że nie po 5, jak przyrzekłem, ale po 6 i po 7 arkuszy w jednym poszycie szczerze drukuję, a zatém że cienkość papieru za zarzut służyć nie może. Znow jakas bielidlami i różem opatrzona jéjmość objawiła skromne życzenie, abym coś pisał o modzie strojów i zapytała, czyby nie można umieszczać w Dzwonie rysunków mody. Naturalnie żem uróżowaną damę odesłał do Dziennika mód, 'Trudno powtórzyć wszystkich żądań, które bez ładu i bez liczby objawiali panowie prenumeratorowie i panie prenumeratoroki; a toćże chcąc każdemu dogodzić, potrzebaby 200 arkuszy na każdy poszyt drukować. Ale najgłośniejsze krzyki wzniosły się przy dopominaniu się o powieść i o romans!...

Prawda, że w tych lekkich potrawach rozposzechniają się niekiedy myśli bardzo pożyteczne, ale i to jest także prawdą, że zamilowanie powieści wielu zdolnych młodzieńców odwiodło od nauk zasadniczych, od pracy fundamentalnej, bo dzisiaj dosyć jest spisać kilkanaście arkuszy zdań



Pawełek donosi, że z drukarni przystali po papier na szósty poszyt Dzwonu literackiego.

oderwanych, związać je brudną intrygą, przypra-  
 wieć zużytym efektem, dać modny tytuł, aby zy-  
 skać imię literata. Dawniej kwestye żywotne roz-  
 bierano na katedrach, dzisiaj lada piszczyk ogła-  
 sza w powieściach sąd płytki, lub co gorsza, zu-  
 pełnie fałszywy. Drugostronnie, ponieważ niewy-  
 słownie cenię każdą naukę dla mas, przeto piszę  
 się za powieściami i dla tego dopominających się  
 o powieści prenumeratorów Dzwonu zapewniłem,  
 że starać się będę, aby mniej więcej w każdym  
 poszycie była albo powieść obyczajowa, albo hi-  
 storyczna, lub też romans przyzwoity. Czyli zaś  
 te powieści będą miernościami czy pięknościami,  
 uprzedzać nie mogłem, zapewniając jedynie, że,  
 gdy jest co do wyboru, wybór uczynić potrafię.  
 W końcu oświadczyłem panom prenumeratorom,  
 że okoliczności... *tedy ten...* lecz, że jest nadzieja  
 świetniejszej w literaturze barwy, i że tylko na-  
 leży mieć czytelnikom cierpliwość, a Dzwon lite-  
 racki głos swój o wiele poprawi i oczekiwaniu  
 znacznych prenumeratorów w zupełności odpowie.  
 Poczem bez poniżenia, z godnością wezwałem  
 obecnych, aby brakiem wytrwałości nie przyczy-  
 niłi się do upadku pisma, przeciwnie aby *defektów*  
 w egzemplarzach nie czynili, a niebawem przed-  
 płatę na drugi tom złożyć raczyli. Już poczciwcy  
 udobruchali się i poczęli sięgać do sakiewek, gdy

w tak stanowczej chwili, uczułem mocne naciskanie ręki. Budzę się! Pawelek donosi, że z drukarni przysłali po papier na szósty poszyt Dzwonu literackiego.

+ Ach kochanku, gdybyś mnie nie zbudził, byłyby pieniądze, i na papier i dla ciebie na zaślugę. Lecz cóż począć?... ruszaj prędko i poproś do mnie pana Magenfisha; chłopca z drukarni obstaluj na jutro.

5-CPA

W.S.  
KOCHANEMU J. G.

W DNIU JEGO IMIENIN.

Znane są Europie Twe wojenne czyny,  
Którymi zarzuciłeś jakieś tam krainy,  
Pławiąc we krwi niemieckiej Twój oręż zuchwały,  
Wszędzie brźmi chwała Twoja, huczy trąba sławy,  
Pali wonne kadzidła Lapończyk zdumiały,  
Hatentut cię opiewa dziwnymi stancami,  
Gdy Turek ze zazdrości rwie swoje turbany.  
A myż będziem milczeli na lackiej ziemicy,  
O wielkich czynach męstwa sarmackiej prawicy?  
O! raczej niech mnie trzasną pioruny siarczyste,  
Niechajby mnie rozgniotły i Tatry skaliste,  
I całém morskiém okiem niechaj brzuch zaleją,  
Gdybym Cię nie opiewał gwiazdą i nadzieją,  
Słońcem! horyzontem! ozdobą! urokiem!  
Więcem chwały rodowej i nowym prorokiem!  
A dzisiaj uroczycie w dniu Twego imienia,  
Takie Ci głoszę życzenia:

43

Żyj do samej śmierci! A po twoim zgonie,  
 Złożymy wielką księgę na Twe martwe skronie,  
 Wielką księgę Twych bojów, wielką księgę cudów,  
 W której sława Twoja pięć zaważy pudów!

### DO MARCINA.

Marcinie,  
 Niech płynie,  
 Twe zdrowie,  
 W osnowie,  
 Miluchnej,  
 Piękniuchnej.  
 Miej chleba,  
 Co trzeba,  
 Dar bozki,  
 Bez troski,  
 Używaj,  
 Zdrów bywaj.  
 Śmierć straszna,  
 Rubaszna,  
 Co gryzie zębami,  
 Kaleczy szponami,

Młodzieńce zuchwałe,  
 I starce zgrzybiałe,  
 Kwiateczki wiosenne,  
 I zielska jesienne,  
 Zgrzebuje,  
 Zsypuje,  
 Do dołu  
 Pospołu.

I mrozem spożywa,  
 I śniegiem przykrywa,  
 Płachetką bieluchną,  
 Śmiertelnie zimniuchną,  
 Niech ciebie nie tyka,

Umyka!  
 Kark łamie,  
 Po ramię,  
 Pysk zbija,  
 Bestyja.

Niech sobie uchodzi,  
 Kędy się pieprz rodzi,  
 A Tobie, mospanie,  
 Niech wszyscy niebianie,

Garściami,  
 Sakwami,  
 Torbami,  
 Workami,



Przynoszą,  
 Naznoszą,  
 Fortunę, dostatki,  
 Jak w wiosnę bławatki,  
 Prześliczne,  
 Rozliczne,  
 Kraśnieją, bieleją,  
 Na łąkach jaśnieją,  
 Tak dużo i wiela,  
 Śród nieszczęść wesela.

Do PANA \*\*\* w *S. K. K.*

To, coś mi, Dobrodzieju, w swoim pisaniu d. d. o trudach zbieraniu prenumeraty doniósł, mniej-więcej dosłownie w moich *Ramotkach* z roku 1845 wypowiedziałem. Niemniej przeto powtórzyłbym tę tak gorzką prawdę, gdybyś swojemu opisowi szersze dał ramy. Racz, Dobrodzieju, spisać rodowód \*\*\* , obszerny skreślić obraz swojego wiejskiego żywota, sąsiedztwa, powodzenia, i biedy, i przysełaj, a wydrukuję cię z głową i z nogami.

O ile można krzycz i wrzeszcz w swój okoli-

cy, aby bracia szlachta książki kupowała, albowiem éma umysłowa, jak była przyczyną naszych wszystkich nieszczęść, niesforności i upadku, tak i dzisiaj jest główną przeszkodą do Alleluja. Gangurena nie ustawa toczyć żywot nasz, głupota nas zabija. Rzecz niepojęta, że reprezentantami kraju, że ci ludzie którzy przyswiecać winni, strzegą się naukowości jak morowego powietrza. Wszystko kupi, na wszystko pieniądze wyrzuci, tylko nie na książki!... Z małemi zaszczytnemi wyjątkami, lubią rządzić, ale się uczyć nie chcą, i poza murami sześciu albo czterech klas, sądzą się być ludźmi ukończonemi, i już ani krok dalej nie idzie. Pije, zajada, trawi i śpi, śpi i śpi *Śpi*, a gdy którego pod serce ukłują, wtenczas narzeka, podnosi głos rozpaczy, przypomina sobie przeszłość, przywileje, i szybko upada albo się łączy do niewłaściwych przedsięwzięć *ca* i znika z koła obywatelskiego beużytecznie.

Głupota nas zabiła, głupota nas pogrzebie, bo nikt uczyć się nie chce. A djabeł też każdemu szepcze: „Patrz pieniędzy a nie nauki. Żeń się bogato a nie ucziwie. Idź, panienko, bogato za mąż, a nie z wyboru serca swojego. Pieniądze! Zbytek! Do tego skierujecie wasz umysł, serce i duszę... *Woda*”

W tej chwili był u mnie obywatel, który się

pienił ze złości na myśl oczynszowania włóścian. Niechaj więc zgnije w obroży, którą gwałtem ręką ślepego samoluba do swojego ciśnie ciała. Ale takich jest niewielu, dzięki Bogu!....

Zalałem się żółcią!... Djabli mnie nasłali szlacheckiego szlachcica... Kończę, bo pisałbym dalej bez składu i ładu, że i posądziłbyś mnie o bzika muzgowego.

Uścisk bratni!

Au. Wi.

KONIEC TOMU PIĄTEGO I OSTATNIEGO.

MG ALSKI



177012  
refu 13

18-

000035 A

